TAJNA HISTORIA PRL

Piotr Gontarczyk o relacjach Wojciecha Manna z SB

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 49/556 4–10 GRUDNIA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Ponad 100 tys. Polaków dostało wadliwe szczepionki na COVID-19

Ostra reakcja Episkopatu Niemiec na uwagi abp. Gądeckiego

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 52 000 egzemplarzy

Analiza Jakuba Wozinskiego

„Nie" dla Ukrainy w Unii Europejskiej

eprasa.pl c557d2be61

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

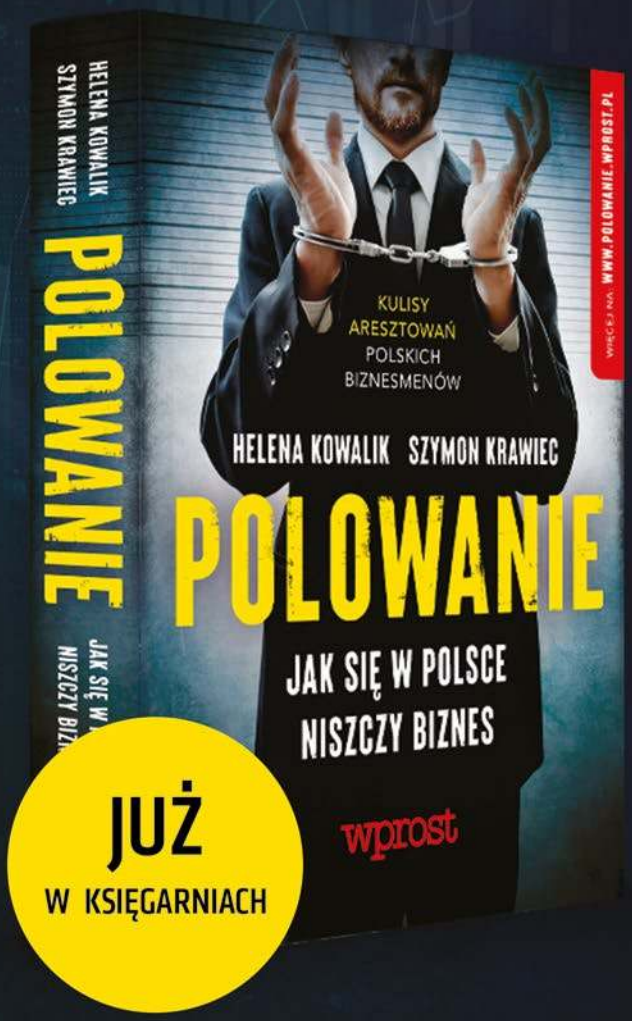

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.
W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl c557d2be61

Obóz zdrady i obóz patriotów

PAWEŁ LISICKI

W środę wieczorem większość sejmowa odwołała wszystkich członków państwowej Komisji ds. Badania Wpływów Rosyjskich w Polsce. Zanim się to stało, komisja wydała oświadczenie. Zarekomendowała w nim, aby Donaldowi Tuskowi, Jackowi Cichockiemu, Bogdanowi Klichowi, Tomaszowi Siemoniakowi i Bartłomiejowi Sienkiewiczowi nie były powierzane stanowiska publiczne odpowiadające za bezpieczeństwo państwa. Oznaczałoby to, że żaden z wymienionych nie może być ani ministrem, ani tym bardziej premierem.

Według komisji wyżej wymieni politycy PO nie potrafili nadzorować Służby Kontrwywiadu Wojskowego i tym samym narazili na szwank bezpieczeństwo państwa i oddali je wpływom moskiewskim. Podobne rekomendacje dotyczące zakazu sprawowania funkcji dotyczyły byłych szefów SKW: gen. Janusza Noska i gen. Piotr Pytla oraz zastępcy szefa SKW, płk. Krzysztofa Duszy. Jak stwierdził członek komisji prof. Andrzej Zybertowicz: „Analizując dostępne materiały, w tym zeznania ww. w czasie śledztwa prokuratury, mieliśmy wrażenie, że politycy odpowiedzialni za bezpieczeństwo państwa nie interesowali się bezpieczeństwem państwa, że ten zakres ich odpowiedzialności nie był dla nich priorytetowy”.

Trudno ocenić wiarygodność tych zarzutów. Zarówno sposób powstania, czas, jak i tryb działania komisji budziły bowiem poważne wątpliwości. Raczej wydaje się, że rację mieli ci krytycy, którzy wskazywali, że ma ona przede wszystkim cel polityczny i jest nim po prostu oskarżenie o zdradę Donalda Tuska. Gdyby nie protesty USA i UE, być może taki raport z zarzutami pojawiłby się jeszcze podczas kampanii wyborczej. Najwyraźniej uznano, że jest to zbyt ryzykowne.

Od początku, kiedy to kilka miesięcy temu pojawił się pomysł powołania komisji, wskazywałem na wiele problemów. Po pierwsze, niezależnie od osiągnięć i autorytetu niektórych przynajmniej członków tego ciała zostali oni powołani przez większość sejmową. Z natury rzeczy zatem trudno było uznawać ich prace za obiektywne i bezstronne badanie faktów. W systemie parlamentarnym śledcza komisja sejmowa ma sens, a w analogicznej roli występowała państwowa komisja; jeśli ma na nią wpływ opozycja, to służy bowiem z zasady kontroli organów władzy. Rządowa komisja do spraw badania opozycji robi wielce osobliwe wrażenie.

Po drugie, komisja powstała tuż przed wyborami, po ośmiu latach rządów PiS. Dlaczego w tym czasie ewentualnymi naruszeniami prawa nie zajęły się prokuratura i służby? Po trzecie, niektórzy członkowie komisji jednocześnie pracowali nad programem telewizyjnym „Reset”, w którym to – jak można sądzić – korzystali z zebranych przez nią materiałów. Mimo najlepszej woli nie jestem w stanie uznać, że tak powinna działać rzetelna i bezstronna śledcza instytucja państwowa.

Po czwarte wreszcie, jak można wnosić z wielu wypowiedzi, członkowie komisji nie rozróżniali wyraźnie tego, co można uznać za błędną politykę wobec Rosji, od tego, co można określić mianem zdrady. Z faktu, że ktoś popełnia błąd w ocenie rzeczywistości, nie wynika, iż działa świadomie na rzecz obcego interesu. Dotyczy to zresztą nie tylko Rosji.

Po piąte, komisja zdecydowała się ogłosić swój – jak to nazwała – „cząstkowy” raport, nie dokonując wcześniej żadnych przesłuchań świadków, nie konfrontując dokumentów z zeznaniami, nie dając oskarżonym prawa do obrony. Rzuca to na jej rekomendacje poważny cień.

Niezależnie od intencji zatem cała awantura wokół raportu komisji ma, sądzę, negatywny wpływ na polską rację stanu. Można zakładać, że teraz dokładnie tak samo będzie działać dawna opozycja, a obecnie większość parlamentarna. Skoro PiS mógł obsadzić swoimi ludźmi komisję, to to samo zrobią PO i reszta koalicjantów. Jeśli komisja powołana przez PiS mogła ogłosić, że kilku posłów opozycji na czele z Donaldem Tuskiem nie daje rękojmi bezpieczeństwa, to to samo może zrobić komisja PO, która dojdzie do wniosków odwrotnych, wskazując zapewne Jarosława Kaczyńskiego i jego ministrów. W tym sensie powołanie i działalność tej komisji to klasyczny przykład instrumentalizacji, a więc wykorzystania ważnej instytucji do celów partykularnych, partyjnych. Źle, że PiS to zrobił, równie źle, jeśli PO to powtórzy.

Zamiast wzmocnienia autorytetu państwa będziemy mieli do czynienia z jego osłabieniem. Dla tych, którzy ufają komisji, czyli dla większości elektoratu PiS, jej raport będzie dowodem zdrady Tuska et consortes, a jej odwołanie świadectwem strachu PO. Dla zwolenników obecnej większości sejmowej raport będzie wyłącznie nieistotnym świstkiem papieru.

Być może pewnym zyskiem politycznym dla PiS będzie powstanie mitu, zgodnie z którym złe, prorosyjskie siły zamknęły usta patriotom właśnie wtedy, gdy ci objawili prawdę, ale koszty takiego działania są dla państwa ogromne.

Czasem dochodzę zatem do smutnego wniosku, że obce agentury nie muszą się specjalnie w Polsce wysilać. Wystarczy Polaków zostawić samych sobie. Są naładowani taką wzajemną nienawiścią, że sami skoczą sobie do gardeł. ©℗

eprasa.pl c557d2be61

TEMAT TYGODNIA

14 JAKUB WOZINSKI
DZIKIE POLA NA UNIJNYCH DOPŁATACH
„Nie" dla Ukrainy w Unii Europejskiej

17 MACIEJ PIECZYŃSKI
KIJÓW NA WOJNIE HANDLOWEJ Z POLSKĄ

KRAJ

20 ROZMOWA Z KACPREM PŁAŻYŃSKIM
PLAN NA TRUDNE CZASY
Polacy nie odwrócili się od prawicy

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DYKTATOR, ALE NASZ?

24 LECH MAŻEWSKI
W KIERUNKU KONSTYTUCYJNEGO BEZPRAWIA?

27 PIOTR SEMKA
BRATERSKA BURZA Z PIORUNAMI

30 ŁUKASZ WARZECHA
WALKA Z HEJTEM CZY WOLNOŚCIĄ SŁOWA?

34 MARIUSZ JAGÓRA, JERZY KARWELIS
PONAD STO TYSIĘCY POLAKÓW DOSTAŁO WADLIWE SZCZEPIONKI

36 ZUZANNA DĄBROWSKA
WARSZAWIANKA IDEOLOGICZNA

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
W OBRONIE CUDOWNOŚCI
Nowe książki Salmana Rushdiego

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ROZMOWA Z CEZARYM NOWICKIM
PORNOGRAFIA TO NAJWAŻNIEJSZA ZE SZTUK?
Lewicowy „uciekający horyzont"

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
UPADEK ŚWIĘTEGO OFICJUM

HISTORIA

52 GRZEGORZ MAJCHRZAK
BEZPRECEDENSOWY NOKAUT
Wałęsa kontra Miodowicz. Debata z 30 listopada 1988 r.

56 PIOTR GONTARCZYK
BALETKI I „MINIÓWKA" WOJCIECHA MANNA

ŚWIAT

60 TERESA STYLIŃSKA
EUROPA MAŁYCH TRUMPÓW
Dobry znak dla prawicy

64 ROZMOWA Z RADOSŁAWEM PYFFELEM
CORAZ CIAŚNIEJ W CIEŚNINIE

EKONOMIA

68 ŁUKASZ ZBORALSKI
KREDYTOWA PUŁAPKA
Ceny nieruchomości wzrosły

SPORT

72 ROZMOWA Z ADAMEM MAŁYSZEM
NA TRZECH SKOCZNIACH W POLSCE
Zawody w Wiśle, Szczyrku i Zakopanem

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl c557d2be61

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Sergei Supinsky/AFP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Walec niszczący

Szanowna Redakcjo!

[...] to jest główne zagrożenie dla przyszłości dzieci – właśnie ich rodzice. Sama obserwowałam to zjawisko w szkole jako rodzic podczas zebrań z nauczycielami, gdy „postępowi" i „modni" rodzice narzucali swoją wizję edukacji pozostałym. W tym także wizję edukacji seksualnej. A rodzice bardziej konserwatywni okazywali się milczącą większością, bo np. w klasie są dzieci z rodzin niepełnych, więc „żeby nikogo nie urazić", tematu się nie porusza lub nie protestuje. Jako nauczyciel także widzę, jak negatywne skutki na rozwój psychiczny, poznawczy i emocjonalny mają rozpad rodziny lub brak ojca. Ilu psychologów odważy się powiedzieć na głos i dobitnie, że rozwód jest największą krzywdą, która spotyka dzieci?

[...] Wśród postępowych i modnych rodziców są także nauczyciele. I to oni potem nadają ton w pokoju nauczycielskim oraz swoim sposobem bycia i temperamentem determinują nastroje wśród kadry, dominując nad tymi bardziej konserwatywnymi pedagogami [...].

Inną grupą – groźną! – są szkolni psychologowie i pedagodzy [...]. Sama padłabym, a właściwie moje dziecko, ofiarą takiej pani psycholog, gdyby nie moje stanowcze „nie" i intuicja mojego dziecka. Córka po spotkaniu w szkolnej poradni pedagogicznej (państwowej!) powiedziała, że nie podoba jej się ta pani, a ja się z nią zgodziłam. Otóż pani psycholog w tym, że moja córka w upał ubrała się w krótkie spodnie i chłopięcy T-shirt, upatrywała już zaburzeń seksualności i sugerowała w niedwuznaczny sposób dokonanie dalszych badań i podjęcie psychoterapii. W wieku 12,5 roku? Do poradni zgłosiliśmy się tylko z powodu trudności w nauce matematyki, a nie po porady z zakresu rozwoju seksualności. Takich psychologów szukających na siłę u dzieci modnych dysfunkcji jest cała masa. W każdym niesfornym uczniu są skłonni dostrzec zaburzenia ze spektrum autyzmu, zespół Aspergera, ADHD (moda minęła, więc teraz są inne „dys"), a na koniec okazuje się, że ja, ucząc w sumie ok. 40 uczniów języka obcego, mam prawie trzy czwarte uczniów z orzeczeniami o nieprzystosowaniu społecznym albo z dysfunkcjami w zakresie koncentracji lub w zakresie pisowni itp., itd. Nie ma już normalnych dzieci, które kiedyś traktowano poważnie, wymagano od nich, nakłaniano je do poprawy, do pracy nad słabościami. Teraz się wszystkie dzieci rozgrzesza z każdego niedomagania, które kiedyś było do wyprostowania w drodze solidnej pracy.

Proszę też zwrócić uwagę, że nie mamy także sprzymierzeńców w wydawcach książek dla dzieci i młodzieży. Już pomijam cały zalew śmieciową literaturą amerykańską i szwedzką. Ale jak to się stało, że tak renomowane kiedyś wydawnictwo jak Nasza Księgarnia wydaje „Notatki samobójcy"? [...] Przeczytałam tę książkę i niestety jestem zdruzgotana tym, co się wpaja młodym ludziom przy pomocy takiej literatury. Otóż zamiast uczyć panowania nad popędami i budzącymi się potrzebami seksualnymi w okresie dojrzewania, nakłania się do dawania im upustu, co potem może prowadzić do zaburzeń dewiacyjnych. A w konsekwencji do prób samobójczych.

Inny przykład. Osławiona książka Ani Rubik „#sexedpl". [...] Przejrzałam i niestety ze zgrozą stwierdziłam, że oprócz rzeczywiście dość ładnie opisanych kwestii uczuciowości i seksualności osób normalnych jest tam także cały rozdział oznaczony tęczą. Proszę się domyślić, co tam znalazłam [...].

Walec niszczący rodzinę jest rozpędzony i nie wiem, jak możemy go zatrzymać. Przebicie się z pozytywnym przekazem w zalewie tego bagna graniczy z cudem. I o cud musimy się modlić i zabiegać.

Z poważaniem
Wierna czytelniczka z Warszawy

eprasa.pl c557d2be61

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kissingera sława na wyrost

PIOTR SEMKA

Ameryka z pompą żegna Henry'ego Kissingera, sekretarza stanu USA z lat 1973–1977. Kissinger pozostaje dla mnie postacią niejednoznaczną. W pewnych aspektach imponującą, w innych mocno przecenianą. Kimś, kto sprawnie potrafił stworzyć wokół siebie mit rzekomo najlepszego sekretarza stanu Ameryki po wojnie.

Imponująca była jego szybkość dostosowania się do kodów kulturowych Ameryki. Urodzony w 1923 r. w bawarskim Fürth był świadkiem dojścia Hitlera do władzy. Z jego biografii utkwił mi w pamięci drobny, ale znaczący drobiazg. Młodego Kissingera bolało, że nie mógł jeździć na mecze ulubionej drużyny piłkarskiej z Norymbergi, bo Żydzi nie byli wpuszczani na stadiony. W 1938 r. Kissingerowie zdołali wyjechać via Londyn do Ameryki. I tu, w ciągu pięciu lat, młody Kissinger zdołał precyzyjnie wyuczyć się angielskiego, zdobyć obywatelstwo USA, zaciągnąć się do armii i wreszcie wyjechać z bronią w ręku do Europy. Gdy US Army wkroczyła do jego rodzinnej Bawarii, umiał wykazać swoją przydatność jako tłumacz i łowca szpiegów gestapo. Ale nie spoczął na laurach, wrócił do Ameryki i w 1950 r. zdobył swój pierwszy tytuł naukowy na Harvardzie błyskotliwą pracą o Metternichu – mistrzu dyplomacji z początków XIX w. I do końca życia będzie patrzył na politykę zagraniczną jako na ład ustawiany przez wielkie mocarstwa ponad głowami mniejszych narodów.

Czy jego kadencja w sekretariacie stanu była sukcesem? Na pewno uregulowanie relacji na linii Pekin – Waszyngton, bez spisywania na straty Tajwanu, było majstersztykiem. Jeśli coś potrafiło przerazić Rosję Breżniewa na początku lat 70., to był to widok szefa dyplomacji USA spokojnie popijającego herbatę z Mao. Ale już rzekome zaprowadzenie ładu pokojowego w Wietnamie, za co otrzymał wraz z premierem komunistycznego Wietnamu Pokojową Nagrodę Nobla, było upudrowaną klęską. Nie minęły dwa lata i Ameryka stała się pośmiewiskiem świata, gdy w kwietniu 1975 r. Amerykanie musieli z podkulonym ogonem uciekać z Sajgonu zdobywanego przez wietnamskich komunistów. Lata 1975–1977 to pasmo porażek USA, podczas gdy Sowieci podbijali Angolę, Mozambik i Etiopię. W końcu, już po dymisji Kissingera, Moskwa rozzuchwalona słabością USA sięgnęła po Afganistan. Kissinger za ten okres zapaści siły Ameryki ponosi pełną odpowiedzialność. Gdyby miał wpływ na amerykańską politykę dłużej, Związek Sowiecki być może istniałby do dziś. A Kissinger uzasadniałby zbawienne znaczenie państwa sierpa i młota dla światowej stabilizacji.

Kolejne pół wieku to odcinanie przez Kissingera kuponów od swojej służby u boku Nixona. Liczne książki o teorii dyplomacji budowały mit autora jako historyka dyplomacji i teoretyka polityki ustalania ładu międzynarodowego na wzór XIX w. Był jej wierny do końca życia. Jeszcze w tym roku opowiadał się przeciw wejściu Ukrainy do NATO.

Nad Wisłą – oprócz mędrków snobujących się na bycie jego uczniami w sztuce geopolityki – chyba mało kto uroni po nim łzę. ©℗

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

HENRY KISSINGER 1923–2023

W wieku 100 lat zmarł Henry Kissinger, amerykański polityk i dyplomata. Był doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta Nixona, potem sekretarzem stanu w administracji jego i jego następcy – Geralda Forda. Odegrał ważną rolę w otwarciu stosunków dyplomatycznych z Chinami w latach 70. oraz doprowadził do porozumień kończących wojnę w Wietnamie (za co dostał Pokojową Nagrodę Nobla). Nieformalnie doradzał potem kolejnym prezydentom USA. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl c557d2be61

RENAISSANCE®
WARSAW AIRPORT HOTEL

PODRÓŻUJ KOMFORTOWO
NA FERIE ZIMOWE

Planujesz wylot na narty lub egzotyczny urlop? Zarezerwuj wygodny nocleg tuż przy lotnisku w Warszawie.

Sprawdź, co dla Ciebie przygotowaliśmy!

renaissancewarszawa.pl
+48 22 164 70 00
res@renaissance.waw.pl

eprasa.pl c557d2be61

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Torba show

Mam problem ze znalezieniem adekwatnej nazwy dla tego rodzaju show, w jaki zamienia obrady Sejmu jego nowy marszałek. „Talent show" to to nie jest, z „reality" też dużo wspólnego nie ma… Może: „charity show"? Z tą poprawką, że „Marszymek" (podoba mi się to określenie kolegów Gmyza i Goćka) uprawia szczególny rodzaj dobroczynności, który kiedyś definiowano w kręgach społecznych, z których się wywodzę, powiedzeniem: „Każdy dobry, jak z cudzej torby".

Spospobem pokazywania przez marszałka Hołownię, jaki jest dobry, stało się dopuszczanie pod obrady „społecznych" projektów ustaw. Na przykład społecznego projektu ustawy o przyznaniu pielęgniarkom podwyżek na łączną kwotę 10 mld zł. Pielęgniarki zasługują na podwyżki, a służba zdrowia potrzebuje pielęgniarek, ale pomysł, by taką podwyżkę dla jednej grupy zawodowej, zatrudnianej przez różnego rodzaju firmy na różnych zasadach, zarządzać ustawą, jest tak głupi, że nie wiadomo, od czego zacząć jego wykpiwanie.

Przypomina zgoła pomysły towarzysza Gierka rzucane podczas „gospodarskich wizyt" (pamiętam jeden taki: gdy podczas wizyty na budowie nowego gmachu dla Biblioteki Narodowej poskarżono się włodarzowi na małe zainteresowanie robotników tą budową, ten zapowiedział, że skusi ich, przyznając darmowe abonamenty na wstęp do bibliotek i zniżki przy zakupie książek. Naprawdę, na własne młode uszy to słyszałem w telewizji). Myślę, że sami twórcy społecznego projektu ustawy o dofinansowaniu pielęgniarek nie traktowali go dosłownie, chcieli raczej swą inicjatywą i zbiórką podpisów zwrócić uwagę na problem.

Czy sam marszałek wyobraża sobie, jak mniej więcej miałaby zostać tak dziwna ustawa zrealizowana, osobiście wątpię. Jest podobnie, jak z wydobyciem przez niego „z zamrażarki" innego społecznego projektu, o dofinansowaniu przez państwo firm medycznych wykonujących kosztowną i ryzykowną dla zdrowia pacjentek procedurę zapłodnienia pozaustrojowego: chodzi o pokazanie. Po angielsku właśnie: show. A torba wszak nasza, podatników. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Epitafium dla Kissingera

Przeżył sto lat, to był jego wiek. Całe życie badał i testował możliwości polityki, w tym użycia siły, dla zachowania pokoju. Pod koniec życia zastanawiał się nad konsekwencjami stosowania sztucznej inteligencji w obronie, więc nad sytuacją, w której odpowiedzialność za bezpieczeństwo narodów mogą przejąć maszyny. I nad tym, jaką politykę prowadzić, by im naszej wolności i naszego losu nie oddać. U nas przyjęto to bardzo źle, bo Henry Kissinger analizował te kwestie w bardzo praktycznym kontekście – ryzyka globalizacji wojny na Ukrainie. I pytał, jak taka wojna z udziałem Chin, Ameryki, Rosji, Korei Północnej, Iranu i państw Europy oczywiście mogłaby dziś wyglądać.

Jego biografia to dobry przykład życia przeżytego w świadomości swych historycznych granic. Realistom zarzuca się często (i nie bez racji), że nie sięgają wzrokiem poza horyzont doczesności. Ale właśnie wpatrując się w ten horyzont, dotykają granic Wieczności. Nawet jeśli skutecznie stawimy czoła wyzwaniom naszego czasu, to nasi następcy będą musieli podjąć kolejne. Trzeba więc próbować kontury tych nowych wyzwań rozpoznać, by przynajmniej pomyśleć, jakie obowiązki z nich kiedyś wynikną.

Widziałem go jeden raz, jakieś 20 lat temu. Spotkał się w sejmowym saloniku obok Sali Kolumnowej z małą grupą polityków PiS. Ludwik Dorn zagaił bardzo bezpośrednio, że spotykamy się jako byli przeciwnicy, bo gdy my działaliśmy na rzecz niepodległość Polski, on widział w tym zagrożenie dla „współistnienia" i pokoju, które chronił. Przyjął to z filozoficznym spokojem, a potem rozmawialiśmy już o współczesnej polityce. W pokój wierzył naprawdę, bo znał jego cenę. Bił się w Ardenach, był autentycznym przedstawicielem pokolenia wojennego, jak u nas Jan Paweł II, Zbigniew Herbert, Wiesław Chrzanowski. I niech odpoczywa w Pokoju! ©℗

eprasa.pl c557d2be61

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

Moment Churchilla i patriarchat

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Naczelny dziennika „La Stampa" Andrea Maraguti popełnił komentarz redakcyjny, którym wpisał się złotymi zgłoskami aż do trzech opasłych ksiąg: historii wazeliniarstwa, podłości i głupoty. Swoje rojenia zatytułował „Meloni, Atreju i moment Churchilla Elly Schlein".

Chodziło mu o to, że szefowa lewicowej Partii Demokratycznej, Elly Schlein, odrzuciła zaproszenie Giorgii Meloni na doroczne święto jej ugrupowania, Bracia Włosi, w Rzymie [nazwą „Atreju" święto nawiązuje do „Niekończącej się opowieści" – przyp. P.K.].

Zaczął od słów Churchilla o układzie monachijskim: „Mieliście do wyboru hańbę lub wojnę. Wybraliście hańbę, będziecie mieli wojnę". I w ekstazie obwieścił czytelnikom, że liderka postępowców, odrzucając zaproszenie Meloni, „wybrała Churchilla", przeżyła „moment Churchilla" i zachowała się dzielnie jak Churchill, który nie poszedł na ugodę z Hitlerem.

Maraguti, wazeliniarz albo/i wariat, porównał pyskatą, agresywną postępówkę, której dotychczas nie udało się powiedzieć ani zrobić niczego mądrego, z Churchillem. Ale – co ważniejsze, podłe i haniebne – obrany z rozumu naczelny wpływowej włoskiej gazety na dodatek porównał Giorgię Meloni do Hitlera. Dotychczas szajbolewica głosiła, że Meloni jest faszystką. Maraguti poszedł dalej. Zdiagnozował nazizm.

Natomiast gwiazda żurnalizmu telewizyjnego, superpostępowa Lilli Gruber (była europosłanką z listy postkomunistów), odniosła się do makabry, która wstrząsnęła całą Italią: 22-latek z premedytacją i okrucieństwem zabił dziewczynę, która go porzuciła. Gruber stwierdziła, że to wina panującego w Italii prawicowego patriarchatu, którego owocem jest obecna premier. Giorgia Meloni napisała na X, że Gruber opowiada głupoty. Przypomniała, że wraz ze swoją siostrą zostały wychowane przez mamę i babcię (ojciec znikł, gdy miała roczek), więc wypadałoby mówić o matriarchacie. Gruber w kolejnym ataku delirium uznała tę reakcję za atak na wolność prasy.

Skąd to wszystko? Nie wiem. Ten typ tak ma. ©℗

eprasa.pl c557d2be61

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

CELEBRYTKI BIORĄ SIĘ ZA FRAKI

Nie po to celebryci wspierali Donalda Tuska i jego ekipę, żeby teraz krytykować. Wiadomo, priorytetem jest rozliczenie PiS, tak więc realizację obietnic trzeba odsunąć na dalszy plan. – Myślałam ostatnio dużo, że te ekstremizmy prowadzą często do obronnej postawy i że ktoś staje okoniem i mówi „nie" – stwierdziła prezenterka Agnieszka Woźniak-Starak w nowym odcinku podcastu, którego jest współprowadzącą. – Zastanawiam się, czy lewicowe środowiska zawsze robią dobrą robotę. Czy naprawdę, zaczynając

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

X edycję Sejmu awanturą o aborcję dostępną do 12. tygodnia ciąży, to jest to, od czego naprawdę chcemy zaczynać? To są ważne tematy, ale, kurczę, czemu nie potrafimy myśleć trzy kroki do przodu i trochę lepiej planować – kontynuowała. Dziennikarce zawtórowała druga gospodyni programu, Gabi Drzewiecka. – Kurczę, myślę, że problemem jest to, że z jednej strony chcemy ludzi edukować i uświadamiać w różnych tematach, ale przez takie ekstremalne zachowanie budujemy mur – stwierdziła. – Nawet mój opór to budzi, mimo że jestem za, jestem otwarta, ale jak ktoś zaczyna rozmowę z tak wysokiego tonu i tak agresywnie, to jest mur – dodała Agnieszka. Gościem podcastu była aktorka Zofia Zborowska, która ewidentnie nie ma zamiaru rezygnować ze swoich poglądów na rzecz wygaszania sporów. – Jest mur, ale z drugiej strony jestem w stanie to zrozumieć, słuchałyście pewnie wywodów pana Brauna o in vitro i ręce po prostu opadają – stwierdziła. – Naprawdę się wk..wiłam przez ostatnie parę lat – stwierdziła. I podkreśliła, że liczy na realizację obietnic dotyczących „praw kobiet". – Myślę, że te dziewczyny, które nas reprezentują w Sejmie, chcą z buta wjechać, żeby zawalczyć o to, co nasze – wskazała Zborowska. – Zosia, ale żeby to nam nie wyszło bokiem. 15 października nastąpiła rewolucja wielka, bardzo ważna rzecz i nie zniszczmy tego awanturami, bo zaraz się wszyscy pokłócą, zaczną sobie skakać do gardeł i nic z tego nie będzie – zaoponowała Woźniak-Starak. – Myślę, że nasz marszałek na to nie pozwoli i wyłączy mikrofon. Ale liczę, że będzie dobrze – ucięła Zborowska ze śmiechem. „Nasz", czyli TVN?

MICHAŁ LICZY NA SZYMONA

Nadzieje w „naszym marszałku" pokłada nie tylko Zosia. Michał Żebrowski również bacznie śledzi poczynania Szymona Hołowni i ewidentnie mu kibicuje. – Trzymam za niego kciuki. Może nie kupuję popcornu, ale oglądam – stwierdził aktor, odnosząc się do wypowiedzi lidera Polski 2050. – Drodzy państwo, zaopatrzcie się w popcorn solidnie na najbliższy wtorek i środę, bo przypuszczam, że będzie się działo – mówił Hołownia. Michał Żebrowski liczy, że nowa władza będzie mieć oblicze Szymona Hołowni i dzięki temu odmieni nastroje społeczne. – Mam nadzieję, że jest w stanie zrobić coś dla ludzi. Przede wszystkim, żebyśmy się wszyscy zaczęli lubić, szanować, doceniać, taktownie do siebie odnosić, ze zrozumieniem, pięknie się różnić i przede wszystkim dawać przykład młodemu pokoleniu, żeby młode pokolenie mogło na nas patrzeć z podziwem, a nie z odrazą – wskazuje aktor. – Dzięki talentowi Hołowni być może zmieni się ten trend – podkreśla Żebrowski. Ciekawe, o jaki talent chodzi? Bo jeśli o ten do autopromocji, to nowy marszałek faktycznie ma gigantyczny potencjał.

AKCJA EKSPLORACJA

Koniec zachwytów nad Szymonem Wspaniałym. Teraz czas pozachwycać się nieosiągalną dla większości otwartością umysłu wokalisty Michała Szpaka. Podcaster Żurnalista zapytał muzyka o kwestię tożsamości płciowej. W ubiegłym roku poruszenie wywołał bowiem tajemniczy wpis piosenkarza, w którym określił się jako „osoba queerowa". – Może się okaże, że pojadę do Tajlandii, zrobię sobie cycki i będę Michaliną? – sugeruje teraz Michał Szpak. – Mam totalną potrzebę eksploracji. Porównam to niefortunnie do Michaela Jacksona. Zmienił siebie, stał się innym człowiekiem. Jedna część mnie bardzo się do tego wyrywa. Połowa. Druga połowa mówi mi: „Spokojnie. Przemyśl to. Na pewno tego chcesz? Bo to proces nieodwracalny" – wyznał piosenkarz. Czyli głos rozsądku jeszcze walczy.

ZŁE JĘZYKI

News wszechświata i okolic – Marta Manowska jest trudna we współpracy i nie integruje się ze współpracownikami. Tak przynajmniej twierdzi informator portalu ShowNews. „Manowska się nie integruje w firmie, nie ma przyjaciół. Jest trudna we współpracy, nie potrafi współpracować z dziennikarzami, wręcz odwrotnie – zraża media do siebie. Zarabia krocie i jest gwiazdą" – przekazał. Ponadto prowadząca hitowy program „Rolnik szuka żony" ma na sumieniu to, że „dużo podróżuje i nie ma zamiaru zrezygnować ze swoich planów". W efekcie nie dostaje propozycji prowadzenia imprez. Manowska odpowiedziała krótko i dosadnie. – Jestem dość aktywna w mediach społecznościowych. Wywiadów udzielam, gdy zostanę o to poproszona. Mówię oczywiście, jak to wygląda z mojej perspektywy. Bardziej aktywna być nie chcę – podkreśliła. A co z zarzutami o złe relacje z kolegami z pracy? – Proszę zapytać moich przyjaciół, ekipy – odparła prezenterka. Ech, te złe języki... ©℗

eprasa.pl c557d2be61

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, prawicowe szury podniosły lamenty, iż niby Ryszard Petru jest zwolennikiem wyprzedaży polskiej ziemi obcokrajowcom. Niestety, nie wiemy, czy to prawda, iż ostatnio zdiagnozowaliśmy u siebie ADD, czyli dysfunkcję polegającą na niemożności utrzymania uwagi, i nie zdołaliśmy odszukać wpisu źródłowego.

Pochylmy się za to nad innym problemem. Czy serio wyprzedawanie polskiej ziemi obcokrajowcom jest takie złe, jak mogłoby się to wydawać nacjonalistom? No chyba nie xD.

Sami zobaczmy, co Polacy robią z tą swoją ziemią. Na wsiach sadzą w niej ziemniaki, buraki czy jakieś inne pospolite składniki używane do robienia sałatki jarzynowej na Winter Holidays. Zamiast uprawy np. kiełków suhi, tofu czy owoców morza – przecież klimat nam się ociepla, a oni dalej tylko jabłka i gruszki.

A z tą polską ziemią w miastach to niby lepiej? Na każdym rogu tylko różne automaty do odbioru paczek, sklepy z jakimś płazem czy też gadem w logo, gdzieniegdzie kościół, punkt do zaciągania kredytów chwilówek i oddział banku.

Czy więc serio powinniśmy się martwić, iż tę ziemię kupią jacyś obcokrajowcy, którzy przyjadą do nas, zrobią trochę porządku, wniosą jakąś myśl estetyczną, że przyjemniej będzie w tej przestrzeni publicznej przebywać? My więc jesteśmy na tak.

Kochani, jesteśmy bardzo podekscytowani, iż już w tym tygodniu, jak co roku, nawiedzi nas świecki Mikołaj. Of kors my jesteśmy kolektywem postępowym, racjonalnym, dlatego nie bawimy się w gusła i of kors nie wierzymy też, iż przerośnięty krasnal z reklam Coca-Coli wchodzi nocą przez komin i zostawia nam prezenty. No bo nie jest tak, prawda…?

Poza tym przecież my nie mamy komina, kominy to mają chłopskie lepianki na Podkarpaciu, żeby osobobociany miały na czym wić gniazda albo po to, iżby współrywalizować z sąsiadem, czyja chałupa ma dłuższy komin.

Musicie więc wiedzieć (no nie, tak naprawdę nie musicie, wiedza jest dobrowolna), iż nasz świecki Mikołaj jest osobą głęboko racjonalną i co najlepsze – istnieje naprawdę. Co roku delegujemy bowiem tę osobę członkowską kolektywu, która ma najdłuższą brodę, iżby przebrała się na czerwono i brała resztę z nas na kolana.

Jednak, of kors, nie chodzi o rozdawanie nam prezentów, a o racjonalizację zasobów posiadanych w ramach kolektywu. Jeśli więc ktoś otrzymał premię za sprzedaż, a inni nie, to ten, kto otrzymał, oddaje premię innym, iż nie może ich dyskryminować z uwagi na to, że urodził się uprzywilejowany, a więc z talentem do sprzedaży pakietów Internet + telefon + fotowoltaika.

Uważamy więc, iż nasze świeckie celebrowanie mikołajek jest o wiele bardziej użyteczne społecznie i edukacyjne niż tradycyjne podejście, w którym osobodzieci są uczone, iż jak czegoś chcą, to dostaną. W ten sposób hodujemy sobie nowe pokolenie neoliberałów.

Osobodzieci powinny być raczej uczone, że jak czegoś się bardziej chce, to najczęściej się tego nie dostaje – w ten sposób zostaną w użyteczny sposób przygotowane do dorosłości i życia w społeczeństwie. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

O byciu ministrem

Pani Heniu, a to takie coś, co mi pani przyniosła, to co to jest?
To jest do podpisu, pani minister.

A ja mam to czytelnie podpisać czy mogę takim bazgrołkiem?
Wszystko jedno.

A mogę długopisem czy musi być tym piórem, które dostałam przy zaprzysiężeniu? Bo ja piórem nie umiem.
Nie ma znaczenia.

A jakim kolorem muszę podpisać? Bo akurat mam czarny długopis w torebce, taki jednorazowy.
Może być czarny.

No to wie pani… to bycie ministrem nie jest jednak takie trudne. Jeden papier podpisuję, czym chcę, i mogę iść do domu?
Ale tam pod spodem jest jeszcze ta teczka. Tam jest więcej papierów.

O matko! A możemy zamówić taki stempelek gumowy z podpisem? Żeby jakoś szybciej szło.
Na dwa tygodnie? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jeśli nie będą chcieli oddać władzy, zgodnie z werdyktem narodu, to my, naród, będziemy musieli ją im odebrać".

TOMASZ LIS, *publicysta, na portalu X*

eprasa.pl c557d2be61

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W odróżnieniu od ludzi złośliwych i bez serca nie zamierzamy kpić z nowych ministrów nowego rządu premiera Mateusza – że zamiast obiecanego rządu ekspertów powstał rząd nołnejmów i wiceministrów. Otóż nie, kochani, wszyscy, którzy zgodzili się przyjąć ofertę, wykazali się podstawową i najważniejszą kwalifikacją, którą musi posiadać kandydat na ministra: gotowością do wzięcia roboty, kiedy nikt inny jej nie chce.

Wcale nie żartujemy. Z tego, co nam wiadomo, łowy były długie i trudne. Propozycję ministrowania u Mateusza dostało bowiem grubo ponad sto osób. Tak coś ze sto kilkadziesiąt. W tym wielu posłów raz senatorów. Dziwnym trafem właśnie kandydaci z tych ostatnich grup wykazali się wielką niechęcią do awansu. Zaiste, wielka jest w PiS frakcja bezjajecznych. Gwoli ścisłości: w każdej partii jest wielka, ale to żadne pocieszenie.

Idź do wojska, wyjdziesz na ludzi. To było stare hasło. Nowe brzmi: idź do wojska, ocalisz posadę. Na czas jakiś. To tłumaczy nagły przypływ entuzjazmu patriotycznego u pracowników różnych spółek Skarbu Państwa. Zaciągają się oni do Wojsk Obrony Terytorialnej. Wzmożenie ma przyziemne przyczyny. W okresie służby nie można takich osobników zwalniać z roboty ani zmieniać im warunków umowy o pracę. Prawda, że sprytne?

Mamy jednak złą wiadomość dla nowych rekrutów. Owszem, posady na jakiś czas ocalą, ale nie ochroni ich to przed wezwaniem do służby np. przy ochronie granicy z Białorusią. Również w czasie Bożego Narodzenia i sylwestra. I taki właśnie pomysł mają przyszli rządzący. W dodatku wyjątkowo skrupulatnie chcą sprawdzać wszelkie zwolnienia lekarskie.

Skoro już o wojsku. Przyszły minister obrony, czyli Władysław Kosiniak-Kamysz, zaczął nagle mówić, że jednak nie wolno zrywać podpisanych za czasów PiS kontraktów na broń. Przyczyna jest prosta: „Roma locuta, causa finita". Tyle że to nie Roma, tylko Waszyngton locuta. I to nie ustami ambasadora. Są inne kanały komunikacji. Ale sprawa nie jest finita, bo szef Władka, czyli Donek, zwraca głównie uwagę na informacje z innej stolicy.

Przy okazji – przepraszamy, jeśli dowcip jest zbyt oczywisty, ale ktoś to musi pierwszy powiedzieć. Czy nie sądzicie, że od chwili powołania szefa resortu obrony powinniśmy nazywać lidera ludowców Władysław Kosiniak-Kamasz? Odrzucamy hejt złych ludzi, których oburzają żarty wymagające przekręcania nazwisk. My możemy. Nie uwierzylibyście, na ile sposobów przekręcano nasze.

Nieszczęśnik Kamasz. Ledwo skończył bronić armii, a już musiał odkręcać aferę wiatrakową. No ale po to właśnie Zły Donald bierze do rządu Kosiniaka na wicepremiera. Żeby tłumaczył się za wszystkich. Dla młodszych czytelników: my to pamiętamy z poprzedniej ery PeŁo. To się nazywa rządzenie przy pomocy teorii zderzaków. Miszcz Donald, pierwsze zderzaki już się zużywają, choć on jeszcze nawet nie został premierem.

Z życia służb. Do przyszłych rządzących zgłosił się jeden z wysokich, a nawet bardzo wysokich funkcjonariuszy służb reżimu PiS. Osobnik w stopniu pułkownika. Przyszedł z propozycją, że dostarczy kwity na jednego z prezesów dużej spółki Skarbu Państwa. W zamian oczekuje możliwości pozostania w służbie aż do momentu, kiedy osiągnie uprawnienia emerytalne. Jednak do emerytury brakuje mu całej kadencji.

Skoro o emeryturach – pisaliśmy już jakiś czas temu o nowej pladze w CBA, czyli o zalewie raportów o zwolnienie ze służby celem przejścia na emeryturę. Proces trwa i się pogłębia. Kilka delegatur Biura za chwilę praktycznie przestanie istnieć. Zostaną tylko ci, którzy nie mają praw emerytalnych. Gdyby próbować kompletować kierownictwo z tych, którzy zostaną, to może się szybko okazać, że naczelnicy będą się wywodzić ze służby ochrony, a dyrektorzy ze świeżaków tuż po studiach.

Sprawy zagraniczne. Zwykle po jakiejś idiotycznej i groźnej dla państwa decyzji personalnej piszemy: „Na Kremlu strzelają korki od szampana". Jednak nie zawsze to prawda. Na przykład w rządzie Donalda wiceszefem MSZ ma zostać przedstawiciel lewicy, niejaki Andrzej Szejna. Po tej nominacji korki od szampanów strzelać będą w Pekinie. Moskwa nie jest bowiem już jedyną stolicą, na którą orientują się nasi internacjonaliści.

Wyjaśniamy. Andrzej Szejna jest wielkim admiratorem dorobku wodza Xi. „Prace i publikacje Pana Prezydenta Chin Xi Jinpinga uważam za wybitne. Pan Xi Jinping zwraca wielką uwagę na rozwój chińskiej gospodarki i społeczeństwa i nie tylko dotyczy to najważniejszego wyzwania, jakim jest walka z ubóstwem, ale także rozwoju klasy średniej. Klasa średnia to ci Chińczycy, którzy mają marzenia, aspiracje i ciężko pracują, aby ich plany się materializowały". To tylko jeden ze smakowitych cytatów z Szejny.

Mało kto wie, że od roku Szejna jest jednym z wiceprzewodniczących Partii Europejskich Socjalistów. Co przypomniało nam o ostatnich dokonaniach socjalizmu w Europie. Na przykład w głosowaniu w europarlamencie w sprawie zmiany traktatów Leszek Miller, Włodzimierz Cimoszewicz czy Róża Thun głosowali ręka w rękę z wnuczką Benita Mussoliniego – Alessandrą. Tak doszło do historycznego porozumienia: wszak komuniści i faszyści to po prostu jedna rodzina socjalistów. My to akurat zawsze wiedzieliśmy. ©℗

eprasa.pl c557d2be61

ZAINWESTUJ W MIĘDZYZDROJACH

VILLA
KSIĄŻĄT POMORSKICH
MIĘDZYZDROJE

GOTOWE APARTAMENTY

300 m od morza

ZAPYTAJ
BEZPOŚREDNIO:

Apartamenty już
od 410 000 zł netto

Unikalna wysokość
apartamentów do 4 m

Doskonała lokalizacja
przy Parku Zdrojowym

Budowa
na ukończeniu

villaksiazatpomorskich.pl

+48 222 645 268

eprasa.pl c557d2be61

Dzikie Pola na unijnych dopłatach

Jakub Wozinski

Przyjęcie Ukrainy do Unii Europejskiej zwyczajnie się Polsce nie opłaca. Stanowiąc dla ukraińskiej gospodarki okno na świat, więcej korzyści uzyskamy na przyznaniu Ukrainie statusu kraju stowarzyszonego z UE

Ostatnie tygodnie w relacjach polsko-ukraińskich zdominowała kwestia protestu polskich przewoźników. Tuż po rosyjskiej inwazji Bruksela umożliwiła Ukraińcom w zasadzie nielimitowane przewozy na terenie Wspólnoty, na czym najmocniej ucierpiały polskie firmy transportowe. W całej sprawie najbardziej zdumiewająca jest jednak postawa rządu Mateusza Morawieckiego, który zamiast wstawić się za rodzimą branżą, wybrał bierność w imię utrzymywania poprawnych relacji z Kijowem za wszelką cenę.

Wcześniej miała miejsce awantura o zboże, która zaowocowała nawet złożeniem przez Ukrainę skargi na Polskę do Światowej Organizacji Handlu. Władze z Kijowa ostatecznie ją zawiesiły, niemniej cała sprawa pozostawiła ogromny niesmak. Pomimo tych wszystkich wydarzeń polski rząd pozostaje bezsprzecznie największym na arenie międzynarodowej zwolennikiem przyłączenia Ukrainy do Unii Europejskiej. Nie zmieniły tego nawet kolejne skandaliczne zachowania najwyższych przedstawicieli ukraińskiego państwa. Zarówno Mateusz Morawiecki, jak i prezydent Andrzej Duda stali się po 24 lutego 2022 r. niemal apostołami sprawy ukraińskiej, stopniowo przełamując niechęć wielu przywódców do idei przyłączenia do wspólnoty kraju, który obecnie zmaga się z rosyjską agresją.

WRZEŚNIOWE OTRZEŹWIENIE

Ukraina złożyła swój oficjalny wniosek o przystąpienie do UE w dramatycznych okolicznościach 28 lutego 2022 r. Ówczesne sondaże wskazywały, że nawet 95 proc. Polaków popiera pomysł włączenia zmagającego się z agresją kraju zarówno do NATO, jak i Unii. Mając tak silną legitymację społeczną dla tej idei, polski rząd rzucił się w wir dyplomatycznych zabiegów, których ukoronowaniem było przyznanie Ukrainie przez Radę Europejską 22 czerwca 2022 r. oficjalnego statusu kandydata do członkostwa.

Romantyczna kampania na rzecz Ukrainy prowadzona przez polski rząd mogła się początkowo wydawać sukcesem, a pod jej wpływem z różnych stron świata zaczęły nawet spływać czcze pochwały dla „nowego lidera Europy", a nawet „przywódcy krajów słowiańskich". Okazja do otrzeźwienia nadeszła dopiero we wrześniu, gdy

eprasa.pl c557d2be61

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski FOT. A. STEPANOV/AFP/EAST NEWS

rzekoma przyjaźń łącząca Kijów z Warszawą okazała się jedną wielką iluzją. O tym, że w rzeczywistości współpraca między oboma państwami nie układała się wcale tak różowo, można było wywnioskować z wielu wcześniejszych gestów i wydarzeń, jak choćby z utkwienia prac nad zapowiadanym od dawna traktatem o „przyjaźni” w martwym punkcie.

Po trwającym ponad półtora roku festiwalu marzycielstwa i naiwności konieczne jest dzisiaj nazwanie rzeczy po imieniu. W zamian za udzielenie Ukrainie pomocy w kluczowym momencie wojny, zapewnienie schronienia kilku milionom jej obywateli oraz wykonanie ogromnej pracy dyplomatycznej w celu zabezpieczenia jej interesów Polska ma zapłacić utratą suwerenności na rzecz Niemiec, które rozszerzając Unię na wschód, żądają w zamian fundamentalnych korekt w traktatach europejskich. Mówiąc najbardziej jasno, jak się da, Ukraina chce się odwdzięczyć, przyczyniając się do odebrania nam niepodległości.

Rząd Morawieckiego wyłożył tym samym Niemcom na tacy wręcz idealny sposób na ogranie samego siebie. Jako największemu orędownikowi przystąpienia Ukrainy do Unii Polsce będzie teraz trudno wycofać się z danej obietnicy, a Berlin daje wyraźnie do zrozumienia, że żąda od Polski najwyższej ceny. Jako wielki orędownik rozszerzenia wspólnoty o Ukrainę deklaruje się także Donald Tusk, którego trudno jednak posądzać o twarde postawienie się Niemcom. Jako polityk uległy względem Berlina może co najwyżej wynegocjować spowolnienie wdrażania całego procesu.

Będąc skonfrontowanymi z wizją utraty suwerenności, Polacy powinni wreszcie dostrzec, że udzielone na fali emocjonalnego solidaryzowania się z Ukraińcami poparcie dla ich akcesji wcale nie jest dobrym pomysłem. Skoro Ukraina już dziś, teoretycznie zawdzięczając Polsce tak wiele i zależąc wciąż od naszej pomocy, otwarcie kupczy naszą suwerennością przy współpracy z Niemcami, to absolutnie niedorzeczne jest przekonanie, że po akcesji nagle zmieni swoje nastawienie i stanie się naszym sojusznikiem. Ukraina może zostać na stałe wyrwana z rosyjskiej strefy wpływów, ale nie musi się to wcale wiązać z koniecznością wcielenia jej do unijnych struktur.

POLICZMY TO

Zacznijmy jednak od kwestii absolutnie bazowych, czyli finansów. Brukselski think tank Centre for European Policy Studies już we wrześniu ubiegłego roku opublikował analizy mające świadczyć na rzecz ukraińskiej akcesji. Wedle przedstawionych wyliczeń Ukraina mogłaby liczyć na coroczną wypłatę ok. 18–19 mld euro z unijnych funduszy, co stanowi niezwykle ostrożny szacunek. Jeśli natomiast wierzyć przeciekom, które opublikował niedawno „Financial Times”, to byłaby to kwota znacznie wyższa – nawet 26,5 mld euro rocznie. Jeszcze bardziej prawdopodobne wydaje się natomiast to, że trwająca wciąż wojna wymusi uruchomienie jeszcze większych funduszy. W praktyce kraje członkowskie już teraz przekazują nad Dniepr ogromne kwoty, gdyż Komisja Europejska zatwierdziła niedawno specjalny fundusz dla Ukrainy na lata 2024–2027 w wysokości 50 mld euro.

Teoretycznie 18,7 mld euro z unijnego budżetu dostała w 2022 r. także Polska, lecz należy pamiętać, że jednocześnie wpłaciliśmy do niego aż 7,4 mld. Ponadto nasze wpłaty do wspólnego budżetu wciąż rosną, a mając w perspektywie przyjęcie do wspólnoty biednej Ukrainy i krajów bałkańskich, musimy liczyć się z jeszcze większymi nakładami. Aż 60 proc. składki członkowskiej stanowią środki obliczone na podstawie udziału danego kraju w PKB całej wspólnoty. Mając na uwadze to, że jesteśmy jednym z niewielu dużych europejskich krajów, który w ostatnich latach zalicza jakikolwiek istotny wzrost gospodarczy, jesteśmy wręcz skazani na to, aby w dłuższej perspektywie dotować innych – w tym przede wszystkim Ukrainę. Tak zresztą wynika ze wspomnianego już przecieku z Sekretariatu Generalnego UE, o którym pisał „Financial Times”.

Paradoks całej sytuacji polega na tym, że zanim jeszcze Ukraina została przyjęta do UE, już teraz otrzymuje z Brukseli ogromne środki finansowe, podczas gdy wspierająca ją własnym sumptem i broniąca na arenie międzynarodowej Polska była przez kilka lat oskarżana o wyimaginowane grzechy przeciwko praworządności, nie będąc pewna otrzymania jakichkolwiek pieniędzy. To zdecydowanie źle rokuje na przyszłość.

MILIARDY NA OLIGARCHÓW

Lwią część środków, które popłyną z unijnego budżetu na Ukrainę, będą oczywiście stanowiły dopłaty dla rolnictwa. Biorąc pod uwagę to, że kraj ten posiada więcej ziemi uprawnej, niż liczy cała powierzchnia Polski, rocznie przysługiwałaby mu kwota rzędu 12–14 mld euro (dla porównania: Polska otrzymuje ok. 4,6 mld). Jak już opisywałem niedawno na łamach „Do Rzeczy” (nr 39/2023), wielkoobszarowe rolnictwo na Ukrainie jest w większości podporządkowane oligarchom i międzynarodowemu kapitałowi. Zgoda na akcesję Ukrainy do Unii oznaczałaby tym samym dotowanie patologicznych środowisk, które nie występują nigdy jako nasi sojusznicy. Operujący na mamucią jak na warunki europejskie skalę producenci rolni uzyskaliby tym samym kolejną przewagę nad konkurencją z Polski i innych krajów.

Przyłączenie Ukrainy do Unii Europejskiej oznaczałoby także rezygnację z jednego z naszych największych atutów

eprasa.pl c557d2be61

w postaci strategicznego położenia. Zbyt często zapomina się o tym, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przez wiele dekad Polska będzie stanowiła dla Ukrainy najważniejsze gospodarcze okno na świat. Formalnie Ukraina graniczy również ze Słowacją, z Węgrami, Rumunią i Mołdawią, ale to przez nasze terytorium przechodzą główne dostawy wojskowe, a ukraiński eksport opiera się głównie na naszych autostradach, liniach kolejowych i portach. Żadne z pozostałych państw sąsiadujących z Ukrainą nie posiada i długo nie będzie posiadało odpowiedniej infrastruktury potrzebnej do tego, aby obsłużyć tak duży przepływ surowców, towarów i ludzi, choćby ze względu na naturalną barierę w postaci Karpat. Polska jest łącznikiem między Ukrainą a Niemcami i resztą kontynentu, dlatego powinna wykorzystać ten atut i zarabiać na uprzywilejowanym dostępie do swojego wschodniego sąsiada oraz stawiać w oparciu o to twarde warunki. Przystąpienie Ukrainy do Unii sprawi, że premia z tego tytułu zostanie skonsumowana przez całą wspólnotę.

KRAJ STOWARZYSZONY

Najbardziej korzystnym rozwiązaniem z punktu widzenia polskich interesów byłoby przyznanie Ukrainie statusu kraju stowarzyszonego z opcją przystąpienia do strefy Schengen. Taki status posiadają obecnie Islandia, Norwegia, Szwajcaria i Liechtenstein. Polskie firmy i obywatele uzyskaliby w ten sposób dostęp do ukraińskiego rynku, a Ukraina możliwość stopniowego dostosowania swoich niskich obecnie norm życia publicznego do standardów obowiązujących w pozostałej części kontynentu. Status kraju stowarzyszonego pozwalałby Kijowowi zachować pewien wpływ na kształt polityki wspólnego rynku, a samo jego uzyskanie byłoby możliwe znacznie wcześniej niż pełne członkostwo. Tym samym Ukraińcy otrzymaliby gwarant zespolenia z zachodnią Europą w dość nieodległej perspektywie czasowej, co znacząco nasyciłoby ich dążenia.

Przystąpienie Ukrainy do wspólnoty miałoby dla Polski fatalne skutki także z tego powodu, że jako kraj zubożały, wyniszczony i pozostający na finansowej kroplówce USA i Brukseli byłaby ona w sposób szczególny skłonna do coraz większych politycznych ustępstw względem francusko-niemieckiego przywództwa wspólnoty. Polsce z najwyższym trudem przychodziło dotąd montowanie koalicji przeciwko najbardziej szkodliwym pomysłom eurokratów, a w razie akcesji Ukrainy byłoby o to trudniej niż kiedykolwiek. Wchodząc do Unii jako pełnoprawny członek, nasz ogarnięty wojną sąsiad otrzymałby znaczącą liczbę stanowisk i mandatów, jeszcze bardziej rozmywając realny wpływ Polski na kształt unijnej polityki. W kontekście choćby narastającej radykalizacji realizowanej przez Brukselę zielonej agendy zapraszanie Ukrainy to wręcz proszenie się o jeszcze większe kłopoty.

Polska musi policzyć własne koszty ukraińskiej akcesji do UE, rozważyć wszystkie za i przeciw, mając za priorytet swoją suwerenność oraz obronę wpływów, a dopiero potem deklarować swoje poparcie

Szczególnie istotny argument przeciwko przyłączaniu naszego wschodniego sąsiada do wspólnoty to wreszcie ten, który wskazuje na jeszcze większe skomplikowanie własnej ścieżki ewentualnego wystąpienia z UE. W interesie Polski nie leży tak naprawdę rozszerzanie Unii o żadne państwa, gdyż każde rozszerzenie wzmacnia potencjał budowanego sukcesywnie unijnego superpaństwa. Jeśli za 10 lub 20 lat Ukraina znalazłaby się w Unii, to jedynym sąsiadem spoza wspólnoty pozostałaby Białoruś. W takich warunkach perspektywa polexitu stałaby się jeszcze bardziej skomplikowana.

LOBBING NA WŁASNĄ SZKODĘ

Zasadniczym błędem polskiego rządu od samego początku było to, że z wielkim zapałem przystąpił do lobbingu na rzecz członkostwa Ukrainy w UE, nigdy nie żądając niczego w zamian. Zupełnie inaczej na całą sprawę patrzy Viktor Orbán, który nieustannie targuje się z Kijowem i Brukselą, żądając w zamian za poparcie dla akcesji m.in. przyznania praw językowych dla Węgrów z Zakarpacia czy też uwolnienia zamrożonych funduszy unijnych. A w zasadzie węgierski premier wciąż nie deklaruje niczego zobowiązującego, dając do zrozumienia, że będzie stawiał kolejne warunki.

Czy Orbán zachowuje się jak nieczuły na ukraińską tragedię egoista? Możliwe, ale Polacy powinni wreszcie zrozumieć, że dokładnie tak samo od bardzo dawna wobec naszego kraju zachowują się – wbrew wszelkim pozorom – ukraińskie władze. Polska musi obowiązkowo „bezdusznie" policzyć sobie koszty ukraińskiej akcesji, rozważyć wszystkie za i przeciw, mając za priorytet własną suwerenność oraz obronę wpływów, a dopiero potem deklarować swoje poparcie. Niestety, rząd Morawieckiego postawił wszystko na głowie: najpierw wyraził entuzjastyczną zgodę, a dopiero potem został skonfrontowany z kosztami.

Indagowany o przystąpienie Ukrainy do Unii Europejskiej Viktor Orbán sam odpowiada pytaniami: A jakie Ukraina ma terytorium? Ilu ma mieszkańców? Tego rodzaju pytania w obowiązującym w Polsce kanonie przyjaźni z Ukrainą za wszelką cenę niestety się nie mieszczą. Ów kanon zakłada jednak fałszywie, że przedmiotem agresji stał się kraj o w gruncie rzeczy podobnej charakterystyce co Polska i wierny podobnym ideałom życia politycznego. W rzeczywistości zaś wrześniowy krach pozornej przyjaźni polsko-ukraińskiej miał swoje źródło właśnie w tym, że tamtejsze elity dokonały skrajnie egoistycznego rachunku i uznawszy, że pomoc płynąca z Polski nie będzie już miała tak wielkiego znaczenia jak do tej pory, zdecydowały się na długofalową współpracę z siłami, które chcą nam ewidentnie zaszkodzić. Naiwny idealizm polskiego rządu jedynie zachęcił drugą stronę do odważnych działań i – jak widać wyraźnie – Ukraińcy wcale nie pomylili się w swojej ocenie, gdyż z Warszawy wciąż płyną zapewnienia o przyjaźni.

Przyjmowanie tak skrajnie wyrachowanego partnera do UE to dla Polski zbyt wielkie ryzyko. Rząd Morawieckiego wyraził już wprawdzie zgodę in blanco, ale w obliczu warunków stawianych przy tej okazji przez Niemcy jest wciąż pora, aby się wycofać. Dla całej Europy oczywiste jest, że Ukraina zadała Polsce cios poniżej pasa, i nikt nie zdziwiłby się, gdyby Polska nagle zmieniła zdanie. Ale czy zmieni?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

Kijów na wojnie handlowej z Polską

Maciej Pieczyński

Ukraina bezwzględnie korzysta z nadanych przez Brukselę przywilejów, żeby podbić europejskie rynki, w tym przede wszystkim polski. Już w przededniu wojny wymuszała na Warszawie ustępstwa w sferze transportu. Spór o przewoźników to kolejna, po sporze o zboże, bitwa w polsko-ukraińskiej wojnie handlowej

Trwający od kilku tygodni spór o przewozy towarowe między Polską a Ukrainą nie jest nowy. Przed wojną Kijów i Warszawa ustalały konkretne limity zezwoleń wydawanych na wjazd samochodów ciężarowych z jednego kraju do drugiego. W przededniu inwazji rosyjskiej panował parytet. Granicę w obie strony mogło przekroczyć po 160 tys. ciężarówek rocznie. Polscy przewoźnicy nie wykorzystywali całej puli zezwoleń. Ukraińcy natomiast domagali się zwiększenia limitu do 200 tys.

Firmy transportowe z obu krajów zarabiały raczej na kursach na zachód niż na wschód. Polska jest natomiast od dawna potentatem w tej branży. Tanie usługi ukraińskich przewoźników to dla polskich firm bardzo groźna konkurencja.

W styczniu 2022 r. Ukraina zablokowała tranzyt kolejowy z Azji do Polski przez swoje terytorium. Oficjalnym powodem była konieczność przeprowadzenia prac remontowych na kolei. Tajemnicą poliszynela było jednak, że Kijów w ten sposób chciał na Warszawie wymusić ustępstwa w kwestii transportu drogowego. Ekipa Zełenskiego zdecydowała się na ten krok dosłownie w przededniu wybuchu wojny. Warto w tym kontekście przypomnieć, że od kilku miesięcy Kijów publicznie oskarża Warszawę o blokadę eksportu do UE ukraińskiego zboża, choć rzeczona blokada dotyczy tylko kilku krajów, a tranzyt przez polskie terytorium odbywa się bez problemów.

SZANTAŻ JAKO NARZĘDZIE

Ostatecznie jeszcze przed inwazją obie strony sporu o transport doszły do porozumienia. Ukraina odblokowała tranzyt kolejowy do Polski. Polska zaś zgodziła się na zwiększenie limitu przewozów dla ukraińskich kierowców do 180 tys. Szantaż Kijowa odniósł skutek. Warszawa ustąpiła. Trudno się zatem w zasadzie dziwić, że w kolejnych miesiącach Zełenski i jego ekipa bez wahania wykorzystywali każdą słabość swojego uległego sojusznika.

W pierwszej fazie wojny jednostronność relacji nie rzucała się jeszcze w oczy. Wtedy priorytetem była obrona niepodległości Ukrainy, dla Polski stanowiącej bufor oddzielający od Rosji. Interes był więc wspólny. Jednak gdy tylko zaczęły się pojawiać jakiekolwiek sprzeczności, różnice zdań, Kijów nie zamierzał ustąpić ani na centymetr. Tak było w przypadku zboża, tak jest teraz w sprawie przewozów. Ukraińcy zapamiętali uległość polskiego rządu podczas negocjowania liczby zezwoleń. Jednak z praktycznego punktu widzenia zawarty wówczas „kompromis" szybko stracił znaczenie. Po wybuchu wojny Unia Europejska spory o transport odgórnie rozstrzygnęła na korzyść Kijowa, znosząc nie tylko limity zezwoleń, lecz także w ogóle zezwolenia dla ukraińskich kierowców, którzy od tej pory mogą bez przeszkód podbijać unijne rynki. Tylko między styczniem a wrześniem tego roku do Polski wjechało ok. 880 tys. ciężarówek zza południowo-wschodniej granicy. Ukraińskie firmy transportowe mają podwójną przewagę nad polską konkurencją. Po pierwsze, oferują tańsze usługi. Po drugie, nie muszą przy tym spełniać wymogów panujących w UE. Nie są m.in. obciążone pakietem mobilności.

I właśnie dlatego polscy przewoźnicy, protestujący przy granicy z Ukrainą, domagają się przywrócenia systemu limitowanych zezwoleń dla obu stron. Chcą też zmian na przejściach granicznych. Unijne (w tym polskie) tiry, które wracają z Ukrainy bez towaru, miałyby być przepuszczane w pierwszej kolejności. Obecnie właściciele firm muszą dodatkowo płacić pracownikom za kilku-, a nawet kilkunastodniowe stanie w kolejce do granicy. Z kolei unijne ciężarówki z ładunkiem miałyby stać w oddzielnej kolejce. Obecnie muszą zapisywać się w kolejce w elektronicznym systemie jeCzerha. Według Kijowa to oznaczałoby

eprasa.pl c557d2be61

dyskryminację kierowców spoza UE. Polscy przewoźnicy argumentują jednak, że jeCzerha faworyzuje Ukraińców. Rejestrować się w systemie można bowiem, jedynie przebywając na terenie Ukrainy.

Negocjacje z ukraińskim ministerstwem infrastruktury na razie nie dały żadnych rezultatów. Kijów nie chce spełnić postulatów. Komisja Europejska zagroziła Polsce sankcjami za naruszenie prawa unijnego, w przypadku gdyby blokada się przedłużała. Liderem protestu jest Rafał Mekler z Konfederacji, jednak poparcie dla przewoźników deklarują również pozostałe partie. Przedstawiciele wciąż jeszcze rządzącego obozu negowali lub bagatelizowali zasadność protestu. Według wersji protestujących policja pomagała jadącym na Ukrainę ciężarówkom omijać blokady. W końcu jednak PiS zadeklarował wolę rozwiązania problemu w negocjacjach z Brukselą, której decyzja o zniesieniu zezwoleń doprowadziła do obecnej sytuacji. Ministerstwo Infrastruktury zapowiedziało też wzmożenie kontroli ukraińskich kierowców.

Protest polskich przewoźników przed przejściem granicznym z Ukrainą, Hrebenne, 27 listopada

FOT. WOJTEK JARGIŁO/PAP

Protest polskich przewoźników wywołał falę emocjonalnej krytyki ze strony ukraińskich dziennikarzy. Podobnie jak w przypadku kryzysu zbożowego w narracji naszych sąsiadów pojawia się mnóstwo półprawd, manipulacji czy obelg

KŁAMLIWA NARRACJA

Protest przewoźników wywołał kolejną falę emocjonalnej krytyki pod adresem Polski ze strony ukraińskich dziennikarzy, polityków, a także zwykłych internautów. Podobnie jak w przypadku kryzysu zbożowego w narracji naszych południowo-wschodnich sąsiadów pojawia się mnóstwo kłamstw, półprawd, manipulacji czy obelg. Część ukraińskich mediów sugeruje, że za protestem stoją rosyjskie służby specjalne. „Blokada granicy przestaje być pokojowym protestem i dziś wygląda jak próba destabilizacji Ukrainy przed zimą" – stwierdziła w mediach społecznościowych Alina Makarczuk, ukraińska dziennikarka, która pracowała m.in. w związanej z Poroszenką Espreso.tv, a obecnie związana jest z TVN24 i prowadzi ukraińskojęzyczny projekt Agory Ukrayina.pl.

Założyciel telewizji Espreso i wpływowy polityk Solidarności Europejskiej Mykoła Kniażycki nazwał protest przewoźników „ciosem w splot słoneczny" Ukrainy, wymierzonym w warunkach, gdy dostawy uzbrojenia i pomocy humanitarnej odbywają się w zasadzie wyłącznie drogą lądową.

„Naszym polskim przyjacielom [pisownia oryginalna – przyp. red.] należałoby powrócić się do rzeczywistości. Cały wasz gigantyczny wkład w zwycięstwo Ukrainy w tej wojnie niweluje się przez grupę marginalistów, którzy blokują dostawy towarów humanitarnych dla kraju, który już drugi rok broni swojej niepodległości i bezpieczeństwa Europy" – napisał na X mer Lwowa Andrij Sadowy. Wpis wywołał słuszne oburzenie, bo akurat przewozy humanitarne, wojskowe, towarów szybko psujących się oraz transport osób przepuszczane są przez protestujących. Polska fundacja Zakres, zajmująca się dostarczaniem pomocy humanitarnej na Ukrainę, zarzuciła Sadowemu wprowadzanie opinii publicznej w błąd. „W przeciągu ostatnich 3 tygodni nasze transporty z pomocą humanitarną dla obwodu chersońskiego przejeżdżają bez problemu granicę (zarówno do 3,5 tony, jak i większe). Bez problemu przekraczają ją również kierowcy innego pochodzenia wiozący pomoc humanitarną zgłoszoną przez odprawę elektroniczną z nadanym ID, dzięki czemu obsługiwani są poza kolejnością […]. Oczywiście rządowa oraz międzynarodowa pomoc humanitarna i sprzęt wojskowy […] przejeżdża granicę w niezakłóconym trybie specjalnym" – czytamy w treści oświadczenia fundacji, której nie sposób posądzić o niechęć do Ukrainy.

Obiektem ataków stał się również organizator protestu Rafał Mekler. Został nawet wpisany na listę „wrogów Ukrainy", tworzoną przez organizację pozarządową Myrotworeć. „Jeśli Ukraina przegra przez takiego potwora jak ty, to będziesz miał dwie możliwości: umrzeć z rąk Rosjan lub obciągnąć ich ku.asy. Czy zapomnieliście już o historii Polski pod rządami ZSRR? K..wa [pisownia oryginalna – przyp. red.]" – napisała pod jednym ze zdjęć Meklera popularna na portalu X Kateryna Hałuszka, medyk pola walki w armii ukraińskiej.

Krytycy protestu uderzają też w PiS. Kniażycki zarzucił partii Kaczyńskiego, że choć nie wspiera wprost protestów, to zasłaniając się demokratycznymi standardami, zezwala na ich prowadzenie. Zdaniem

eprasa.pl c557d2be61

Kniażyckiego to „cyniczne i populistyczne" działania, których celem jest utrudnienie sytuacji ekipie Tuska przed objęciem rządów. Opozycyjny polityk oskarżył protestujących, kierowanych przez „prorosyjską partię Konfederacja", o to, że „wprost lub mimochodem" grają na realizację interesów Kremla. Kniażycki zauważył, że polscy przewoźnicy nie chcą prowadzić rozmów z odchodzącym rządem PiS, tylko ze zwycięską Koalicją Obywatelską. Wyciągnął stąd zaskakujący wniosek. W jego ocenie przewoźnicy chcą, by Donald Tusk, który w kampanii zapowiadał proukraińską politykę, zaczął swoje rządy nie od wysyłania broni na Ukrainę, tylko od rozmów o blokowaniu granicy. To zaś miałoby zmusić go do antyukraińskiego zwrotu.

Podobnie uważa liberalny publicysta Witalij Portnykow. Jego zdaniem PiS celowo nie rozwiązuje kryzysu, aby „jeden z największych autorytetów europejskiej polityki" (czyli Tusk) musiał zacząć kadencję od trudnych negocjacji z oburzonymi kierowcami, które to negocjacje mogą negatywnie odbić się na sondażach PO. Kniażycki i Portnykow (jak przystało na ukraińskich liberałów) zdają się na tyle zauroczeni Tuskiem i jego „europejskim", ugodowym wizerunkiem, że nie zauważają, iż środowisko KO już wielokrotnie krytykowało PiS za nieskuteczność w obronie polskiego interesu w relacjach z Kijowem. Wiadomo, że było to podyktowane celami bieżącej polityki, ale faktem jest, że Tusk nie jest dogmatycznym ukrainoentuzjastą. Również dlatego, że ukrainoentuzjazm nie jest dogmatem polityki niemieckiej.

Zełenski wyjątkowo gryzie się w język i apeluje: „Dajmy naszym sąsiadom trochę czasu". Zapewne, podobnie jak liberalni komentatorzy z obozu opozycji, liczy na to, że po dojściu do władzy Tuska Polska zrobi porządek z przewoźnikami. Z kolei ukraiński przedsiębiorca i bloger Ołeksij Dawydenko porównuje obecny spór o transport do sytuacji z początków XXI w. Wtedy również kraje UE obawiały się konkurencji ze strony taniej siły roboczej ze wschodu kontynentu. Miejsce Ukrainy zajmowała wówczas Polska. Polscy przewoźnicy, dzięki niższej cenie i wyższej jakości, wyparli kierowców ze Starej Europy. Wtedy jednak nikt nie zamykał przed nimi granic – przekonuje Dawydenko.

NIEUCZCIWA KONKURENCJA

Protest polskich kierowców stał się kolejnym, po kryzysie zbożowym, punktem zapalnym w relacjach Kijów – Warszawa. Podobieństwa tych dwóch konfliktów są uderzające. W obu przypadkach możemy mówić o pełzającej wojnie handlowej, którą Kijów wypowiedział Warszawie. W obu przypadkach „agresji" towarzyszy osłona propagandowa – czyli pełna manipulacji, półprawd i kłamstw narracja. Ukraińscy politycy i dziennikarze wtedy wbrew faktom mówili o „blokadzie eksportu do UE", choć dotyczyła ona tylko kilku krajów UE. Teraz wbrew faktom oskarżają Polaków o blokadę pomocy humanitarnej.

Zarówno rolnictwo, jak i transport są tymi dziedzinami gospodarki, w których Ukraina z Polską konkuruje w sposób nie do końca uczciwy. Wielkoobszarowe latyfundia ukraińskich (a także zagranicznych, inwestujących nad Dnieprem) oligarchów korzystają z żyznej i bardzo taniej ziemi. Sytuację dobrze oddaje porównanie cen z 2021 r. (najbardziej aktualne dostępne zestawienie). W obwodzie kijowskim, gdzie ziemia jest najdroższa, kosztowała 2,3 tys. euro za hektar. W Polsce najtaniej hektar gruntu można było nabyć za ok. 7 tys. euro. Ta przepaść cenowa dotyczy również transportu. Jak podał w rozmowie z „Rzeczpospolitą" jeden z ukraińskich kierowców, średnie zarobki to 700 euro miesięcznie. Tymczasem właściciele polskich firm transportowych muszą swoim pracownik płacić za miesiąc minimum 2,5 tys. euro.

Gdyby jedynym problemem była kwestia cen, można byłoby częściowo zgodzić się z Ołeksijem Dawydenką, że ukraińscy kierowcy czy rolnicy są dziś w tym samym miejscu, w którym byli polscy kierowcy czy rolnicy na progu wejścia do UE. Nie chodzi jednak tylko o to, że nasi południowo-wschodni sąsiedzi proponują tańsze towary i usługi. Konkurencja jest nie do końca uczciwa, ponieważ ani ukraińscy rolnicy, ani ukraińscy przewoźnicy nie muszą spełniać kosztownych norm unijnych. To zaś stawia ich w bardzo komfortowej sytuacji. Mają unijne przywileje przy braku unijnych obowiązków. Korzystają z możliwości, które dała im Komisja Europejska, otwierając dla nich rynek na preferencyjnych zasadach. Tak się składa, że najwięcej traci na tym gospodarka akurat tego kraju, który najwięcej i najbardziej bezinteresownie zainwestował w bezpieczeństwo Ukrainy.

Jednak Kijów, w odróżnieniu od Warszawy, nie kieruje się sentymentami. Na wschodzie prowadzi wojnę militarną, natomiast na zachodzie prowadzi wojnę handlową – z tymi, którzy są sojusznikami w tej pierwszej wojnie. W ukraińskim arsenale są polityczna broń w postaci względnego poparcia elit unijnych oraz propagandowa broń w postaci szantażu moralnego, który można streścić następująco: „Albo robicie, co wam każemy, albo powiemy wszystkim, że wspieracie Rosję".

To drugie coraz mniej działa, zarówno na polską, jak i na zachodnią opinię publiczną. To pierwsze działało dopóty, dopóki rządził PiS. Niemcy twardo stały po stronie Ukrainy, sprzeciwiając się przedłużeniu embarga na ukraińskie zboże. Warto jednak przypomnieć, że Donald Tusk w czasie kampanii krytykował PiS za to, że nie broni interesu polskich rolników, a już po zwycięstwie wyborczym ponoć przekonywał do tejże obrony szefową Komisji Europejskiej. Nie oznacza to, że Tuskowi na polskich rolnikach zależy, ale na ich poparciu już tak.

Zachód jest zmęczony wojną i postawą roszczeniową Kijowa. W tej sytuacji Bruksela i Berlin, mając w Warszawie „swojego człowieka", mogą mu pozwolić na przynajmniej pozorowaną asertywność wobec Kijowa. PO być może więc będzie robić mniej więcej to samo co PiS, tyle że z błogosławieństwem Unii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

Z Kacprem Płażyńskim, posłem Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Plan na trudne czasy

RYSZARD GROMADZKI: Tak się złożyło, że premiera pana książki „Wszystkie pionki Putina" zbiegła się z odwołaniem przez nową sejmową większość całego składu Komisji ds. Badania Wpływów Rosyjskich. To oznaka, że partia moskiewska w Polsce triumfuje?

KACPER PŁAŻYŃSKI: Jesteśmy jeszcze przed ostatecznymi rozstrzygnięciami politycznymi, ale rzeczywiście wszystko wskazuje na to, że osoby odpowiedzialne za reset z Rosją wracają do władzy w Polsce. Obawiam się, że zostanie on przeprowadzony na tę samą modłę, co po 2007 r., a więc na życzenie i pod przewodnictwem Niemiec. Donald Tusk ma do spłacenia duże długi wobec naszego zachodniego sąsiada, Niemcy są promotorami jego kariery. A Berlin daje sygnały, że chce powrotu do interesów z Rosją, że żadnych realnych rozliczeń z wieloletniej bliskiej kooperacji z reżimem Putina nie będzie. Wymowny jest tu przypadek Manueli Schwesig, ważnej postaci SPD, zwanej – z racji demonstrowanych przez nią prorosyjskich sympatii – „Schröderem w spódnicy". Pani Schwesig, jako premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego, była inicjatorką fundacji, która pozwalała firmom zaangażowanym w budowę gazociągu Nord Stream 2 uniknąć amerykańskich sankcji. Niedawno Schwesig została przewodniczącą Bundesratu, odpowiednika naszego Senatu.

W tej sytuacji naszym zadaniem, zadaniem propaństwowej opozycji, będzie skuteczna obrona najważniejszych strategicznych projektów podjętych w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości, które są niewygodne dla Rosjan i Niemców. Mówię tu przede wszystkim o bardzo szybkiej rozbudowie armii, Centralnym Porcie Komunikacyjnym czy budowie elektrowni atomowych.

Przypadek Manueli Schwesig nie jest odosobniony. W Niemczech głośna jest obecnie sprawa znanego dziennikarza, eksperta do spraw rosyjskich, który miał przyjmować ogromne sumy z Moskwy.

Tak, sprawa Huberta Seipela jest dość charakterystyczna dla niemieckiego mainstreamu dziennikarskiego, który był – a moim zdaniem nadal jest – po prostu prorosyjski. Oczywiście nie zawsze miłość do Moskwy wynikała, jak u Seipela, z gratyfikacji finansowych, ale efekt był zawsze taki sam: usprawiedliwianie neoimperialnej polityki Kremla, atakowanie krajów, które Rosji się sprzeciwiały, ocieplanie wizerunku Putina. Opisuję kilka podobnych przypadków w mojej książce.

Czy Komisja ds. Badania Wpływów Rosyjskich nie powinna powstać kilka lat temu, nawet w 2015 r., na progu pierwszej kadencji PiS, a nie „na rympał" tuż przed ostatnimi wyborami? W takich okolicznościach Tuskowi nietrudno było przekonywać wyborców, że nie chodzi tu o żadne rosyjskie wpływy, ale o to, żeby to jemu, Tuskowi, personalnie dokopać.

Bezpośrednimi impulsami do powstania komisji były pełnoskalowy atak Rosji na Ukrainę i fakty, które w związku z nim zaczęły wychodzić na jaw w całej Europie. Czy mogła powstać wcześniej? Moim zdaniem tak, być może nawet kilka lat temu. Nie można jednak godzić się na narrację, że chodziło o to, by dopiec Tuskowi przed wyborami. To są bardzo poważne sprawy, dotyczące bezpośrednio bezpieczeństwa państwa.

Dziś, np. dzięki programowi „Reset" prof. Cenckiewicza i redaktora Rachonia, opinia publiczna zna mechanizmy, które określały politykę ekipy Tuska wobec Rosji, możemy prześledzić ją także w wymiarze europejskim. Widzimy, jak na przestrzeni ostatnich 30 lat budowane były relacje Zachodu z Rosją. Uważam, że wciąż niezwykle ważne jest zdzieranie masek, pokazanie, kto jest kim, i odsunięcie ludzi odpowiedzialnych za promowanie rosyjskich interesów od wpływu na przyszłość Polski i Europy.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Czy w sytuacji oczekiwania zachodniej Europy na nowy reset z Rosją i zmiany politycznej, która dokonała się w Polsce po ostatnich wyborach, szansa na wyjaśnienie tragedii smoleńskiej jeszcze bardziej się oddaliła?

Mam nadzieję, że nie. Co oczywiste, mam do tej sprawy osobisty stosunek. Cały czas czekam na zakończenie śledztwa, w którym nie można

epresa.pl c557

postawić kropki nad i z uwagi na to, że śledczy czekają na spłynięcie wszystkich opinii biegłych reprezentujących różne prestiżowe instytucje międzynarodowej nauki. Polska prokuratura zwróciła się o sporządzenie opinii w poszczególnych specjalizacjach do najlepszych ośrodków na świecie badających katastrofy lotnicze i kwestie związane z wykorzystaniem materiałów wybuchowych. To są autorytety, których nie da się podważyć naukowo. Czekam na ich ekspertyzy. Bez nich śledztwa nie da się zakończyć. Mam nadzieję, że Tuskowi nie wystarczy czasu, by to zatrzymać.

Dlaczego Polacy odwrócili się od prawicy w ostatnich wyborach?

Polacy nie odwrócili się od prawicy. Po pierwsze, najwyższe poparcie w wyborach zyskało Prawo i Sprawiedliwość. Po drugie, większość wyborców prezentuje konserwatywne, zdroworozsądkowe, podobne do naszego podejście do najważniejszych kwestii. Mówię tu choćby o poparciu dla rozbudowy armii, strategicznych inwestycji rozpoczętych przez PiS i sprzeciwie wobec zmian w traktatach unijnych. Ludzie głosujący na PSL, ta część wyborców Konfederacji, która odrzuca prorosyjskie i ultraliberalne ciągoty liderów ugrupowania, lewicowcy odwołujący się do tradycji dawnej PPS, a pewnie nawet co mniej zradykalizowani wyborcy PO chcą niepodległej, silnej i dostatniej Polski. Myślę, że Polska powinna nas wszystkich łączyć. Na tym fundamencie powinna być zbudowana retoryka naszego obozu. Mniej partyjniactwa, a więcej dobrych propozycji dla tych, którzy opowiadają się za niepodległością i normalnością. Podkreślę: jest to zdecydowana większość Polaków.

Czy to oznacza, że widzi pan szansę na rozbicie koalicji PO-Trzecia Droga-Lewica? Może być tak, że sojusze się odwrócą i PiS otrzyma znowu możliwość współrządzenia?

Uważam, że sojuszy w obecnym Sejmie trzeba szukać w różnych konkretnych sprawach. Zabiegać o nie cierpliwie, pokazywać, dokąd prowadzi ślepe posłuszeństwo Tuskowi. Nawet jeśli teraz wydaje się to wręcz niemożliwe, to za jakiś czas posłowie PSL, od Szymona Hołowni czy Lewicy, zobaczą, że współpraca z liderami takimi jak Tusk, którym w istocie nie chodzi o nic poza tym, żeby piąć się po szczeblach indywidualnej kariery, jest drogą na manowce. Będzie na tym traciła Polska, będą politycznie tracić wszystkie grupy żyrujące działania Tuska. Myślę, że to w końcu zbliży ich ku nam. I mam nadzieję, że wycofają oni poparcie dla takich ludzi jak Radosław Sikorski, który publicznie oskarżał polski rząd, że chciał dokonać wspólnie z Rosją rozbioru Ukrainy. Wierzę, że prędzej czy później definitywnie skończy się era polityków, którzy nie ponoszą w Polsce odpowiedzialności za największe podłości.

> **Uważam, że sojuszy w obecnym Sejmie trzeba szukać w różnych konkretnych sprawach. Zabiegać o nie cierpliwie**

Wynik wyborów jest jednak jasny. PiS przegrał trzecią kadencję. Dlaczego?

Tak, to oczywiście trzeba nazwać porażką. Jest ona wypadkową wielu spraw. Na wynik na pewno miały wpływ kwestie obiektywne, takie jak zmiany cywilizacyjne, demografia, kwestie geopolityczne czy przewaga medialna naszych rywali. Do tego komunikacja, strategia na kampanię wyborczą itd. To wszystko jest analizowane i na pewno ta analiza doprowadzi do cennych wniosków. Uczciwość nakazuje, by zwrócić też uwagę na słabość niektórych naszych ludzi. Zdarzały się postaci, które bardziej stawiały na prywatę niż na kwestie państwowe. I to psuło nasz wizerunek, pozwalało opozycji sprawnie malować obraz kraju rozrywanego aferami, upadającego. Mimo że przecież to całkowite kłamstwo. Ostatnie osiem lat było wspaniałym czasem dla rozwoju Polski. W ciągu ostatnich ośmiu lat Niemcy powiększyli swój PKB o 7 proc., my o ponad 30 proc. Wykorzystaliśmy szansę, by przygotować kraj na trudne czasy. Wzmocniliśmy wojsko i służby. Ucywilizowaliśmy i zmodernizowaliśmy Polskę, wprowadzając liczne programy społeczne, inwestując w pomijane dotąd części kraju czy cyfryzując państwo. Niestety, zabrakło konsekwencji w odcinaniu różnych patologii.

Na przykład?

Choćby w sprawie Szymona Gajdy, która – co wiem z rozmów z mieszkańcami Pomorza – odstręczyła wielu naszych dotychczasowych wyborców od głosowania na PiS. Gajda to trójmiejski działacz naszej partii, który w atmosferze skandalu odszedł z eksponowanego stanowiska w jednej ze spółek Skarbu Państwa. Po kilku miesiącach, jakby nic się nie stało, powołany został na regionalnego szefa ważnej państwowej instytucji. Nominacja ta miała opłakane skutki. Pan Gajda dbał bowiem – to nie tylko moja opinia – przede wszystkim o własną popularność i miejsce w Sejmie. Niedługo przed wyborami jego instytucja przeprowadziła akcję billboardową, w której bez żenady eksponowano wizerunek szefa. Za publiczne pieniądze drukowano też edukacyjne kolorowanki dla młodzieży, których bohaterem był… pan Gajda. Każdy mógł sobie pokolorować działacza PiS. Takie nieuczciwe i żenujące zagrywki narażały nas na słuszny gniew wyborców, a także na śmieszność. Ludzie się śmiali i mówili, że niczym nie różnimy się od Platformy. Ostrzegałem kierownictwo PiS, że wpuszczanie na nasze listy kandydatów pokroju Gajdy przyniesie same straty, że jest szkodliwe dla morale partii w terenie. Niestety, nie było reakcji. A powinna być ona moim zdaniem błyskawiczna.

Po raz kolejny uzyskał pan w wyborach bardzo dobry wynik. I to w Gdańsku, mateczniku Platformy Obywatelskiej. Mówi się o panu jako „wielkiej nadziei prawicy", a nawet spekuluje na temat pańskiego kandydowania w wyborach prezydenckich w 2025 r. Jak pan reaguje na takie głosy?

Jestem młodym człowiekiem i politykiem, który dopiero zdobywa doświadczenie. Nie ma więc mowy o kandydowaniu na najważniejsze stanowisko w państwie. Ani ja tego nie biorę pod uwagę, ani nikt z liderów prawicy ze mną o tym nie rozmawiał. Po stronie konserwatywnej jest wielu wybitnych, doświadczonych ludzi, którzy kierują się pobudkami ideowymi przy podejmowaniu decyzji politycznych. I spośród nich zostanie wybrany kandydat, który wygra bardzo ważne wybory w 2025 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

Dyktator, ale nasz?

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli traktować zapowiedzi Donalda Tuska poważnie, to nadchodzą w Polsce czasy politycznego bandytyzmu

Premier in spe oraz ludzie postrzegani jako jego bliscy współpracownicy codziennie sypią w mediach pogróżkami, których nie powstydziłby się Mussolini. W wielkim skrócie sprowadza się to do obietnicy, że żadna konstytucja, żadne prawo ani zasady nie przeszkodzą im w skutecznym przejęciu pełni władzy i zemście na przegłosowanych poprzednikach. Uchwały doraźnej sejmowej większości mają zyskać moc nadrzędną, funkcjonariusze publiczni – także ci najwyżsi rangą, chronieni konstytucyjnymi kadencjami – mają zostać wyprowadzeni z gabinetów siłą, uprawnienia prezydenckie – zignorowane. Wszystko to oczywiście pod hasłem „przywracania praworządności", rzekomo zniszczonej przez „faszystów, którzy rządzili do wczoraj" – jak to ujął oszalały z nienawiści i żądzy odwetu (i będący pod tym względem reprezentatywnym przykładem swojego środowiska) były prezes Trybunału Konstytucyjnego Andrzej Rzepliński.

W dogadzaniu temu środowisku wizjami bezwzględnej zemsty Tusk posunął się już nawet do obietnicy, że „rozliczy" także tych, którym nie da się postawić żadnych formalnych zarzutów, bo „nie zawsze to, co zgodne z formalnymi procedurami, jest zgodne z przyzwoitością, standardami demokracji czy zwykłym ludzkim rozsądkiem".

ZDOLNY DO WSZYSTKIEGO

Rozliczenia niemające w Polsce precedensu, których podstawą prawną ma być „zwykły rozsądek", określany przez widzimisię polityków, którzy zdołali zdobyć w parlamencie więcej mandatów – a to dzięki kandydatowi niespodziance, przedstawiającemu się jako rzekoma alternatywa również wobec Tuska – i doznali takiego zwrotu głowy, jakby społeczeństwo udzieliło im poparcia porównywalnego z popaździernikowym wybuchem nadziei związanych z Gomułką? W dodatku składa te zapowiedzi nie prawdziwy wygrany tych wyborów, wspomniany przed chwilą Hołownia, który zdołał do opozycji przeciw PiS przyciągnąć nową, decydującą grupę wyborców, tylko Tusk, prowadzący w rankingu nieufności wobec polityków, który swój powrót dosłownie „wymęczył"?

Sprawia to wrażenie tak absurdalne, że większość Polaków zdaje się traktować wszystkie te buńczuczne pogróżki Tuska jako li tylko gadanie, obsługujące emocje sfrustrowanych elit, które sukcesy PiS na osiem lat odsunęły od znaczenia. Zapowiedzi, które powinny wzbudzić stanowczy sprzeciw, traktowane są jak kolejny „spin" – ot, skończy się jak zwykle na jakichś sejmowych komisjach, z których od czasów Rywina nic nigdy nie wynikło. Przewodniczący PO przez wiele lat przecież przyzwyczaił Polaków do tego, że jak mówi, to mówi. Nikt nie zliczy jego buńczucznych i krańcowo sprzecznych zapowiedzi i pogróżek – począwszy od seryjnie składanych w kampanii wyborczej 2007 r. obietnic, że to on właśnie rozbije „układ" i oczyści kraj z ośmiornicy korupcyjno-mafijnych powiązań, którą PiS ledwie tylko zadrasnął, przez „kastrowanie" pedofilów, przywrócenie porządku na stadionach i rozprawę z handlarzami

eprasa.pl c557d2be61

dopalaczami,, aż do „skutecznego" rozprawienia się z nasyłanymi na nas przez Łukaszenkę i Putina migrantami.

Jednak poza bezprzykładną zdolnością przechodzenia do porządku dziennego nad własnymi wczorajszymi słowami i przeskakiwania bez mrugnięcia okiem od opowieści o żegnaniu krzyżem każdego bochenka chleba do wściekłego antyklerykalizmu i od neoliberalizmu do skrajnej lewicowości Tusk pokazał też już w swojej karierze, że potrafi bez skrupułów imać się najbardziej nawet gangsterskich chwytów. To przecież za jego czasów pacyfikowano bezwzględnie media, „wyciskając" brytyjski Mecom z „Rzeczypospolitej" i załatwiając u Angeli Merkel i Friede Springer usunięcie redaktora naczelnego „Faktu", trzymano latami w „aresztach wydobywczych" przypadkowych „kiboli", dokonywano kolejnych policyjnych prowokacji wobec Marszu Niepodległości, fałszowano szczegóły tragedii w Smoleńsku, pacyfikowano brutalnie protesty górników, kupców i pracowników innych branż. Nie ulega kwestii, że jeśli coś powstrzyma Tuska przed otwartym łamaniem prawa i politycznym bandytyzmem, który obiecuje fanatykom ze swego obozu, to na pewno nie będzie to jego sumienie czy przywiązanie do demokratycznych zasad.

POZWOLENIE Z ZAGRANICY

Może odegrać taką rolę lęk przed reakcją ogółu Polaków. Tusk w ostatnim czasie wykazywał się o wiele lepszym słuchem społecznym i pragmatyzmem niż jego zakrzepli w zadowoleniu ze swoich rządów wrogowie. W porę zmienił wizualną oprawę swej partii z błękitno-tęczowej na biało-czerwoną, a zdezawuowaną pomarańczową buźkę na niebieskim tle w biało czerwone (czy jak – mówią złośliwi – czerwone i puste w środku) serduszko, porzucił retorykę bezwzględnego poddania Unii Europejskiej, nakazał nawet swoim europosłom głosować, wbrew swojej frakcji EPL, przeciwko proponowanym zmianom w traktatach unijnych. Prawdopodobnie zdaje sobie sprawę, że co innego rajcować środowiska fanatycznie antypisowskie gadaniem o przyszłej zemście, a co innego naprawdę złamać podstawowe konstytucyjne zasady. Sondażowa popularność PiS, wbrew powszechnej prawidłowości, pomimo przegranych wyborów zdaje się nie spadać, a retoryka zemsty i rozliczeń mobilizuje symetrycznie także znieważany i odczuwający zagrożenie elektorat prawicowy. Do pewnego momentu jest to gra opłacalna w równym stopniu zarówno dla Tuska, jak i dla Kaczyńskiego, dążących od zawsze do zaostrzania polaryzacji i eliminowania ze sceny politycznej bytów niepodlegających bezpośrednio ich władzy. Ale nie jest nieprawdopodobne, że jeśli dociśnięty do ściany PiS wezwie swych zwolenników do czynnego sprzeciwu, to skutki będą bardziej okazałe od „ciamajdanu", którym swego czasu usiłował odwrócić wynik wyborów obóz lewicowo-liberalny.

Duże protesty uliczne mogłyby zaś utrudnić Tuskowi grę w Unii Europejskiej. I tu jest klucz do rozwiązania zagadki: Czy na jawne łamanie konstytucji i rządzenie uchwałami uzyska Tusk przyzwolenie zagranicy, która, udzielając mu tak daleko idącego wsparcia w powrocie do władzy, szermowała przecież właśnie „praworządnością", „zasadami europejskimi" i koniecznością przestrzegania przez Polskę „demokratycznych standardów"?

Sygnały płynące z Zachodu są niejednoznaczne. Na korzyść Tuska może działać przykład wieloletniego premiera Bułgarii Bojka Borisowa, na którego oczywiste nadużycia wszystkie gremia unijne przymykały oczy, gdyż był lojalnym członkiem EPL – w tym samym czasie, gdy miotały gromy na rzekome naruszanie praworządności w Polsce. Ale korupcyjnych problemów Bułgarii nie da się porównać z ostentacyjnym łamaniem konstytucji i praw obywatelskich, które zapowiada prąca do władzy koalicja skupiona wokół Tuska.

Krótko po ostatnich wyborach Klaus Bachman, od lat promujący liberalno-lewicowe salony korespondent prasy niemieckiej, zamieścił w „Berliner Zeitung" zaskakujący tekst, w którym przekonywał swych rodaków, że aby przywrócić „rządy prawa", zwycięzcy wyborów będą zmuszeni „sięgać po metody państwa policyjnego". Obudowane znakami zapytania i trybami warunkowymi brzmiało to jednak jak jednoznaczny apel do niemieckich elit i opinii publicznej o udzielenie prounijnemu Tuskowi „licencji na zabijanie", w imię zasady „cel uświęca środki". Apel Bachmana – z uwagi na wieloletnie zakorzenienia autora w polskich środowiskach lewicowo-liberalnych można domniemywać, że jakoś przez nie inspirowany – nie spotkał się z bezpośrednią odpowiedzią, ale miesiąc później inna niemiecka gazeta, „Frankfurter Allgemeine Zeitung", zamieściła tekst dwóch naukowców z instytutu „zagranicznego prawa publicznego i prawa międzynarodowego" Uniwersytetu w Heidelbergu, wprost przestrzegający nowy, lewicowo-liberalny rząd polski przed łamaniem prawa. „Podstawowa praworządnościowa zasada brzmi: cel nie uświęca środków" – piszą autorzy, przestrzegając, że działania pozaprawne mogą odsunięci od władzy zaskarżyć do TSUE, a wtedy ten „będzie musiał przyznać im rację" – choć, jak zastrzegają niemieccy profesorowie, „byłaby to dla Trybunału sytuacja trudna".

Czy istotnie trudna? Logika wskazuje, że wręcz przeciwnie. Gdyby PiS odwołał się od bezprawia Tuska do Unii, a ta mogłaby łaskawie przyznać rację teraz jemu, występując w roli gwaranta praw łamanych w Polsce zarówno przez jednych, jak i przez drugich, byłoby to fantastyczne umocnienie pozycji budowanego państwa europejskiego, którego nadrzędność uznałyby de facto w ten sposób już oba polskie polityczne plemiona.

UDAWANE POTĘPIENIE?

Gra jest warta świeczki, więc Tusk może być po cichu zachęcany, w duchu zaprezentowanym przez Bachmana, do okazania stanowczości – sprawa KPO pokazała, że metoda składania polskim politykom obietnic na gębę i uważania ich za niebyłe jest unijnym federalistom doskonale znana. Wedle znanej anegdoty jeden z prezydentów USA, gdy wyrzucano mu popieranie jakiegoś lokalnego bandziora w Trzecim Świecie, miał powiedzieć: „Owszem, to s.....syn, ale nasz s.....syn". Podobny status „naszego" może być obiecywany Tuskowi. Oferta może też brzmieć: „Rób, co chcesz, potem będziemy cię musieli za to potępić, ale zyskasz dobre pół roku, rok na całkowite zniszczenie wspólnego wroga".

Jak w istocie zapatrują się budowniczowie państwa europejskiego na buńczuczne zapowiedzi swojego pupila – nie wiemy. Ale pierwsze przesłanki, pozwalające coś w tej kwestii wnioskować, poznamy już niedługo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

Nie da się zgodnie z prawem „skrócić" kadencji prezydenta Andrzeja Dudy

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

W kierunku konstytucyjnego bezprawia?

Lech Mażewski

Jeszcze nowa liberalno-lewicowa koalicja nie objęła władzy, a już mamy wysyp propozycji odnoszących się zarówno do sposobu odwołania prezydenta Andrzeja Dudy, jak i przywracania praworządności, naruszonej jakoby w okresie rządów PiS. Większość z nich cechują sprzeczności z obowiązującym systemem prawa, w przypadku zaś realizacji niektórych może wręcz dojść do bezprawia

Wynik wyborów z 15 października 2023 r. doprowadził do powstania w Sejmie klubu PiS w roli wielkiej mniejszości blokującej (pisałem o tym w „DRz" nr 45/2023), która sprawi, że weto prezydenckie wobec ustaw przyjmowanych przez przyszły rząd Donalda Tuska będzie nie do przełamania. W tej sytuacji rodzi się pomysł stworzenia możliwości odwołania głowy państwa w drodze referendum.

Jako pierwszy zabrał w tej sprawie głos Lech Wałęsa. Na Facebooku zamieścił następujący wpis: „W związku z wieloletnią, szkodliwą działalnością Andrzeja Dudy jako Prezydenta wnoszę o referendum w sprawie skrócenia kadencji Prezydenta oraz rozliczenie z wszelkich nieprawości". Przychylił się do tego stanowiska prof. Marek Chmaj, który w programie „Super Expressu" „Dudek o polityce" zaznaczył: „Taka procedura w granicach konstytucji jest możliwa". Ponadto zauważył on, że gdyby referendum to spełniło warunki określone w art. 125 ust. 3 Konstytucji, czyli było wiążące, konieczne byłyby nowe wybory prezydenckie.

Jednocześnie na platformie X prof. Marcin Matczak, znana postać obozu liberalno-lewicowego, ripostował: „Uważam […] za groźne i błędne prawniczo pomysły,

eprasa.pl c557d2be61

aby usunąć PAD ze stanowiska w drodze ogólnokrajowego referendum w sprawie skrócenia jego kadencji". I dodawał: „Gdy się jednak chce usunąć z urzędu prezydenta, ma się do dyspozycji co najmniej dwie procedury konstytucyjne, specjalnie do tego celu przewidziane: pierwsza z nich to wybory prezydenckie, które są zaplanowane na 2025 r. Druga to postawienie prezydenta przed Trybunałem Stanu i złożenie go z urzędu". Skoro „nie chce się czekać na wybory albo nie ma się wystarczającej legitymacji demokratycznej, by postawić PAD przed TS, to [byłoby to – przyp. L.M.] jawne obejście prawa konstytucyjnego, motywowane populistycznie". „Nie idźmy tą drogą" – podsumował swoje stanowisko prof. Matczak.

W przypadku prezydenta Dudy argument o wyborach zaplanowanych na 2025 r. jest nietrafiony, gdyż występuje tu oczywista sprzeczność z art. 127 ust. 2 Konstytucji RP, który ogranicza liczbę kadencji prezydenckich do dwóch, a właśnie ta druga dobiega teraz kresu.

Zamiast odwoływania się do zupełnie niejasnego pojęcia populizmu należałoby napisać wprost, że zarówno Wałęsą, jak prof. Chmajem kieruje chęć odwetu pomieszana z groźbami mającymi na celu wymuszenie jego uległości, bez względu na istniejące przepisy konstytucyjne. Słusznie bowiem zaznaczył prof. Krzysztof Szczucki w rozmowie z portalem wPolityce, że „nie ma takiej możliwości, by w drodze referendum odwołać organy państwa czy skracać im kadencje, ponieważ konstytucja takiego rozwiązania nie przewiduje". Taka możliwość istnieje od 2002 r. w przypadku organu wykonawczego gminy i miast na prawach powiatu, ale wynika ona z wyraźnych regulacji prawnych zawartych obecnie w ustawie o samorządzie terytorialnym.

SĘDZIOWIE „DUBLERZY"

Do znudzenia poruszanym problemem przez siły liberalno-lewicowe w zakresie przywracania praworządności jest konieczność odwołania ze składu Trybunału Konstytucyjnego tzw. sędziów dublerów. Mieliby oni jakoby zasiadać w nim od 2015 r.

Trwający od połowy 2015 r. do końca 2016 r. spór wokół TK rozgrywał się na trzech płaszczyznach. Chodziło po pierwsze o stwierdzenie niemożności wyboru sędziów na zapas, co ustanowiła ustawa o TK z 25 czerwca 2015 r. Po wtóre, o spluralizowanie składu TK. I wreszcie po trzecie – o próbę wypracowania przez PiS nowego modelu funkcjonowania sądu konstytucyjnego.

Kwestię wyboru sędziów wyjaśniły dwa orzeczenia TK: wyrok z 3 grudnia 2015 r. (K 34/15) oraz postanowienie z 7 stycznia 2016 r. (U 8/15). Efektem postanowienia TK było w gruncie rzeczy pozostawienie Sejmowi carte blanche w sprawie wyborów sędziów przez koalicję PO-PSL w dniu 8 października 2015 r. Rozstrzygnięte to zostało w ten sposób, że Sejm uchwałami z 25 listopada stwierdził brak mocy prawnej uchwał z 8 października o wyborze sędziego ze względu na nieprawidłowości związane z brakiem odpowiedniego trybu wyborczego. Tym samym prezydent Duda mógł się zachować zgodnie z decyzjami Sejmu z końca listopada i początku grudnia 2015 r. i przyjąć ślubowanie od pięciu nowo wybranych sędziów. Profesor Andrzej Rzepliński, prezes TK, wręczył tym osobom pisma stwierdzające, że są sędziami TK, choć nie przydzielał im spraw do rozpatrywania.

Od tego momentu mamy do czynienia z sędziami TK, a nie tzw. sędziami dublerami, którzy orzekają od lat, i nie ma takiego przepisu umożliwiającego jakimkolwiek aktem prawnym dokonanie ich odwołania. Z pewnością nie może tego zrobić Sejm, a jedynie Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK w trybie postępowania dyscyplinarnego.

Dzisiejszej sytuacji nie da się porównać do tej z 2015 r. Wtedy dokonano powołania do TK osób niezgodnie z procedurą wyborczą i konstytucją. Ze względu na wątpliwości prezydent nie przyjął od nich ślubowania, a zatem nie byli oni sędziami TK. Sejm mógł uznać swoje uchwały za pozbawione mocy prawnej. Natomiast obecnie uchwały sejmowe już zostały wykonane i nie można ich uchylić ani uznać za pozbawione mocy prawnej, gdyż te trzy osoby, które nowa większość chciałaby odwołać – albo tych, którzy wstąpili w ich miejsce – zostały wówczas lub później sędziami TK.

Załóżmy, że Sejm przyjmie uchwały stwierdzające, że trzy stanowiska sędziów TK są nieobsadzone i że należy na nie wprowadzić osoby wybrane w dniu 8 października 2015 r. Ale najpierw musieliby oni złożyć ślubowanie przed prezydentem. Dlaczego miałby je przyjąć Andrzej Duda dziś, skoro nie uczynił tego osiem lat wcześniej? I dalej – w jaki sposób miałoby nastąpić opróżnienie trzech kwestionowanych stanowisk sędziów konstytucyjnych? Przecież nie na mocy tych bezprawnych uchwał sejmowych. A może bojownicy o przywrócenie praworządności liczą, że na tyle uda się zaszczuć tzw. sędziów dublerów, że sami zrezygnują z piastowania stanowiska sędziego TK?

Trafnie stwierdził prof. Szczucki: „Mamy w pełni obsadzony TK i wszyscy, którzy chcą dokonać zmian w jego składzie, muszą cierpliwie czekać na to, kiedy będą się kończyły kadencje poszczególnym sędziom".

Każde inne rozwiązanie, z wyjątkiem zastosowania postępowania dyscyplinarnego, byłoby oczywistym bezprawiem. Co więcej, stanowiłoby swoistą legalizację działań koalicji PO-PSL, która w 2015 r. chciała skonstruować taki skład sądu konstytucyjnego, żeby zagwarantować sobie dalszą dominację polityczną na wypadek spodziewanej porażki wyborczej. Ale to się nie udało, stąd dziś obóz liberalno-lewicowy przepełnia chęć odwetu.

KRAJOWA RADA SĄDOWNICTWA

Inną instytucją konstytucyjną, w której miałaby być przywracana praworządność, jest Krajowa Rada Sądownictwa. Konstytucja w art. 187 ust. 4 stwierdza jasno: „Ustrój, zakres działania i tryb pracy Krajowej Rady Sądownictwa oraz sposób wyboru jej członków określa ustawa". Sposób regulacji tych spraw zależałby zatem od decyzji ustawodawcy.

Na gruncie ustawy z 12 maja 2011 r. o KRS 15 członków, na 25 wszystkich, wybranych było spośród sędziów – Sądu Najwyższego, sądów administracyjnych, sądów apelacyjnych, sądów okręgowych i sądów wojskowych – na czteroletnią kadencję przez zgromadzenia ogólne lub zebrania przedstawicieli zgromadzeń ogólnych odpowiednich sądów. Brak tu przedstawicieli sądów rejonowych – mimo że orzekający tam sędziowie stanowią większość wszystkich sędziów w Polsce. Przyjęty na gruncie tej ustawy model KRS miał bez wątpienia charakter oligarchiczny ze względu na skład

eprasa.pl c557d2be61

i sposób powoływania. Do tak ukształtowanego organu należy przedstawianie prezydentowi wniosków w sprawie powołania sędziego i podejmowania wielu innych decyzji dotyczących jego sytuacji. W efekcie struktura oligarchiczna w łonie władzy sędziowskiej właściwie domykałaby się poprzez możliwość kooptacji i decydowania o karierze sędziego. Wiele lat temu oligarchiczny charakter KRS na łamach „Gazety Wyborczej" krytykował prof. Rzepliński.

8 grudnia 2017 r. Sejm dokonał nowelizacji ustawy o KRS. Odtąd prawo zgłaszania kandydatów do Rady ma grupa co najmniej 2 tys. obywateli oraz co najmniej 25 sędziów, w tym także sędziów sądów rejonowych. Sejm wybiera sędziów do KRS większością trzech piątych głosów w obecności co najmniej ustawowej liczby posłów, a w przypadku konieczności przeprowadzenia kolejnej tury głosowania – bezwzględną większością głosów przy tym samym quorum. Wymóg wyboru większością kwalifikowaną, a nawet bezwzględną, zmusza do poszukiwania konsensusu w sprawie obsady Rady. Poszerzeniu uległ zatem krąg podmiotów uprawnionych do wysuwania kandydatur do KRS.

Jeśli zaś chodzi o wpływ czynnika politycznego na kształtowanie składu tego ciała, to nie jest to niczym nadzwyczajnym na tle rozwiązań ustrojowych w innych państwach europejskich. 25 marca 2019 r. TK orzekł (K 12/18), że przepis dotyczący wyboru 15 sędziów – członków Rady – przez Sejm jest zgodny z konstytucją. W ten sposób złamany został oligarchiczny charakter Krajowej Rady Sądownictwa.

Ci, którzy chcieliby przywrócenia praworządności w KRS w sensie powrotu do modelu oligarchicznego tego ciała, powinni przede wszystkim doprowadzić do uchwalenia nowej ustawy o KRS lub nowelizacji obowiązującej. Oczywiście mogłoby się to spotkać z wetem prezydenckim. Nie do przyjęcia natomiast byłoby dokonywanie jakichkolwiek zmian w gronie sędziów członków Rady za pomocą uchwał sejmowych. Byłoby to takie samo bezprawie jak próba usunięcia tzw. sędziów dublerów ze składu Trybunału Konstytucyjnego. Poza tym groziłoby powstaniem dwóch KRS: obok dotychczasowej byłaby ta powołana przez większość liberalno-lewicową. W spółkach prawa handlowego takie sytuacje nie należą do rzadkości. W systemie władzy publicznej w Polsce dotychczas tego nie było, z wyjątkiem może podwójnych elekcji królewskich w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Po co nam ten kolejny przejaw anarchii w funkcjonowaniu państwa?

SĘDZIOWIE

Ostatni przypadek przywracania praworządności odnosiłby się do sytuacji sędziów powołanych przez prezydenta na wniosek KRS na gruncie noweli z 8 grudnia 2017 r. Skoro organ ten miałby mieć kwestionowany charakter prawny, to przedstawiane prezydentowi wnioski w sprawie powołania sędziego mogą być wadliwe. W skrajnym przypadku można by uznać, że powołanych w tym czasie 2,3 tys. sędziów nie jest sędziami, a więc i dokonywane przez nich rozstrzygnięcia prawne nie mają charakteru res iudicata. Niedawno na łamach „Rzeczpospolitej" wypowiedział się na ten temat prof. Marcin Wiącek, rzecznik praw obywatelskich.

Profesor Wiącek stwierdza: „Wadliwość składu KRS nie spowodowała, że powołania [sędziów przez prezydenta – przyp. L.M.] nie doszły do skutku". I dodaje: „Powinna powstać procedura, która umożliwiłaby […] »uzdrowienie« wadliwości procedury poprzedzającej powołanie – ale tylko w ramach, jakie tworzy Konstytucja RP". Tu następuje odwołanie się do treści art. 180 ust. 2 Konstytucji, który mówi o możliwości złożenia sędziego z urzędu „jedynie na mocy orzeczenia sądu i tylko w przypadkach określonych w ustawie". Nie można zatem tego dokonać uchwałą Sejmu, ale to ustawa powinna stworzyć podstawy prawne wskazujące, jak to zrobić. „Finalnie powinno być jednak orzeczenie sądu, oparte na indywidualnej ocenie sprawy" – konkluduje RPO.

W efekcie należałoby dokonać nowelizacji dwóch ustaw: o KRS, odchodząc od modelu z końca 2017 r., acz niekoniecznie wracając do rozwiązań z 2011 r., oraz prawa o ustroju sądów powszechnych, wprowadzając tam kolejne przesłanki usunięcia sędziego z urzędu. Nowa KRS miałaby dokonywać weryfikacji prawidłowości powołania każdego sędziego od końca 2017 r., a w przypadku stwierdzenia uchybień zagrażających niezawisłości sędziowskiej kierować sprawę do właściwego sądu.

Pozytywną cechą tej koncepcji jest widoczny brak radykalizmu w procesie przywracania praworządności wśród sędziów. „Odsunięcie tylu sędziów od orzekania, choćby tymczasowe, pogłębiłoby chaos w sądach i zagroziłoby realizacji prawa do sądu i rzetelnego procesu" – podkreśla RPO. W przypadku sędziów, którzy nie przeszliby planowanej weryfikacji, nie byłoby automatycznego uchylania wydanych przez nich wyroków, powinna jednak być możliwość ustalenia przez zainteresowanego, czy wyrok takiego sędziego został wydany w warunkach szanujących zasady rzetelnego procesu. Jednak gdyby przywracanie praworządności wśród sędziów miało się dokonywać na podstawie ustaw, ostatnie słowo należałoby do prezydenta dysponującego wetem ustawodawczym. Istnieje również możliwość skierowania nowel tych dwóch ustaw do Trybunału Konstytucyjnego w trybie art. 122 ust. 3 Konstytucji. W takim przypadku sąd konstytucyjny wypowiadałby się w sprawie konstytucyjności kolejnego modelu KRS oraz decydowałby, czy przedstawiona propozycja nie narusza zasady niezawisłości sędziowskiej.

Gdyby rzeczywiście doszło do próby odwołania prezydenta Dudy w drodze referendum, a ponadto praworządność w Trybunale Konstytucyjnym i Krajowej Radzie Sądownictwa byłaby przywracana za pomocą uchwał sejmowych, czyli w gruncie rzeczy decyzjami politycznymi, Polska zmierzałaby w kierunku konstytucyjnego bezprawia.

Natomiast nie należałoby oceniać tak surowo propozycji formułowanych przez prof. Wiącka, gdyż w kwestii weryfikacji powołań sędziów dokonanych na wniosek obecnej KRS stara się on zachować godny pochwały umiar. Zapewne tym razem nie byłoby protestów ze strony czołowych państw liberalnej demokracji czy Unii Europejskiej, a w przyszłości negatywnych reakcji międzynarodowych sądów. Musimy mieć świadomość, że w walce z możliwym bezprawiem konstytucyjnym możemy liczyć tylko na siebie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ustrojoznawcą.

eprasa.pl c557d2be61

Braterska burza z piorunami

Piotr Semka

W polskim Episkopacie kwestii rozchodzenia się dróg doktrynalnych między Kościołem niemieckim a Kościołem powszechnym nikt specjalnie nie chce poruszać. To osobista wrażliwość sumienia abp. Gądeckiego skłoniła go do występowania w tej kwestii. Jego niemieccy partnerzy na taki szczery dialog ani na posypywanie głowy popiołem nie mają jednak chęci

List abp. Stanisława Gądeckiego do papieża w sprawie niemieckiej „drogi synodalnej" wywołał niezwykle nerwową reakcję w Episkopacie Niemiec. Szef polskiego Episkopatu wskazał, że liczne elementy niemieckiej „drogi synodalnej" stoją w sprzeczności z doktryną Kościoła. Odpowiedź bp. Georga Bätzinga napisana została z użyciem form, które rzadko przeczytać można w korespondencji między bratnimi Kościołami. „Z pewną konsternacją i wielkim rozczarowaniem przyjąłem do wiadomości list, który wysłał ksiądz arcybiskup do Ojca Świętego 9 października 2023 r., a który został niedawno opublikowany" – pisze Bätzing.

Biskup wskazuje, że nie został poinformowany o zamiarze napisania takiego listu, co określił jako „niesynodalne i niebraterskie zachowanie". Zarzuca abp. Gądeckiemu użycie w liście „nieprecyzyjnych i fałszujących stwierdzeń".

I wreszcie najbardziej ostry retoryczny cios Bätzinga. „Zadaję sobie jednak pytanie, zgodnie z jakim prawem kanonicznym przewodniczący Konferencji Biskupów danego Kościoła ośmiela się osądzać katolickość innego Kościoła i jego Episkopatu. Pozwolę sobie zatem wyraźnie powiedzieć, że uważam list księdza arcybiskupa za ogromne przekroczenie jego uprawnień". Towarzyszy temu dodatkowy przytyk: „Niepokoi mnie wyrażony przez księdza arcybiskupa zdystansowany stosunek do współczesnej demokracji parlamentarnej – [...] zwłaszcza w świetle globalnej tendencji do wzrostu autokratycznych, a nawet dyktatorskich form rządów, troską, która powinna łączyć nas i nasze narody, które ucierpiały z powodu dyktatur, powinno być wzmocnienie osiągnięć demokracji, a nie ich umniejszanie".

Riposta abp. Bätzinga napisana jest tak, jakby list abp. Gądeckiego był jakimś gromem z jasnego nieba. Tymczasem w zeszłym roku metropolita poznański napisał list braterskiej troski o rozwój niemieckiej „drogi synodalnej" i jej rozmijanie się z doktryną Kościoła. Ówczesna odpowiedź abp. Bätzinga była wymijająca. Gdy więc abp Gądecki zobaczył, jak biskupi niemieccy prezentują wątpliwe założenia niemieckiej „drogi synodalnej" na temat roli świeckich w zarzadzaniu diecezjami, podjęciem dyskusji na temat kapłaństwa kobiet i innych modernizacyjnych postulatów, odniósł się już bezpośrednio do papieża Franciszka.

Cały konflikt został przyjęty w polskim Kościele z pewnym zakłopotaniem, a w niemieckim – z oburzeniem. Jednocześnie w tym samym czasie watykański sekretarz stanu kard. Pietro Parolin przypomniał, że decyzje niemieckiej „drogi synodalnej" nie są zgodne z nauczaniem Kościoła. Nie zmieniło to tego, że w Polsce znaleźli się rodzimi obrońcy Episkopatu Niemiec, tacy jak wpływowy medialnie jezuita o. Jacek Prusak, którzy zaatakowali abp. Gądeckiego za rzekome przyłączanie się do antyniemieckiej kampanii Prawa i Sprawiedliwości. Czy ostatnie starcie to kumulacja nieporozumień pomiędzy Kościołami po obu stronach Odry? Jak wyglądał dialog polskich i niemieckich biskupów w ciągu ostatnich 60 lat?

OD LODOWATEJ WROGOŚCI DO NADZIEI NA POJEDNANIE

Przez pierwsze 20 lat po wojnie dialog był bardzo trudny. W Episkopacie Niemiec wpływowi byli hierarchowie ze Śląska i z Warmii, którzy mieli ogromny uraz do Polski za przejście Ziem Zachodnich i Północnych. Polski Kościół oskarżano o sprzeczne z prawem kościelnym usunięcie niemieckich biskupów z Warmii, Gdańska i ze Śląska. Na dodatek w otoczeniu papieża Piusa XII była bardzo wpływowa grupa niemieckich prałatów, która odrzucała uznanie granic na Odrze i Nysie. Także po polskiej stronie tuż po wojnie dominowali biskupi, którzy bardzo dobrze pamiętali niemieckie zbrodnie w Polsce i nie mieli ochoty na dialog.

Sytuacja zaczęła się zmieniać od początku lat 60., kiedy do głosu zaczęła dochodzić generacja, która pamiętała bardzo dobrze skalę niemieckich zbrodni w Polsce, a jednocześnie potrafiła nawiązać kontakt z polskimi biskupami. Dialog rozpoczęty w czasie spotkań z niemieckimi biskupami w trakcie obrad Soboru Watykańskiego II doprowadził do inicjatywy polskiego listu z przesłaniem „wybaczamy i prosimy o wybaczenie". Ta pionierska inicjatywa, której inicjatorem był bp Bolesław Kominek, nie przyniosła od razu efektów, ale z czasem pomogła zaakceptować przez Niemców zachodnich inicjatywę kanclerza Willy'ego Brandta na rzecz uznania granicy na Odrze i Nysie.

Rozkwit nowej fazy stosunków miał miejsce w latach 70. i jego szczytem była wizyta delegacji polskich biskupów w RFN w 1978 r. z udziałem

eprasa.pl c557d2be61

prymasa kard. Stefana Wyszyńskiego i abp. Karola Wojtyły. Fakt, że parę miesięcy po tej wizycie w październiku 1978 r. niemieccy kardynałowie, uczestnicy konklawe, mieli poprzeć wybór papieża Polaka, jeszcze wzmocnił poczucie realnego, a nie tylko formalnego pojednania. Zaczęły działać wspólne inicjatywy pojednawcze, takie jak Maximilian-Kolbe-Werk czy inicjatywa Renovabis, które miały za zadanie wspólne czczenie ofiar drugiej wojny światowej.

Niezwykle bogaty niemiecki Kościół zaangażował się finansowo w wiele inicjatyw pomagających Kościołowi w Polsce. Niemiecki Episkopat współfinansował wiele projektów budowlanych na terenie Polski, a także rozpoczął wymianę młodzieży. Lata 1982–1989 to także bardzo szeroko zakrojona akcja przesyłania paczek z żywnością i ze środkami higieny, które zaczęły otrzymywać polskie parafie po wybuchu stanu wojennego. Wreszcie polskie Kluby Inteligencji Katolickiej i takie środowiska jak „Tygodnik Powszechny", „Więź" czy „Znak" były zapraszane na wspólne konferencje w Niemczech i wspólne czczenie bohaterów oporu Kościoła wobec totalitaryzmu hitlerowskiego.

Konferencja prasowa po spotkaniu przewodniczących Konferencji Episkopatów Polski i Niemiec – abp. Stanisława Gądeckiego oraz bp. Georga Bätzinga (z prawej)
FOT. KAROLINA ADAMSKA/EAST NEWS

SUKCESY I ZGRZYTY

W 1995 r. powołana została stała rada Episkopatu Polski do spraw kontaktów z episkopatem niemieckim. Podobne rady polscy hierarchowie mają tylko w wypadku Kościoła litewskiego, Kościoła francuskiego, greckokatolickiego Kościoła na Ukrainie. Jest też komisja do spraw dialogu z Cerkwią prawosławną.

Z tych wszystkich gremiów rada „niemiecka" była najważniejsza. Wynikało to z zaangażowania się Kościoła niemieckiego w bardzo wiele projektów mających niekiedy także charakter finansowy.

Problemem, który zaczął powoli narastać od drugiej połowy lat 90., była coraz większa rytualizacja wzajemnych relacji. Nieustające przypominanie cudu historycznego listu o pojednaniu z 1965 r. odsunęło na dalszy plan wymóg analizowania nowych zjawisk we wzajemnych relacjach. A tu następował proces, który stał w kontradykcji do genezy pojednania z lat 1972–1989. Wtedy biskupi niemieccy bardzo mocno podkreślali absolutną wyjątkowość zbrodni niemieckich na terenie ziem polskich. To uznanie specyfiki tamtych zbrodni i przyjęta za szczerą chęć zadośćuczynienia wywołały analogiczną gotowość do pojednania biskupów polskich.

Jednak od początku nowego wieku po stronie niemieckiej pojawiać się zaczęli hierarchowie, którzy wychowani zostali w wyjątkowym znaczeniu Holokaustu, natomiast skali niemieckich zbrodni nie znali już z własnego doświadczenia życiowego. Ponadto biskupów polskich doskonale władających niemiecczyzną z racji wychowywania się na terenie Śląska zastępowali biskupi, którzy używali tylko oficjalnego języka lub dialogowali poprzez tłumaczy.

Na dodatek na relacje między biskupami polskimi i niemieckimi wpływ zaczął mieć podział w Episkopacie. Krótko mówiąc, w komisji do spraw niemieckich zasiadali zazwyczaj biskupi z liberalnej części tego gremium, którzy proniemieckość traktowali niekiedy jako swoistą demonstrację nastawienia konserwatywnej części Episkopatu, który zaczął akcentować zapominanie Niemców o swojej odpowiedzialności za zbrodnie.

Politycy PO zaczęli wręcz wzywać, by biskupi przeciwstawiali się krytycyzmowi PiS wobec polityki niemieckiej. Dobrym przykładem tego nowego stylu była wypowiedź ówczesnego marszałka Sejmu Bronisława Komorowskiego, który 17 czerwca 2009 r. w trakcie odsłonięcia pomnika muru Stoczni Gdańskiej niedaleko budynku Reichstagu wezwał, by polscy i niemieccy biskupi czuwali nad językiem wypowiedzi w kwestiach ważnych dla stosunków polsko-niemieckich. Jak wówczas donosiły niemieckie i polskie dzienniki, miał wtedy powstać wspólny apel zespołu polskich i niemieckich biskupów zawierający następujące wezwanie: „Politycy Polski i Niemiec, przestańcie wykorzystywać bolesne

eprasa.pl c557d2be61

momenty nowszej historii do swoich rozgrywek. Prawdziwe pojednanie między naszymi narodami może dokonać się tylko wtedy, kiedy historię zostawimy historykom, a my zajmiemy się budowaniem naszej wspólnej przyszłości".

Ten fragment prawdopodobnie był sugerowany przez biskupów niemieckich, a także być może był akceptowany przez polskich biskupów z grupy roboczej, ale negatywne echa, które wywołał on w Episkopacie, spowodowały, że taki apel ostatecznie nigdy nie został ogłoszony.

Dziesięć lat później zespół roboczy obu episkopatów przygotował wspólny list z okazji 70. rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej, który wskutek wzajemnych kompromisów został napisany bardzo oszczędnym i w sumie bardzo oficjalnym językiem. O tym, że w relacjach pomiędzy dwoma episkopatami coś zgrzyta, świadczyły tylko znamienne epizody. W 2015 r. bardzo liczna reprezentacja polskiego Episkopatu uczestniczyła w mszy na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Dachau koło Monachium. Po stronie polskiej liczono, że będzie to okazja do wspólnej modlitwy hierarchów z obu krajów. Tymczasem wspólną mszę w katedrę we Fryzyndze znajdującej się niedaleko tego miejsca sprawował z polskimi biskupami jedynie w pojedynkę abp Richard Marx. Dla biskupów polskich był to dowód na spadek zainteresowania Polską w bratnim episkopacie.

I wreszcie całkiem niedawno do protokolarnego zgrzytu doszło w trakcie mszy wyniesienia na ołtarze rodziny Ulmów zamordowanej przez Niemców za ukrywanie Żydów we wsi Markowej. Ze strony Episkopatu Niemiec nie uczestniczył żaden hierarcha. Strona niemiecka wskazywała, że zaproszenie od biskupa przemyskiego przybyło za późno. Po stronie polskiej wskazywano, że nawet jeżeli list dotarł trzy tygodnie przed uroczystością, to strona niemiecka nawet tak późno mogła kogoś wysłać.

Inicjatywy abp. Gądeckiego w kwestii braterskiego upomnienia niemieckich biskupów były przyjmowane przez polsko-niemiecki zespół, któremu z naszej strony aktualnie przewodniczy arcybiskup lubelski Stanisław Budzik z wyraźną irytacją. Najwyraźniej na podstawie jakichś sygnałów Polski szef niemieckiego Episkopatu Bätzing podkreślał, że pierwszy list abp. Gądeckiego w sprawie „drogi synodalnej" jest jedynie osobistą inicjatywą metropolity poznańskiego, a nie inicjatywą całego Episkopatu Polski.

CO DALEJ?

27 listopada abp Gądecki i bp Bätzing spotkali się na Malcie przed zebraniem plenarnym Rady Konferencji Biskupich Europy. Po spotkaniu obaj hierarchowie starali się rozładować emocje, które niezwykle ostro buzowały wcześniej. Niemiecki biskup podkreślił, że poprawa stosunków między episkopatami Polski i Niemiec leży mu bardzo na sercu. Bätzing mówił: „Arcybiskup Stanisław Gądecki i ja szczerze rozmawialiśmy [...] o zaistniałych nieporozumieniach. Zgodziliśmy się, że nie są to łatwe czasy dla Kościoła w obu krajach i że chcemy, zwłaszcza w tych czasach, stać razem jako sąsiedzi, nawet jeśli dostrzegamy różnice kulturowe w uzasadnionej różnorodności katolicyzmu".

Bätzing wyraził pogląd, że miejscem, w którym powinny być poruszane „nieporozumienia w naszym wzajemnym postrzeganiu", powinna być polsko-niemiecka grupa kontaktowa. Nacisk bp. Bätzinga na to, by wrócić do dialogu w ramach wspólnej rady episkopatów Polski i Niemiec, ma swoje uzasadnienie. Rada ta starannie unikała odniesienia się do podstawowej kwestii, czyli powolnego oddalania się niemieckiego Kościoła od głównego nurtu Kościoła powszechnego.

Pokazuje to, że dialog nie będzie łatwy i że nie znikną szybko podstawowe różnice, które skłoniły metropolitę poznańskiego do swoich wystąpień. To, co jest istotne, to to, że w polskim Episkopacie kwestii rozchodzenia się dróg doktrynalnych między Kościołem niemieckim a Kościołem powszechnym nikt specjalnie nie chce poruszać. To osobista wrażliwość sumienia abp. Gądeckiego skłoniła go do występowania w tej kwestii. Jego niemieccy partnerzy na taki szczery dialog ani na posypywanie głowy popiołem nie mają bynajmniej chęci. Można więc przyjąć, że strona niemiecka z chęcią wróci do tradycyjnych spotkań, podczas których podejmowane są liczne drobne inicjatywy, np. ostatnio kwestia przeniesienia prochów arcybiskupa gdańskiego Carla Marii Spletta do katedry oliwskiej, a na jakieś bardziej pryncypialne debaty teologiczne nie ma ochoty. Skoro Kościół niemiecki ignoruje zarzuty wobec swej „drogi synodalnej" ze strony samego papieża Franciszka, to tym bardziej ignorować będzie obawy abp. Gądeckiego. A to zły prognostyk na przyszłość.

Można przyjąć, że strona niemiecka z chęcią wróci do tradycyjnych spotkań, podczas których podejmowane są liczne drobne inicjatywy, a na jakieś bardziej pryncypialne debaty teologiczne nie ma ochoty

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

Walka z hejtem czy wolnością słowa?

Łukasz Warzecha

Internetowi celebryci próbują dziś stworzyć wrażenie, że po jednej stronie są ludzie nauki, posługujący się racjonalnymi argumentami, a po drugiej jakaś rozhisteryzowana tłuszcza, którą trzeba wziąć w karby. To próba zastraszenia ludzi, którzy ośmielaliby się podważać zdanie „ekspertów"

Czy warto pisać o aferze wokół hejtu (mówiąc po polsku: agresji i nienawistnych wpisów), która poruszyła przede wszystkim ludzi zaangażowanych w polski Internet? Tak, warto – bo to sprawa, która ma szansę skończyć się na sali sądowej głośnym procesem karnym, a w dodatku bezpośrednio dotyczy wolności słowa. Wolność słowa jest atakowana z różnych stron, trzeba więc być wyczulonym na każdą próbę jej skrępowania. A już zwłaszcza gdy pretekst do tego dają internetowi celebryci oraz duży portal fact-checkingowy (mówiąc po polsku: zajmujący się weryfikacją faktów), uznawany za wyrocznię.

Dramatis personae:

Jakub Wiech, 31-letni prawnik, samozwańczy ekspert do spraw klimatu, gorliwy głosiciel hipotezy o tym, że za zmiany klimatu odpowiada człowiek, zwany złośliwie „Hałabałą" z powodu zewnętrznego podobieństwo do miłego krasnala z bajki dla dzieci. Redaktor naczelny serwisu Energetyka24. Sam siebie nazywa „zielonym konserwatystą".

Rafał Otoka-Frąckiewicz, 49 lat, dziennikarz z prawie 25-letnim stażem, pracował m.in. w koncernie Axel Springer, od 2020 r. na swoim – prowadzi sponsorowany wyłącznie przez widzów kanał „Polityko.tv" na YouTube. Sam siebie nazywa przewrotnie „publicystą lewicowym".

Dawid Myśliwiec, 35 lat, doktor chemii, prowadzący od dziewięciu lat na YouTube kanał popularnonaukowy „Uwaga! Naukowy bełkot!" (751 tys. subskrybentów, 399 filmów).

Tomasz Rożek, 47 lat, doktor fizyki jądrowej, od lat współpracujący z mediami, w tym z wieloma tytułami prasy tradycyjnej, z Programem Trzecim Polskiego Radia, potem z Radiem 357. Założyciel fundacji Nauka. To Lubię i istniejącego od ponad 10 lat kanału na YouTube o tej samej nazwie (708 tys. subskrybentów, 530 filmów). Swego czasu gwiazda reklam byłego państwowego koncernu Lotos.

Patronite.pl – portal umożliwiający zbieranie pieniędzy na określony cel, założony w 2015 r., obecnie w 40 proc. będący własnością portalu Wirtualna Polska.

Demagog.pl – organizacja mająca status stowarzyszenia, zajmująca się sprawdzaniem faktów i weryfikowaniem wypowiedzi polityków, osób publicznych lub krążących w Internecie stwierdzeń. W tym roku otrzymał granty m.in. z Google (74 tys. dol.), UE (inicjatywa AI4TRUST, 104,5 tys. euro), European Media and Information Fund (104 tys. euro). Razem ok. 1,2 mln zł. W ubiegłym roku było to m.in. Climate Misinformation Grant Program (program międzynarodowej sieci organizacji weryfikacyjnych, 80 tys. dol.).

Gościnnie – poseł Koalicji Obywatelskiej Marcin Józefaciuk (8893 głosy), 41 lat, neopoganin, w latach 2017–2022 dyrektor Zespołu Szkół Rzemiosła w Łodzi. Cecha charakterystyczna: tatuaże.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Oto sekwencja zdarzeń. 13 listopada Dawid Myśliwiec publikuje na swoim kanale blisko godzinny film pod dramatycznym tytułem „Nie czuję się bezpiecznie na YouTubie". W filmie Myśliwiec lamentuje w rozwlekły sposób nad hejtem,

eprasa.pl c557d2be61

FOT. ADOBE STOCK

który go spotyka w sieci, i twierdzi, że wpływa to znacząco na jego samopoczucie oraz utrudnia mu skupienie się na pracy. Narzeka, że YouTube nie daje twórcom wystarczających narzędzi do radzenia sobie z tym zjawiskiem. Wśród przejawów hejtu wymienia m.in. stwierdzenie, że źle ogólnie wygląda i że powinien o siebie zadbać.

15 listopada Jakub Wiech na swoim kanale „Elektryfikacja" (6,75 tys. subskrypcji, 76 filmów; 19. filmem był wywiad z premierem Mateuszem Morawieckim, który do dzisiaj ma 11 tys. odtworzeń) umieszcza film zatytułowany „Hejt, który przekracza granice" (do dzisiaj 12 tys. wyświetleń, czyli o tysiąc więcej niż wywiad z premierem). W nagraniu skarży się, że jest nazywany „Hałabałą" i musi się z tego tłumaczyć różnym ludziom. Chwali się, że w walce z hejtem sięga po środki prawne i używa art. 212 – o którym, nawiasem mówiąc, swego czasu pisał krytycznie i wyrażał rozczarowanie, że sięgają po niego innego osoby.

Mówi: „Ja na przykład mam takie sytuacje, kiedy ludzie, z którymi współpracuję, z którymi rozmawiam w kwestiach zawodowych, pytają: »Czemu mówią na ciebie Hałabała? O co z tym chodzi, wytłumacz nam to«. I ja się czuję bardzo źle w takich sytuacjach. Ja się czuję trochę upokorzony. Ale nie przez tych ludzi, którzy mnie o to pytają. Przez tych ludzi, którzy po prostu działali przez długi czas, żeby posadzić mnie w takiej roli zabawnego krasnala, który mówi bajki o klimacie. I z tym trzeba walczyć! Ale ta kwestia dezinformacji to nie jest tylko kwestia ubrania kogoś w zupełnie nieprawdziwe szaty. Nie! To jest także sprawa… można powiedzieć… takiego naszego bezpieczeństwa na poziomie państwowym. To znaczy wyobraźcie sobie, że ktoś z zewnątrz, jakieś obce mocarstwo albo jakaś organizacja, inspiruje hejt na konkretnych użytkowników, którzy są w stanie tej organizacji, temu mocarstwu zaszkodzić. Na przykład na dziennikarzy, którzy są w stanie opublikować materiały dotyczące pewnej patologii. I że na nich spada hejt. I że są oni odżegnywani od umiejętności, od rzetelności, od pewnej powagi przekazu. Czy to nie jest niebezpieczeństwo dezinformacyjne dla całego społeczeństwa? Uważam, że tak. I to jest kolejny argument za tym, żeby zająć się hejtem!".

Zaledwie dzień później, 16 listopada, na swoim kanale film zatytułowany „Odpowiadam Dawidowi Myśliwcowi z »Naukowego Bełkotu«" publikuje Tomasz Rożek. Rożek także żali się na hejt i przyznaje Myśliwcowi rację. Sugeruje, że należałoby skończyć z anonimowością w sieci w sposób instytucjonalny. Twierdzi, że był obiektem nie tylko nienawistnych wpisów, lecz także gróźb. Przytacza jednak tylko jeden taki przypadek – gdy internauta twierdził, że wie, gdzie Rożek mieszka, i że będzie na niego czekał pod domem z sekatorem, aby „u…ać" mu język.

Tego samego dnia portal Patronite postanawia wesprzeć Jakuba Wiecha. Umieszcza na Twitterze wpis: „Komentarze denialistów globalnego ocieplenia pod wpisami @jakubwiech to popis obelg i intelektualnej aberracji. Szczucie na naukowców i ekspertów to moda, która narasta od czasów pandemii. Zamiast debaty jest ordynarny hejt. Czy to się kiedykolwiek zmieni?".

DEMASKACJA I AKT OSKARŻENIA

W tym czasie do sądu trafiła już sprawa twitterowicza o nicku Coolfon, przeciwko któremu prywatny akt oskarżenia wniósł Wiech. Sprawa kończy się polubownie 23 listopada – Coolfon skasował kilka kwestionowanych przez skarżącego wypowiedzi – a jeszcze tego samego dnia, wkrótce po tym, jak Coolfon umieszcza informację o zakończeniu sporu sądowego z Wiechem, portal Demagog.pl publikuje obszerny artykuł zatytułowany „Pacynkowi siewcy hejtu i dezinformacji. Jak działają w sieci?", będący wynikiem „śledztwa dziennikarskiego". W artykule tym skupiono się na osobie Coolfona, podając do publicznej wiadomości wiele dotyczących go faktów, pozwalających na dość łatwą identyfikację konkretnej osoby. Przesłaniem tekstu było to, że nikt w sieci nie jest anonimowy.

Nad tekstem Demagog.pl pracowały cztery osoby przez dłuższy czas. Autorzy tekstu twierdzili, że wszystkie ustalone przez nich informacje podawał w różnych momentach sam Coolfon, wiele osób ma jednak co do tego wątpliwości. Jedno jest jasne: żadna pojedyncza prywatna osoba nie byłaby w stanie przekopać się przez taką ilość informacji w poszukiwaniu tych, które pozwalają użytkownika jednak anonimowego zidentyfikować, jak zrobili to autorzy tekstu na portalu Demagog.pl. Czyli bez artykułu Demagoga Coolfon nadal pozostawałby anonimowy. Skutkami tekstu były z kolei fala nienawistnych wpisów pod adresem tego użytkownika oraz problemy, które spotkały prowadzony przez niego biznes, także opisany przez Demagoga.

Nieco wcześniej, 20 listopada, Rafał Otoka-Frąckiewicz otrzymał z sądu zawiadomienie o złożeniu przeciwko niemu przez Jakuba Wiecha prywatnego aktu oskarżenia z art. 212 Kodeksu karnego. Przypominam, że przepis ten mówi:

„§ 1. Kto pomawia inną osobę, grupę osób, instytucję, osobę prawną lub jednostkę organizacyjną niemającą osobowości prawnej o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności.

§ 2. Jeżeli sprawca dopuszcza się czynu określonego w § 1 za pomocą środków masowego komunikowania, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku".

eprasa.pl c557d2be61

Akt oskarżenia to cztery obszerne teczki. Składa się głównie z cytatów z wpisów internetowych Otoki-Frąckiewicza, w których ten nazywa Wiecha „Hałabałą". Jak twierdzi sam Otoka-Frąckiewicz, prawnicy, z którymi na ten temat rozmawiał, uznają oskarżenie za absurdalne. Z kolei znany warszawski adwokat, z którym rozmawiałem na ten temat, twierdzi, że w całym akcie oskarżenia jest zaledwie jeden zarzut, który ma szansę ostać się przed sądem.

Na posiedzeniu Sejmu 28 listopada w ramach oświadczeń poselskich zabiera głos poseł Marcin Józefaciuk: „Hejt to obrażanie, poniżanie, ośmieszanie innych. Ostatnio zjawisko to przybrało na mocy nie tylko w Internecie, ale też off-line, w świecie poza Internetem […]. Celem intensywnego i nagminnego hejtu jest zaszczucie jednostki oraz próba zdyskredytowania i wyeliminowania osoby z życia publicznego […]. Jako osoba publiczna, która wystaje trochę z tłumu, byłem gotowy na hejt i otrzymywałem go co pewien czas, powoli kształtując w sobie umiejętność walki z tą formą agresji. Jednakże doświadczenia te nie były w stanie przygotować mnie do tego, co stało się ostatnio […]. A teraz czas na działanie. Nie ma zgody na hejt internetowy. Czas na realne wsparcie ofiar hejtu i edukację tych, którzy hejtują".

Nie są to wszystkie wątki tego serialu. Działalności samego Jakuba Wiecha można by poświęcić osobny tekst. Wiech w szczególności ściągnął na siebie złość internautów, gdy – jak twierdził – w czerwcu interweniował w sprawie nauczyciela Daniela Flaki, który ośmielił się na lekcji pokazać film demaskujący chwyty stosowane przez propagandę klimatystyczną. Wiech twierdził, że rozmawiał w tej sprawie z dyrekcjami szkół. Zostało to powszechnie odebrane jako donos mający na celu zwolnienie Flaki z pracy.

Ktoś naiwny mógłby oczywiście wierzyć, że sekwencja następujących po sobie filmów, wypowiedzi, artykułów jest przypadkowa. Ot, parę osób straciło cierpliwość i im się ulało. Byłoby to jednak podejście bardzo naiwne.

WOKEIZM I WOLNOŚĆ SŁOWA

Na celowniku szeroko pojętej lewicy od dawna jest wolność słowa. Najbardziej radykalny lewicowy koncept – tak zwany wokeizm, czyli wzmożenie – zakłada, że wystarczającym powodem, aby zabronić komuś mówienia lub pisania czegoś, jest to, iż ktoś poczuje się urażony. Jest to oczywiście prosta droga do całkowitego zamknięcia debaty. Aczkolwiek tylko dla jednej strony, bo przecież w tej sprawie rządzi kalizm.

Przykładem tego kalizmu jest artykuł Demagoga. Portal dostrzegł w nim problem tylko po jednej stronie. Skupiając się na konflikcie Jakuba Wiecha z Coolfonem, pominął całkowicie aktywność samego Wiecha, który aktywnie internetowy hejt napędzał. Sam byłem tego obiektem. Słynna jest scena, gdy w jednym z wywiadów Wiech pokazywał moje zdjęcie ustawione jako tapeta na swoim telefonie komórkowym, oznajmiając kpiąco, że to go „inspiruje" do działania. Wiech wielokrotnie komentował i podawał dalej moje wypowiedzi z Twittera w czasie, gdy był już przeze mnie od dawna zablokowany. Zatem ja nie szukałem z nim żadnego kontaktu i jego elukubracji nie komentowałem, on natomiast moje – wielokrotnie.

Zmasowana akcja internetowych celebrytów jest sformatowana w przemyślany sposób. Zwolennicy tego, co sami określają jako „walkę z hejtem", próbują stworzyć wrażenie, że po jednej stronie są ludzie nauki posługujący się racjonalnymi argumentami, a po drugiej jakaś rozhisteryzowana tłuszcza, która nie pozwala tym pierwszym na oświecanie ciemnego ludu, złośliwie komentując ich działania i wyzywając od krasnali. Tłuszczę trzeba zatem wziąć w karby.

To oczywiście obraz całkowicie fałszywy. Wszyscy trzej główni bohaterowie tej dramy odznaczyli się odpowiednio w czasie pandemii, stając jednoznacznie po stronie covidowego zamordyzmu. Ignorowali badania – nie opinie, ale właśnie badania – wskazujące na nieskuteczność lockdownów, maseczek czy wątpliwości związane ze szczepionkami na COVID-19. W zbiorowej wyobraźni zapisała się scena uwieczniona na filmie przez Tomasza Różka spryskującego po powrocie do domu buty środkiem dezynfekującym.

Podobnie rzecz się ma z narracją klimatystyczną. Tu także wszyscy „popularyzatorzy nauki" stoją po jednej stronie, odrzucając a priori wszelkie zastrzeżenia, a wskazujących na nie nazywają „klimatycznymi negacjonistami", nawiązując do terminu określającego osoby zaprzeczające Holokaustowi. Żaden z nich nie bierze pod uwagę – a i nie zajął się tą sprawą nigdy Demagog – choćby tego, co opisywałem niedawno w „Do Rzeczy", a więc faktu, że rzekomy konsensus naukowy w sprawie antropogenicznych przyczyn zmian klimatu oparty jest na całkowicie wadliwej metodologii.

Wprowadzenie na nowo tematu hejtu do dyskusji publicznej z postulatem, aby „coś z tym zrobić", przez ludzi, którzy są w sieci od lat i mają pod ręką wiele narzędzi, dzięki którym mogą sobie z nim radzić we własnym zakresie, choćby poprzez blokowanie użytkowników, jest szyte naprawdę grubymi nićmi. Jeśli szukać w tym logiki, to trzeba by wskazać przede wszystkim na artykuł Demagoga i na prywatny akt oskarżenia Wiecha. Oba te zdarzenia łączy jedno: są próbą zastraszenia zwykłych ludzi, którzy ośmielaliby się podważać zdanie „ekspertów". Demagog pokazuje, że zasilana milionami złotych z zagranicy dobrze ustawiona organizacja może zniszczyć każdego, jeśli tylko się narazi. Wiech z kolei chce pokazać, że z samozwańczego „eksperta" żartować sobie nie wolno. Ruki po szwam i słuchać karnie, co ma do powiedzenia, bo inaczej sprawa skończy się w sądzie. O ile ktoś taki jak Otoka-Frąckiewicz na myśl o procesie może tylko zacierać ręce, o tyle przeciętny internauta ma pełne prawo się po prostu wystraszyć. To z kolei zaowocuje tzw. efektem mrożącym, czyli po prostu autocenzurą. I o to chodzi.

W tle są niepokojące plany dalszego zacieśniania wolności słowa. W tym choćby przygotowane przez unijną komisarz do spraw wewnętrznych Ylvę Johannson rozporządzenie w teorii mające służyć zwalczaniu dziecięcej pornografii. W istocie stworzy ono narzędzia skanowania całej komunikacji elektronicznej w UE, które łatwo będzie następnie wykorzystać w dowolnej innej sprawie. Choćby po to, żeby wyłapywać to, co oświecone elity postanowią uznać za hejt albo po prostu za niedopuszczalne „podważanie nauki".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

Kup gotowy apartament
w funkcjonującym obiekcie i zarabiaj aż

9% rocznie

- Hotel działający od 2014 r. – ceniony przez Gości 9,1 / 10 na Booking.com
- Doświadczony inwestor i operator
- Unikalna lokalizacja w Sudetach

Dowiedz się, dlaczego warto

+48 222 645 261
www.aspenresort.pl

eprasa.pl c557d2be61

Ponad sto tysięcy Polaków dostało wadliwe szczepionki

Mariusz Jagóra

Jerzy Karwelis

Główny Inspektorat Farmaceutyczny ujawnił, że dystrybucja szczepionek była dokonana poza obowiązującą ustawą Prawo Farmaceutyczne, czyli również poza kontrolą Inspektoratu. Postaramy się wyjaśnić, jak to się stało. I to nie tylko w Polsce

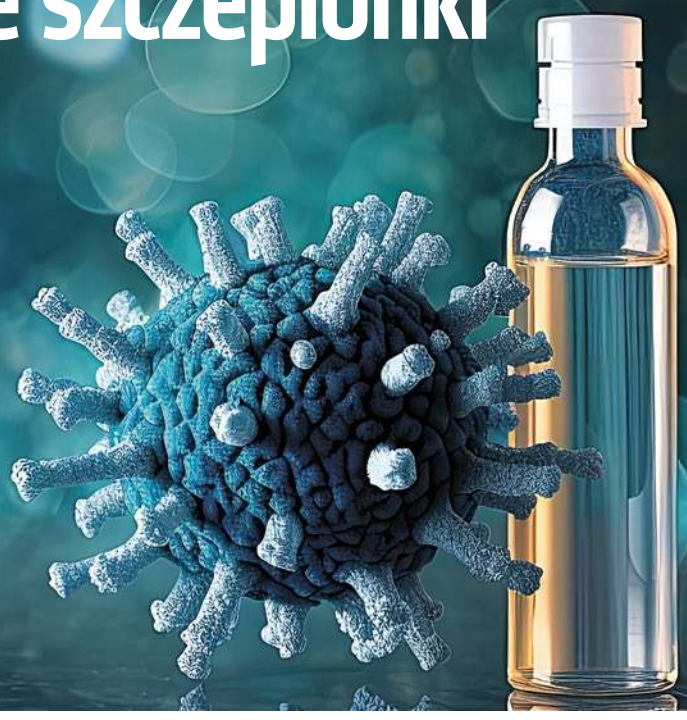

FOT. ADOBE STOCK

Ujawnione rewelacje z raportu NIK, który zajął się działaniami państwa w czasie COVID-19, obnażyły tragiczne skutki, wynikające z procesu podejmowania decyzji w czasie pandemii. NIK odkryła, że partia 117 600 dawek szczepionki była zanieczyszczona w stopniu nie tylko podważającym ich skuteczność, lecz także narażającym zdrowie oraz życie zaszczepionych. Okazało się, że EMA, czyli agencja unijna odpowiadająca za europejską weryfikację szczepionek, poinformowała polski Główny Inspektorat Farmaceutyczny o fakcie wystąpienia wady jakościowej klasy I i II, ale ten nie podjął żadnych działań, a więc ponad 117 tys. szczepionek o wadliwym i niebezpiecznym składzie zostało podane Polakom. Sprawa wyszła na jaw, kiedy już w organizmach ponad 100 tys. Polaków krążył szkodliwy preparat.

W Polsce instytucjami zaangażowanymi w działania związane z nadzorem nad bezpieczeństwem szczepień są Państwowa Inspekcja Sanitarna i Główny Inspektorat Sanitarny (GIS), Wojskowa Inspekcja Sanitarna, Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – Państwowy Zakład Higieny (NIZP-PZH), Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych (URPL) oraz Główny Inspektorat Farmaceutyczny (GIF). Ale to Główny Inspektorat Farmaceutyczny (GIF) bezpośrednio odpowiada za monitoring tego typu zagrożeń jako instytucja państwowa sprawująca kontrolę nad wytwarzaniem i obrotem produktów leczniczych na terenie Polski. GIF może wycofać lub wstrzymać stosowanie leków w przypadku podejrzenia lub stwierdzenia, że nie spełniają one wymagań jakościowych.

Ewa Krajewska, do niedawna szefowa GIF, która właśnie została w nagrodę za swoją niekompetencję awansowana na stanowisko ministra zdrowia w rządzie tymczasowym Mateusza Morawieckiego, uznała, że GIF sprawował skuteczny nadzór nad szczepionkami przeciwko COVID-19, a poza tym realizował polecenia wydawane przez Ministerstwo Zdrowia, odpowiedzialne za realizację całego programu szczepień. Wyszła niezła afera, bo GIF broniąc się, ujawnił, że dystrybucja szczepionek była dokonana poza obowiązującą ustawą Prawo Farmaceutyczne, czyli również poza kontrolą Inspektoratu. Postaramy się wyjaśnić, jak to się stało. I to nie tylko w Polsce.

WCHODZI UNIA

Kwestia decyzji o zakupie szczepionek, mocą zgody państw członkowskich, należała do Komisji Europejskiej, to ona była odpowiedzialna za negocjacje cenowe. To EMA (tak, tak – ta, która ostrzegała panią prezes z polskiego GIF) odpowiadała za sprawdzenie skuteczności i bezpieczeństwa szczepionek przed wydaniem tymczasowej autoryzacji do użycia.

Jak widać, nikt tu za nic nie odpowiada. Unia – nie, bo wszystko jest w zaginionych SMS-ach Ursuli von der Leyen i szefa Pfizera Alberta Bourli, decyzje podjęto na podstawie fałszowanych papierów od producenta, jednocześnie zwalniając go z odpowiedzialności. Co

eprasa.pl c557d2be61

czyni w tym obszarze cały polski nadzór nad lekami wchodzącymi do Polski instytucjami na poziomie biura tłumaczeń. A więc te wszystkie GIF-y, sanepidy czy urzędy rejestracji produktów leczniczych są do likwidacji i nikt nie zauważyłby nawet ich braku.

Zabawa w głuchy telefon przez instytucje odpowiedzialne za obywateli w obliczu pandemii to niezgulstwo systemowe, bo ubezwłasnowolnienie polskich służb to efekt regulacji unijnych, na które zresztą zgadzały się rządy wszelkich polskich ekip. Polskie Ministerstwo Zdrowia w nadesłanej w listopadzie 2021 r. odpowiedzi na pytanie zadane przez posła Grzegorza Płaczka poinformowało, że „umowy na zakup szczepionek z ich producentami zawierała Komisja Europejska działająca w ramach Porozumienia, stanowiącego załącznik do decyzji Komisji Europejskiej z 18 czerwca 2020 r.". Projekt umowy negocjowany w ramach porozumienia nie podlegał zatwierdzeniu ani przez ministra zdrowia, ani przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów.

PRAWNIE MĘTNA WODA

Negocjacje z producentami szczepionek z ramienia Unii prowadził „wspólny zespół negocjacyjny" (joint negotiation team), w którego skład wchodziła Komisja Europejska wraz z przedstawicielami państw członkowskich. W związku z tym cały proces negocjacyjny był aż tak poufny, że Komisja Europejska postanowiła nie ujawniać nazwisk członków zespołu. Powołany przez polskiego ministra zdrowia Zespół do spraw zakupu szczepionki na COVID-19 nie opracowywał oceny ryzyka prawnego, społecznego i zdrowotnego umów. Mimo braku tej wiedzy państwa członkowskie ustawiły się w kolejce ze swoimi ilościowymi zapotrzebowaniami na szczepionki, które początkowo były sobie przez te państwa wyrywane, aby potem zalec na śmietnikach medycyny, nie mówiąc już o polskich próbach odrzucania zamówionych ilości, o co właśnie procesuje się z polskim rządem firma Pfizer, wnioskując o odszkodowanie w wysokość 6 mld zł.

Kwestia tego, kto odpowiada za skuteczność i bezpieczeństwo szczepionek, podlegała ewolucji. Wszystko zaczęło się w 2001 r. od dyrektywy o… GMO. Tak, tak, szczepionki to również modyfikowane genetycznie specyfiki, o czym stoi jak byk w dyrektywie 2001/18, Załącznik III, gdzie mowa jest o „zróżnicowaniu wymagań dotyczących informacji w przypadku szczególnych zastosowań GMO, takich jak opracowywanie szczepionek". W tym samym roku dyrektywa 2001/83 zobowiązuje jeszcze państwa członkowskie do odpowiedzialności za dopuszczenie danej szczepionki (art. 6.1). W roku 2004 wchodzi już nowa regulacja (dyrektywa 2004/726), która wprowadza inne podejście – sprawą zarządzania dopuszczaniem lekarstw i szczepionek na terenie Unii zajmie się nowo powołana agencja (EMA). W tej ciekawej dyrektywie (art. 14a.1) dopuszcza się wydanie pozwolenia na dopuszczenie do obrotu specyfiku przed złożeniem wyczerpujących danych klinicznych, pod warunkiem że stosunek korzyści do ryzyka jest pozytywny.

Zapisy takie, wraz z rosnącą zależnością organów regulacyjnych od pieniędzy przemysłu farmaceutycznego, zrodziły patologiczną praktykę omijania normalnego procesu wprowadzania leków na rynek, ze szkodą dla bezpieczeństwa pacjentów. Według badań Donalda Lighta, socjologa z Uniwersytetu Rowan w New Jersey, w Europie aż 50 proc. leków zatwierdzanych jest przez Europejską Agencję Leków w ramach przyspieszonej ścieżki. Dodajmy, że ponad 89 proc. budżetu EMA pochodzi od firm z branży farmaceutycznej, co odzwierciedla proporcje jej starszej siostry – WHO. Finansowanie organów regulacyjnych przez firmy farmaceutyczne niewątpliwie przyczynia się do obniżenia standardów kontrolnych właśnie z powodu takich praktyk, jak tworzenie „szybkich ścieżek" w celu przyspieszenia wprowadzania leków na rynek – co stało się „globalną normą".

NIE MA WINNEGO?

W efekcie decyzji EMA dopuszczono do masowego stosowania, często wymuszanego, nieprzebadany preparat, który na świecie przyjęły miliardy ludzi. Decyzję tę podjęto na podstawie raportów z badań wykonanych przez producentów. A EMA wiedziała o problemach. W czerwcu 2022 r. wyciekły jej e-maile, które ujawniły niepokojące fakty, mające miejsce w okresie poprzedzającym dopuszczenie do obrotu szczepionki COVID-19 Pfizera. Z opublikowanych e-maili wynika, że agencje regulujące były świadome znacznej procentowej utraty integralności mRNA w partiach handlowych szczepionki firmy Pfizer-BioNTech w porównaniu z partiami klinicznymi (~55 proc. integralności mRNA zamiast ~78 proc.). EMA uznała to za „poważny problem", ale nie jedyny, innym były zaobserwowane widoczne cząstki, które zostały sklasyfikowane jako „zanieczyszczenia". Wiedziała także o tym, że proces produkcji szczepionki w laboratorium różni się od procesu produkcji szczepionki na skalę masową. I nic z tym nie zrobiła. Zatwierdziła ten pierwszy, a szczepionka jest produkowana za pomocą drugiego, niecertyfikowanego procesu.

Wniosek jest taki: kręcili się wokół tego wszyscy, a i tak jak przyszło do zatwierdzenia przez europejskich (i nie tylko) regulatorów, to przyklepano to, co chciała Big Pharma. Z analizy przebiegu legislacji widać, że ten proceder był dalekowzrocznie przygotowywany od ponad 20 lat. W rezultacie w COVID-19 zamiast rzetelnych badań poprzedzających decyzje co do zdrowia publicznego mieliśmy gonienie króliczka paniki wywołanej przez media, by rządy zareagowały, aby „coś dać". Byle co, nawet za cenę zdjęcia odpowiedzialności z producentów, o czym ochoczo informowali oni opinię publiczną w czasie fali przesłuchań przed różnymi komisjami. W regulacyjnej wodzie było już tak mętnie od szlamu instytucji, że nie wiadomo, kto za to odpowiada, wiadomo tylko, że całe te procedury, tysiące stron dętych raportów z badań sprowadziły się do załatwiania całego dealu w tajnych do dziś SMS-ach dwójki ludzi. Reszta to już są konsekwencje.

Wychodzi z tego, że zamiast podać sprawdzoną szczepionkę, na miliardach ludzi przeprowadzono test, który miał wykazać, czy ona w ogóle działa i czy jest bezpieczna. A że wynika z tego, iż narobiono niewyobrażalnych szkód, to o ich prawdziwych rozmiarach nie dowiemy się nigdy. Wielu ludziom ta wiedza nie tylko zrujnowałaby kariery i majątki, lecz także zaszczepioną większość zmusiłaby do smutnej konstatacji, że ludzie dali się nabrać wątpliwym autorytetom. A jest to konstatacja na tyle niewygodna, że jest psychologicznie wypierana, tak jak pewnie w wielu wypadkach wnioski z tego tekstu, po jego przeczytaniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

Laureatka tytułu Warszawianki Roku 2023 Katarzyna Kasia

FOT. ALBET ZAWADA/PAP

Warszawianka ideologiczna

Zuzanna Dąbrowska

Przyznawany od 1967 r. tytuł Warszawianki Roku w swojej współczesnej, liberalno-lewicowej odsłonie stał się kolejnym narzędziem promocji „nowej kobiety". Takiej, która reprezentuje jedyne słuszne poglądy

Trudno w to uwierzyć, ale na naszych oczach, w XXI w., w centrum Europy, rządzący chcą zalegalizować stosowanie tortur wobec własnych obywatelek!" – ostrzegała w 2018 r. na łamach „Kultury Liberalnej" jej felietonistka, dr Katarzyna Kasia. To tegoroczna zdobywczyni tytułu Warszawianki Roku, przyznawanego przez miasto stołeczne.

„Znowu piszę o aborcji: o pozbawionych litości i rozumu hierarchach Kościoła katolickiego, o podporządkowanych im politykach, o wodzie robionej z mózgu ludziom od lat karmionym retoryką »obrońców życia«, o kobietach zmuszanych do rodzenia nieuleczalnie chorych dzieci, często skazanych na śmierć zaraz po urodzeniu, o państwie, tracącym zainteresowanie swoimi obywatelami w momencie rozpoczęcia porodu. To jest przerażająca historia o Polsce, choć ostatni, piątkowy akt oporu daje nadzieję" – tak Kasia wyrażała swoje wsparcie dla proaborcyjnych protestów.

Z kolei w 2022 r. stwierdziła, że „rządy Prawa i Sprawiedliwości to łabędzi śpiew patriarchatu, który czując nadchodzący kres, rozpaczliwie się miota". Publicystka entuzjazmowała się też organizowanym przez Platformę 4 czerwca marszem: „W gigantycznym marszu 4 czerwca mieliśmy na twarzach wypisane podobne zdziwienie i ulgę. Miałam wrażenie, że do ostatniej chwili każda z nas się bała, że mało kto przyjdzie. Bo ulegliśmy nie tylko propagandzie ze strony partii rządzących, ale też sami w zatomizowanym społeczeństwie wmówiliśmy sobie, że się nie liczymy i że w związku z tym z nami nikt się liczyć nie będzie. Nagle poczułam, że jest nas więcej, i poczułam wielką, nieznaną mi wcześniej ulgę. Może tak się czuje mała dziewczynka prześladowana przez gang starszaków, kiedy ktoś stanie w jej obronie, mówiąc, że już nie jest i nigdy nie będzie sama? Bo przecież my dostajemy po łbach od ośmiu lat".

NIEOBOJĘTNE KANDYDATURY

Zdobywczyni tytułu Warszawianki Roku 2023 jest filozofem, jedną z prowadzących „Szkło kontaktowe" w TVN24, felietonistką, wykłada na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Jej kandydaturę do plebiscytu wytypowała kapituła konkursowa (kapituła wskazała 10 kobiet

eprasa.pl c557d2be61

z ponad 300 zgłoszonych przez obywateli). Zasiadali w niej m.in. dziennikarka TVN Bianka Zalewska, prezenter tej stacji Piotr Jacoń (o którym głośno było przy okazji nagonki na Krzysztofa Daukszewicza za „transfobiczny" żart), Ewelina Negowetti, która organizuje wsparcie dla dzieci „trans" i ich rodziców, a także należąca do Platformy Obywatelskiej przewodnicząca Rady Warszawy Ewa Malinowska-Grupińska (prywatnie żona senatora PO Rafała Grupińskiego).

Obok Kasi kapituła przedstawiła też inne, nieobojętne ideologicznie kandydatury. O tytuł walczyła w tym roku Justyna Wydrzyńska z Aborcyjnego Dream Teamu, skazana w marcu przez sąd za pomocnictwo w aborcji farmakologicznej. Kolejną kandydatką była Kamila Ferenc z proaborcyjnej FEDERY, pełnomocniczka pani Joanny z Krakowa. Tej samej, która przez pewien czas była przedstawiana przez opozycję jako symbol ofiar „antykobiecego reżimu PiS". To sprawa pani Joanny zainspirowała rzekomo Donalda Tuska do zorganizowania Marszu Miliona Serc. Na marsz pani Joanny nie zaproszono.

Wśród kandydatur zgłoszonych przez kapitułę na uwagę zasługuje też „ekofeministyczna" pisarka Agnieszka Szpila. Na oficjalnej stronie stolicy została zaprezentowana tak: „Szpila wsadza szpilę i przyszpila rzeczywistość, by obudzić w ludziach społeczną troskę". Wystarczy jednak chwila poszukiwań w Internecie, aby znaleźć teksty Szpili, którym do „społecznej troski" daleko. „Bunt przeciwko rządowi możecie wyrazić, masturbując się flagą Polski lub proporczykiem z polskim godłem. Trzonek świetnie ulokuje się w spragnionej pieszczot d.pie. Jeśli ten kraj gwałci cię analnie, wyr…aj go tak samo" – nawoływała na stronie „Krytyki Politycznej".

Jako kandydatkę w tegorocznej edycji Warszawianki Roku kapituła rekomendowała też mec. Sylwię Gregorczyk-Abram związaną z inicjatywą Wolne Sądy. Prawniczka jest zwolenniczką pomysłu, by uznać niektóre wyroki kierowanego przez prezes Julię Przyłębską Trybunału Konstytucyjnego za… nieistniejące. „[…] Wyroki TK dotyczące zasad ustrojowych państwa – w tym wyrok dotyczący prawa aborcyjnego – zostanie uznany za nieistniejący, pozbawiony skutków prawnych" – mówiła kilka dni po październikowych wyborach parlamentarnych.

Kolejna z kandydatek do tytułu, była zastępczyni RPO dr Hanna Machińska, wspierała aktywnie organizowany przez antypisowskich sędziów Tour de Konstytucja. – Pokazuję wszystkim pokoleniom, że każdy z nas musi być zaangażowany, że każdy znajdzie sobie miejsce i każdy powinien dokonać wyboru: głosować na Polskę. Polska musi być w naszych sercach – podkreślała. To zresztą Machińska jest autorką skrajnie szkodliwego pomysłu, by plac przed Pałacem Kultury i Nauki nosił imię Piotra Szczęsnego, mężczyzny, który popełnił samobójstwo poprzez samospalenie w proteście przeciw polityce PiS.

Wydaje się, że Zofia Czekalska ps. Sosenka, powstaniec warszawski, a także Krystyna Budnicka, która przetrwała Holokaust, zostały zgłoszone do plebiscytu jako listek figowy dla skrajnie lewackiego przesłania konkursu. W ramach internetowego głosowania zwyciężyła ostatecznie Katarzyna Kasia.

Jak informuje organizator konkursu, „plebiscyt Warszawianka Roku to wyraz uznania dla kobiet, które swoją pracą zawodową lub społeczną szczególnie przyczyniają się do szerzenia takich wartości jak: tolerancja, europejskość czy różnorodność, ale też działają na rzecz społeczności lokalnej i globalnej".

Tytuł nadawany był corocznie od 1967 do 1981 r. z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet. Początkowo za inicjatywą stał Warszawski Ośrodek Radiowo-Telewizyjny. W pierwszych latach laureatkami zostawały najczęściej aktorki, piosenkarki oraz prezenterki – wśród nich Anna German i Irena Kwiatkowska. Od 1972 r. nastąpił wyraźny zwrot ku promowaniu postaw przedsiębiorczości i zaangażowania społecznego. Stąd tytuł Warszawianki Roku m.in. dla Barbary Polańskiej, dyrektorki fabryki kosmetycznej Pollena-Uroda, oraz Krystyny Bożkowej, dyrektorki Instytutu Matki i Dziecka. Tytuł przyznano po raz ostatni w roku wprowadzenia stanu wojennego.

JANDA I INNE ZAANGAŻOWANE

Przerwa trwała aż do 2018 r., gdy inicjatywę wznowiono. Od tego czasu przyznano trzy tytuły specjalne. Warszawianką Stulecia okrzyknięto Irenę Sendlerową, Sprawiedliwą wśród Narodów Świata, co nie wzbudziło krytyki. Inaczej jednak w przypadku Warszawianki Przemian, którą została Krystyna Janda. Co prawda, jej dokonań aktorskich nikt nie podważa, jednak zaangażowanie polityczne artystki jest oczywiste. Niezadowolona z wygranej Prawa i Sprawiedliwości w 2017 r. mówiła tak: „Ja się czuję, jakby ktoś mnie opluł w tej chwili. Ja nic nie ukradłam, ja kocham ten kraj, pracuję w nim od urodzenia. Zawsze się przyjaźnię ze światem, jestem nie tylko polską aktorką, ale gram i za granicą. Czuję się, jakby ktoś na mnie s..ł cały czas". Kolejny tytuł specjalny – Warszawianki Pokoleń – przyznano powstańcowi warszawskiemu Wandzie Traczyk-Stawskiej. Opowiedzenie się przez kombatantkę po jednej ze stron sporu politycznego współcześnie jest faktem. – Pójdziemy, żeby się policzyć, żeby uwierzyć, że jesteśmy wielką siłą, bo każdy ma głos, bez względu na to, kim jest, jaki ma zawód, wykształcenie. Każdy ma taki sam głos – tak zachęcała do udziału w marszu 4 czerwca. Podczas uroczystości z okazji 79. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego wprost uderzała w rząd. – Jesteśmy naprawdę wolnym krajem, jeżeli tylko rozumiemy, że nam potrzebny jest taki rząd, który będzie umiał tak rządzić, żeby demokracja tutaj została na zawsze – wskazywała Wanda Traczyk-Stawska.

Szczególnie ostatnie trzy lata to w przypadku tytułu Warszawianki Roku ideologiczna jazda bez trzymanki. W roku 2021 do plebiscytu zgłoszono kandydatury Marty Lempart oraz Katarzyny Augustynek, co wywołało niemałe kontrowersje. Ta pierwsza to znana ze wznoszenia wulgarnych haseł aktywistka aborcyjna, jedna z liderek Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Z kolei Augustynek, znana szerzej jako „Babcia Kasia", to uliczna bojówkarka, która regularnie próbuje zakłócać m.in. miesięcznice smoleńskie, wyzywając i opluwając przy tym policjantów. Ostatecznie tamtą edycję wygrała Traczyk-Stawska.

Tytuł Warszawianki Roku mógłby być elementem ponadpolitycznego wyrazu troski o stolicę, stanowiącego jednocześnie uhonorowanie kobiecej siły i zaangażowania. Kobiet odważnych, aktywnych i mądrych w Warszawie nie brakuje. Obecne władze miasta i ich medialno-establishmentowi akolici postanowili jednak uczynić z tej inicjatywy kolejne narzędzie wojenki ideologicznej, w której zawsze zwycięża tylko jedna, poprawna politycznie opcja. Nie służy to ani kobietom, ani stolicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

W obronie cudowności

FOT. JOEL SAGET/AFP/EAST NEWS

Piotr Gociek

Salman Rushdie non-fiction, czyli groch z kapustą, teksty rozproszone z lat 2003–2020. A jednak można kilka z nich ułożyć w ważną całość

Salman Rushdie lubi pisać o sobie, ale na szczęście nie jest to najgorszy temat rozważań. Swoje napisał, swoje przeżył, ma się czym pochwalić. Po drugie, pisze nie tylko o sobie. W zbiorze tekstów rozproszonych z lat 2003–2020 przypomina czytelnikom, co właściwie robią pisarze, kiedy nie tworzą kolejnych powieści. Zatem: tu wystąpienia dla PEN Clubu, tam jakiś kawałek do gazety za lub przeciw jakiejś palącej kwestii. Wspomnienie ulubionego pisarza, garść wspomnień w formie artykułu. Ot, bieżączka. Życie codzienne.

Kiedy wypłuczemy z tomu „Języki prawdy" te drobiazgi, zostanie jednak całkiem porządny szkielet opowieści, którą można byłoby zatytułować „Dlaczego piszemy" albo „W obronie fabuły". A nawet „W obronie cudowności". Na manifest wyrasta tekst otwierający zbiór, czyli „Baśnie", przypominający, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy dzięki książkom i opowieściom, które kiedyś pokochaliśmy, bo sam akt zakochiwania się nas zmienia. Ubolewa też Rushdie nad faktem, że jako dorośli nie potrafimy się już tak w opowieściach zakochiwać, tracimy więc bardzo wiele. „Może właśnie dlatego dokonujemy wielu złych wyborów" – zastanawia się pisarz.

Wyjaśnijmy rzecz fundamentalną: Rushdiemu nie chodzi o opowieści służące do zabicia czasu, których jedyną zaletą jest to, że istnieją. Ale o opowieści, które pozwalają nam zarówno zrozumieć świat i doznać przemiany, jak i o owym świecie opowiedzieć. Tytułowe „Języki prawdy" są językami fikcji. Snujemy baśnie i opowieści, by zbliżyć się do natury świata, a nie żeby o nim zapomnieć. Baśnie „mówią nam prawdy, które bywają niestrawne" – podpowiada Rushdie. Bliski jest w tych rozważaniach lekcjom udzielanym przez Bruna Bettelheima w klasycznym dziele „Cudowne i pożyteczne", gdzie piętnowano usuwanie z dziedzictwa baśni elementów okrutnych. Współczesny świat w imię ochrony dzieci przed traumą oferuje im zbyt często produkty, które nie pozwalają zrozumieć wyzwań dorosłości. Takie dzieci są potem ułomnymi dorosłymi, przewrażliwionymi; są pokoleniem płatków śniegu.

W CZASACH WYWLEKANYCH BEBECHÓW

Jak sobie radzi współczesna literatura w tych dziwnych czasach? Zdaniem Rushdiego – niezbyt dobrze. W tekście „Autobiografia a powieść" tęskni za czasami, kiedy czytano książki, by poznać zwarte w nich historie, a nie po to, by doszukiwać się w nich śladów biografii autora. Czytelnicy książki Daniela Defoe nie uważali go za Robinsona i nie sięgali po przygody brytyjskiego marynarza w przeświadczeniu, że to sam Defoe rozbił się na bezludnej wyspie i poznał Piętaszka. Czytelnikom Swifta nie przyszło do głowy sądzić, że spotkał Liliputów; czytelnicy Laurence'a Sterne'a nie sądzili,

eprasa.pl c557d2be61

że w istocie nazywa się on Tristram Shandy i w dziewięciu tomach opisał swoje myśli oraz przygody. Jasne było, że opowieść ma inny cel niż przebranie doświadczeń życiowych autora w kostium literatury. Dziś dominuje przekonanie zupełnie odwrotne, w cenie są bebechy, każdy, kogo w dzieciństwie ojciec przeciągnął paskiem albo porzuciła mama, czuje się zobowiązany do napisania o tym 500-stronicowej książki pod tytułem roboczym „Jak bardzo uczyniło mnie to nieszczęśliwym”. W istocie w literaturze dzieje się to samo co w galeriach sztuki. Rację miał Lech Majewski, wyszydzając współczesnych artystów, którzy publicznie rozdzierają na sobie koszulę, ściągają ją z grzbietu i obnosząc triumfalnie, wołają: „Oto mój pot, moja koszula i mój ból, to jest dzieło sztuki”. Czas wyszydzić nieznośnie powtarzalne patoquasi-autobiografie (to apel mój, nie Rushdiego).

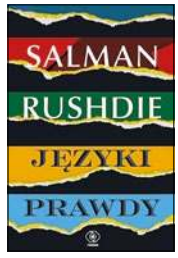

SALMAN RUSHDIE „JĘZYKI PRAWDY. ESEJE Z LAT 2003–2020” REBIS 2023

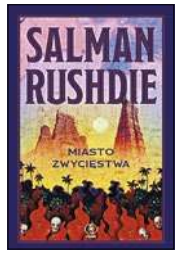

SALMAN RUSHDIE „MIASTO ZWYCIĘSTWA” REBIS 2023

Ludzie wierzą – pisze Rushdie – że powieści to ledwie skrywane autobiografie. „A od wiary już tylko mały krok do wniosku, że nieskrywane autobiografie i tak są lepsze. Lepiej być może odwrócić się od fikcji w stronę pozornie większego autentyzmu i powagi żywotów opowiadanych od nowa jako fakty. W tych niefikcyjnych czasach proliferacja literatury wspomnieniowej i autobiograficznej świadczy o narastającym podejrzeniu, że fikcja jest, no cóż, nie taka prawdziwa i dlatego poniekąd nic niewarta”. Rushdie dostrzega, że taka konfesyjna literatura (nie chodzi o konfesyjność religijną) potrafi być arcydziełem, podobnie jak zdarzają się wybitne książki non-fiction. Ale w zdecydowanej większości „nie jest żadną miarą pewne, czy to, co ofiarowują te smutne tomiszcza, to istotnie prawda”. A jeśli nie prawda, to co? Tu pisarz wprowadza idealnie pasujące do sedna sprawy określenie „prawdość”.

Rushdie sam wpisał się do grona autorów wspomnień i autobiografii, ale w „Językach prawdy” wyznaje – może nieco kokieteryjnie – „i tak wciąż uważam, że więcej zadowolenia przysparza wymyślanie tego, co Platon nazywał lekceważąco »rzeczami, które nie są«, niż zdawanie relacji z tego, jak to ze mną było”. Nie musimy niczego wiedzieć o życiu Szekspira, by cieszyć się jego wspaniałymi sztukami. Możemy podziwiać strofy ukochanych poetów bez wiedzy na temat tego, czy akurat wrastały im w trakcie pisania paznokcie, a może nękała ich podagra. Jednak współczesność, ze swoim wścibstwem, z mediami zwykłymi i społecznościowymi, ze swoim opacznym rozumieniem prawdy, przekreśla takie podejście do literatury. I oto paradoksalnie w wieku cudów cudowność, baśniowość, metafora zostają albo odrzucone, albo zamknięte w getcie bezwartościowej rozrywki narracyjnej. Służą tam jedynie za tasowane do znudzenia te same elementy, które muszą pojawiać się w odpowiednich momentach wyliczonych przez algorytmy w serialach Netflixa albo wskazanych przez wydawców, którzy specjalizują się tylko w jednym: sprzedawaniu tego, co już raz sprzedali.

W STRONĘ BANAŁU

Tom „Języki prawdy” przynosi oczywiście dużo więcej niż rozważania o sensie pisania oraz ulubionych autorach i dziełach Rushdiego. Skupiłem się na tej części, bo uważam ją za najbardziej wartościową, najciekawszą, najbardziej wbrew współczesnym intelektualnym modom. Inne wątki, zwłaszcza im bliżej im do polityki i religii, okazują się u Rushdiego krainą banału. Dziwi się, że w Ameryce „ludzie są wszędzie skuci kajdanami przestarzałej ideologii zwanej Bogiem”. Zaprzyjaźnionemu ateuszowi Christopherowi Hitchensowi doradza, by zmienił tytuł książki „Bóg nie jest wielki” na „Boga nie ma”. Instynkt wolności widzi w kwestionowaniu wszelkich systemów etycznych. Religię nieodwołalnie przeciwstawia wolności. Tam, gdzie idzie o sprawy społeczno-polityczne, jest typowym przedstawicielem establishmentu liberalnego, nie muszę więc nawet wyliczać, jakie pomysły i jakich polityków traktuje ciepłymi słowami, a co i kogo uważa za zagrożenie dla demokracji (ciekawe, że wymiennie z demokracją używa sformułowania „oświeceniowy konsens”). Bywa to tak przewidywalne, że aż irytujące.

Poświęcam więc czas nowej książce Salmana Rushdiego nie dlatego, że mam go za nieomylnego proroka, lecz dlatego, że kiedy błądzi, bywa nudny, więc można go przekartkować, a kiedy się nadmiernie mądrzy, to bywa bardzo zabawny – humor na poziomie zawsze trzeba cenić. Są jednak chwile, w których udaje mu się dotknąć sedna kłopotów, które trapią współczesność. I wtedy jest godny bardzo uważnej lektury. Rozważania na temat sztuki opowieści, zalet cudowności i potrzeby baśniowości są właśnie tymi, które czytać trzeba uważnie.

BAJARZ WIERNY SŁOWU

W tym samym czasie co „Języki prawdy” na półki księgarskie trafiła najnowsza powieść Rushdiego – „Miasto zwycięstwa”. Czy jest to powieść wybitna? Nie sądzę. Najlepsza w dorobku pisarza lub choćby z jego top 5? Też nie. Ale przeczytajmy pierwsze zdanie: „W ostatnim dniu życia, mając dwieście czterdzieści siedem lat, oślepiona poetka, cudotwórczyni i prorokini Pampa Kampana ukończyła swój wielki epos o Bisnadze i zakopała go w zalepionym woskiem glinianym naczyniu w ruinach kompleksu królewskiego metropolii, w samym jego sercu, jako wiadomość dla przyszłości”. (Mamy do czynienia z baśnią przebraną za opowieść historyczną, przebraną z kolei za cudownie odnaleziony rękopis).

Salman Rushdie wierny jest swemu słowu. Obrońca tego, co niezwykłe w literaturze, sam jest wspaniałym bajarzem. Nie znaczy to, że mówi tylko o rzeczach miłych i cudownych. Jego cudowność niesie gorzkie przesłania. Opowieści potrzebne są po to, by prawda nie „rozpadła się w gruzy za sprawą mijającego czasu, niedoskonałości pamięci i kłamstw tych, którzy przyszli później”. Czytałem wszystkie jego książki, ale gdyby ktoś chciał mnie przepytać z ich zawartości, o większości nie miałbym za wiele do powiedzenia. Pamiętam jedynie, że nie żałowałem, kiedy je czytałem. I pamiętam najważniejsze: że napisał je Salman Rushdie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO max

Życie kpiarza

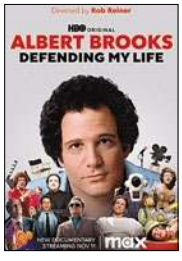

★★★★★☆

REŻ. ROB REINER
„ALBERT BROOKS: W OBRONIE MOJEGO ŻYCIA" („ALBERT BROOKS: DEFENDING YOUR LIFE")
USA 2023

W Stanach uważany za jednego z mistrzów komedii i oryginalnego reżysera (w dodatku wzięty aktor drugoplanowy). W Polsce mało znany, bo czasy jego świetności przypadły na lata, gdy byliśmy za żelazną kurtyną. Albert Brooks szturmem wziął komediowe programy telewizyjne końca lat 60. i początku 70., gdzie stał się szybko bardzo pożądanym gościem. W odróżnieniu od innych komików nie lubił występów w trasie, wolał oko kamery. Stał się mistrzem telewizyjnej improwizacji oraz parodii, doskonale rozumiejąc naturę tego środka przekazu – de facto to on wymyślił formułę „Saturday Night Live". A także nakręcił pierwsze filmiki w anarchicznym stylu, z których potem zasłynął nadawany do dziś program.

Potem dzielił swój talent: jako poważny aktor zadebiutował u Martina Scorsese w „Taksówkarzu", a w latach 90. stał się gwiazdą dubbingu (od „Simpsonów" do „Gdzie jest Nemo"). Za rolę w „Telepasji" nominowany był do Oscara. Cały czas pisał oraz reżyserował i niemal każdy film był godny uwagi. „Nowoczesny romans" czy „Mamuśka" były mocno w duchu Woody'ego Allena, ale mniej neurotyczne. Film „Zagubieni w Ameryce" okazał się świetną analizą ducha amerykańskiej klasy średniej ery Reagana, a „Muza" inteligentną kpiną z Hollywood i trudnej sztuki bycia artystą w ogóle.

Tytuł dokumentu nakręconego przez Roba Reinera, przyjaciela Brooksa jeszcze z młodości, nawiązuje do filmu Brooksa z 1991 r. „W obronie życia" opowiadało o ludziach, którzy w zaświatach muszą przed sędziami oceniającymi ich postępki podjąć trudną próbę obrony własnych decyzji. Dziś sam Brooks, siedząc naprzeciw Reinera, czyni to już za życia, a portretu dopełniają wypowiedzi gwiazd, od Bena Stillera i Judda Apatowa czy Larry'ego Davida do Sharon Stone czy Stevena Spielberga.

Film Reinera (pamiętamy go jako reżysera tak różnych filmów jak „Misery" i „Kiedy Harry poznał Sally") jest pełen ciekawego materiału archiwalnego, a także zabawny i ciepły, bo główny rozmówcy (Reiner i Brooks) bardzo się lubią. Jest to także spory kawał nieznanej polskiemu widzowi historii Hollywood, podobnie jak również dostępny w HBO Max świetny dokument o innym gigancie komedii, którego właściwie nie znamy, czyli „Dzienniki Zen Garry'ego Shandlinga". ©℗

NOWE SERIALE: „ŁOWCZYNIE"

Druga telewizyjna adaptacja (pierwszej dokonała BBC w 1995 r.) niedokończonej powieści Edith Wharton. Lata 70. XIX stulecia, grupa przyjaciółek z Ameryki przybywa do Londynu w poszukiwaniu przygód i mężów. Seria dość swobodnie poczyna sobie z literackim oryginałem. Tempo jest świetne, humor dopisuje, ale anarchiczny feminizm jest momentami nie do zniesienia. Coś bardziej dla fanów „Bridgertonów" niż Dickensa. ©℗

Piotr Gociek

• ***sezon 1 „Łowczynie" („The Buccaneers"), USA/Wielka Brytania 2023***

tv+

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Robert Rodriguez* ***„Hipnoza"****, USA/Wielka Brytania 2023* (HBO VOD)
- *sezon 1* ***„Zakładnik" („Kapningen")****, Szwecja 2023* (CANAL+ ONLINE)
- *sezon 1* ***„Morderstwo na końcu świata" („A Murder at the End of the World")****, USA 2023* (Disney+)

eprasa.pl c557d2be61

Topór sprawiedliwości

KINO

Bądź czujny, nie ufaj nikomu. Któryś z twoich znajomych może okazać się psycholem eksterminującym amatorów (i kreatorów) wielkich wyprzedaży. Tak, tak – epoka bezrozumnych ekranowych bestii dobiega końca. Teraz za nóż, młotek, siekierę i rewolwer łapią nieboracy, skrzywdzeni przez konsumpcyjne społeczeństwo.

W Ameryce Black Friday jest wigilią Święta Dziękczynienia, co autorom obdarzonym sadystyczną wyobraźnią stwarza dodatkową okazję, żeby się wykazać. Czy pyskata kelnerka, która zawsze musi być pierwsza w kolejce do kasy, lub spanikowany ochroniarz zasługują na śmierć w męczarniach? Nie ma czasu, żeby się nad tym zastanowić, bo akcja gna niczym Napoleon w Tulonie. Satyra na chciwość i hipokryzję starszaków oraz na uzależnienie młodzieży od waniliowego frappe tudzież Internetu zmienia się w survival. Osobnik używający maski najsłynniejszego z pasażerów okrętu „Mayflower" łączy rzeźnicką pasję z wyrafinowaniem – ani chybi jest fanem Hannibala Lectera. Możliwe, że będzie kontynuował krwawą krucjatę w kolejnych filmach, jako że „Noc Dziękczynienia" w swoim gatunku (któremu na imię slasher) prezentuje się zacnie. Z jednym zastrzeżeniem – panna Verlaque niezbyt nadaje się na nową „królową krzyku". ©℗

★★★★☆☆
REŻ. ELI ROTH
„NOC DZIĘKCZYNIENIA"
USA 2023

wyst. Nell Verlaque, Jalen Thomas Brooks, Patrick Dempsey

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ROBOT PATROLUJĄCY

KINO

Adam był pierwszym człowiekiem na Ziemi. Czy ostatnim będzie Ewa? Kino gatunkowe jeszcze długo pozostanie polem minowym dla polskich filmowców, ale istnieją nisze, w których od budżetu i armii wyspecjalizowanych podwykonawców ważniejszy jest pomysł. Piotr Biedroń taki pomysł miał i dlatego górnośląskie postapo, zrealizowane kosztem miliona złotych, robi wrażenie. Mimo skromnych środków udało się wykreować nader wiarygodną martwą naturę. Gorzej z rozwinięciem fabuły. Trudno uwierzyć, że upadek cywilizacji przetrwa jedynie rozkojarzone dziewczę, które w obliczu śmiertelnego zagrożenia, zamiast działać, będzie tracić czas na dyskusję z maszyną w nadziei, że uda się ją skłonić do ludzkich reakcji. Zanik instynktu samozachowawczego źle wróży naszej przyszłej walce o przetrwanie. Klimatyczna katastrofa, pandemia, wojna i sztuczna inteligencja nie pokonają człowieka. Zabije się sam, przez pomyłkę. ©℗

★★★★☆☆
REŻ. PIOTR BIEDROŃ
„W NICH CAŁA NADZIEJA"
POLSKA 2023

wyst. Magdalena Wieczorek, Jacek Beler

POPOŁUDNIE NIMFY

NH nowe horyzonty

Stłuczone lustro to zły omen, we wtorki nie nosi się nowych rzeczy, prawdę zaś wyczytasz z kart tarota. Florence alias Cleo, gwiazdka muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej, już wcześniej była przesądna. Czekając na wyniki lekarskich badań, robi się też nerwowa. Błąka się po mieście coraz bardziej przekonana, że jej życie i kariera to zamki na lodzie. „Wszyscy mnie rozpieszczają, nikt mnie nie kocha". Czysty egzystencjalizm, podany w nowofalowym sosie. Varda, wcześniej parająca się fotografią, przełamała ówczesne konwencje, o których miała zresztą blade pojęcie. Wyjście z kamerą na ulicę ujawniło, że Paryż A.D. 1961 zachował sporo wdzięku. Oprócz naturszczyków w epizodach brylują koryfeusze. Ząb czasu nie nadgryzł tego arcydzieła. Dwie godziny z życia kobiety ogarniętej lękiem, skondensowane w 89 minutach, mijają szybko. Jak lato w Wiżajnach. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★☆
REŻ. AGNÈS VARDA
„CLEO OD PIĄTEJ DO SIÓDMEJ"
(„CLÉO DE 5 À 7")
FRANCJA/ WŁOCHY 1962

wyst. Corinne Marchand, Antoine Bourseiller, Dominique Davray

GRA TYGODNIA: „THE INVINCIBLE" („NIEZWYCIĘŻONY")

Pierwsza duża, o ile nie pierwsza w ogóle, gra na bazie twórczości Stanisława Lema to przetarcie szlaków w dobrym stylu. Spodziewałem się nudy – bo gameplayowo to w zasadzie symulator chodzenia, a historię opisaną w „Niezwyciężonym" dobrze znam – ale zostałem pozytywnie zaskoczony. Gra to osobny rozdział całej historii (przed przybyciem „Niezwyciężonego" na Regis III), a rozgrywka, choć nie stanowi większego wyzwania, wcale nie nuży. Mimo kilku potknięć i niedoskonałości naprawdę warto.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Udany debiut Starward Industries. Wznosimy toast i czekamy na więcej. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *przygodowe*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Starward Industries; 11 bit studios*

eprasa.pl c557d2be61

MOJA PÓŁKA

Kochankowie z Kingsbridge

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Tę powieść musiałem przeczytać. Od czasu, gdy „Igła" – także za sprawą filmu Richarda Marquanda z Donaldem Sutherlandem – zawładnęła moją wyobraźnią, nazwisko Kena Folletta było dla mnie gwarancją bardzo dobrej literatury popularnej. Wymieniało się je jednym tchem z Frederickiem Forsythem, i to właściwe tłumaczyło wszystko.

Kolejne tytuły Folletta budziły może nieco mniejszy entuzjazm, ale wciąż wśród thrillerów, wojennych i politycznych, wyróżniały się pomysłowością, przemyślaną fabułą, dialogami, które wciągały w akcję, a nie wywoływały li tylko wesołość, zupełnie nielicującą z tematyką tych książek. Walijski pisarz odwiedził Warszawę, zachowałem z tej wizyty niezłe wspomnienia, nie tylko autograf.

Ale to już był Follett w nie całkiem nowym, ale odmiennym wcieleniu, objawił się bowiem jako autor powieści historycznych, z których najpopularniejszymi okazać się miały „Filary ziemi" (1989). Historyczność zarówno powieści, jak i całego cyklu, który za sobą pociągnęła, jest skądinąd względna, gdyż miasteczka Kingsbridge w południowej Anglii – gdzie toczy się akcja książek, umiejscowionych kolejno w wiekach XII, XIV, XVI, i wreszcie w „Smudze światła", która się właśnie ukazała, domykając serię, na przełomie stuleci XVIII i XIX – próżno szukać na mapie. Co nie przeszkodziło „Filarom…", w 2010 r. przerobionym na serial przez Ridleya Scotta, odnieść ogromny sukces.

Przypominam te fakty, by przywołać uczucia, z jakimi zaczynałem czytać ponad 700-stronnicową „Zbroję światła". Niestety, muszę to powiedzieć od razu, lekturę kończyłem w zgoła odmiennym nastroju.

FOT. DAVID LEVENSON/GETTY IMAGES

I wcale nie dlatego, że rewolucja przemysłowa wkraczająca za sprawą maszyn zastępujących pracę robotników w tkalniach jest mniej atrakcyjna czytelniczo od wznoszenia katedry, o czym traktowały „Filary ziemi". Jak również nie z tego powodu, że pozytywni bohaterowie powieści są zdecydowanie nadto naiwni, a nagromadzenie złych cech w istocie w jedynym czarnym charakterze „Zbroi…" przekracza normę dopuszczalną dla naszego zdrowia psychicznego i kiedy ów nędznik rzuca się ze szczytu katedralnej dzwonnicy, myślimy jedynie o tym, dlaczego zrobił to tak późno.

Niewątpliwie znajdziemy w książce fragmenty godne zapamiętania, przede wszystkim te, które mają nam uświadomić fatalną sytuację pracowników w czasach, gdy nie było jeszcze związków zawodowych, a nawet jakiekolwiek stowarzyszenia robotnicze z natury rzeczy były mocno podejrzane. A o warunkach pracy najlepiej mówi informacja, że nowy, światły właściciel zakładów włókienniczych, gdy spytał, co może zrobić dla zatrudnionych, usłyszał prośbę, by wolno im było chodzić za potrzebą poza wyznaczonymi godzinami.

Jakoś też bronią się fragmenty powieści odnoszące się do konfliktów religijnych między wyznawcami Kościoła anglikańskiego i metodystami, którzy tak zostają zarekomendowani: „Nie jesteście dogmatyczni, szanujecie opinie innych ludzi, nie chcecie prześladowań katolików. Nie wiecie więcej niż anglikanie, ale w odróżnieniu od nich przyznajecie się do tej niewiedzy".

Jako że akcja „Zbroi światła" rozgrywa się w czasach napoleońskich, mamy tu również opisy bitew pod Lipskiem i Waterloo, wprowadzoną postać Wellingtona, do którego sztabu trafia jeden z bohaterów powieści, który na wojnę wybrał się właściwie tylko dlatego, by być blisko swojego ukochanego. Czy naprawdę mam kontynuować ten wywód?

Jakby jednopłciowych kochanków z Kingsbridge było komu mało, to jako bonus dostanie jeszcze jednopłciowe kochanki, co prawda, nieodgrywające w powieści wiodącej roli. Na pytanie, po co wszystkie te postaci wprowadził Follett do swojej książki, odpowiem: Bo inni też tak robią. W efekcie skupiamy się na tym, co kompletnie nieistotne, a „Zbroja światła" nabierać zaczyna cech karykaturalnych.

Smutne to, bo jeśli pisarze rangi Folletta dostosowują się do wymogów poprawnościowych, to czego wymagać od autorów mniej znanych, dopiero ubiegających się o zdobycie popularności?

W powieści znajdziemy pewną znamienną scenę. Oto do miejscowej drukarni wkracza sędzia i szeryf, poszukując znajdujących się tam ponoć wywrotowych materiałów. Właściciel zakładu po pierwszym szoku oznajmia: „– To jest wolny kraj. Anglicy mają prawo do swoich poglądów. Nie jesteśmy rosyjskimi chłopami pańszczyźnianymi".

Z pewnością nie byli nimi, a i dziś nie są. I wciąż mają prawo do swoich poglądów. Byle były poprawne. ©℗

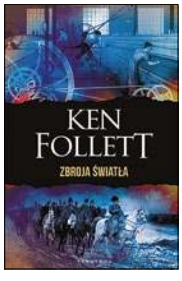

★★★☆☆☆

KEN FOLLETT „ZBROJA ŚWIATŁA" ALBATROS, WARSZAWA 2023

eprasa.pl c557d2be61

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Europa zgwałcona

Zapłaczmy nad Jaskółeczką: ocalona z piekła sierocińca myśli, że trafiła do nieba, a tak naprawdę z deszczu pod rynnę. Ubrania lepsze, ale pogarda bolesna. A gdy dosięgnie wieku dojrzałości, bilans dotychczasowego życia będzie smutny. Zgwałcona, krzywdzona, samotna, niepewna. Próbująca odkryć, kim naprawdę jest.

Chodzi o coś więcej niż drogę do samopoznania, którą każdy człowiek przejść powinien. Mołdawskiej pisarce Tatianie Tibuleac udało się, opisując los dziewczyny zwanej Jaskółką, stworzyć metaforę porwanej i zgwałconej Europy Środkowo-Wschodniej. Akcja zaczyna się, gdy sowieckie imperium jeszcze dycha, ale wkrótce wszystko się zmieni. O Rosjanach będzie można mówić głośno „nasi okupanci". A ci bronić się będą słowami, że przybyli tylko żyć normalnie, tak jak inni, np. żeby w szkole uczyć języka.

Język okazuje się najważniejszym narzędziem opresji. Wielu zapomina dziś o tym, że komunizm niósł ze sobą także brutalną rusyfikację. Jaskółka wychowana w miłości do rosyjskiego wyznaje, że lubi ten język i w nim myśli. Potem odkrywa, że dostępne są – właśnie poprzez język – także inne tożsamości. Jedni mówią, że zawsze tu była Mołdawia i trzeba mówić tylko po mołdawsku. Inni przypominają, że kiedyś Mołdawia i Rumunia były jednością. Rumuński niby podobny, ale alfabet inny. Tymczasem bohaterka odkrywa angielski, który łatwo wchodzi do głowy i zaczyna jej się podobać.

„Szklany ogród", druga dostępna w Polsce książka Tibuleac (po znakomitej „Lato, gdy mama miała zielone oczy"), to opowieść o wychodzeniu z traumy i odzyskiwaniu tożsamości poprzez język, bo i język był narzędziem zniewolenia, współdziałał z polityczną i bezpośrednią przemocą. Opowieść o skrzywdzonej dziewczynie i o zniewolonym kraju. Kibicujmy Jaskółeczce, trzymajmy za nią kciuki, żeby jedna opresja nie zamieniła się w inną. Jeśli jej się uda, to jest nadzieja, że uda się wszystkim, którzy wciąż próbują uciec z piekła narodów, które stworzyli carowie narodów z Kremla.

Doceńmy też maestrię młodej autorki. „Szklany ogród" to krótka powieść złożona z ponad 160 króciutkich rozdziałów, właściwie niemal poetyckich impresji. A jednak logiczna, konsekwentna, poruszająca. Tatiana Tibuleac jest po prostu świetną pisarką. ©℗

★★★★★☆
TATIANA TIBULEAC „SZKLANY OGRÓD" KSIĄŻKOWE KLIMATY/NOIR SUR BLANC 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wyjdźmy poza Ziemię. Jak polityka w kosmosie zmieni nasz świat, czyli o nowych granicach między potęgami i nadchodzących dekadach zmian pisze autor bestsellerów „Więźniowie geografii" i „Potęga geografii".

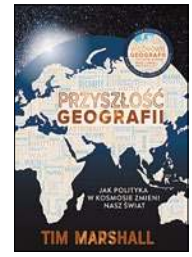

TIM MARSHALL „PRZYSZŁOŚĆ GEOGRAFII" ZYSK I S-KA

Efekt kilku lat dziennikarskiego śledztwa. Bliski Wschód, Afryka, Ukraina – metody działania i historia prywatnej armii, która jest zbrojnym ramieniem Rosji. Prigożyna zabrakło, praktyka pozostała.

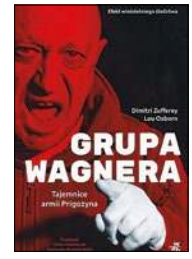

DIMITRI ZUFFREY, LOU OSBORN „GRUPA WAGNERA" WAB

„O znaczeniach i wartościach baśni" – wznowienie klasycznej pracy, coraz bardziej aktualnej, bo popkultura albo dzieci za wszelką cenę chroni przed poważnymi treściami, albo przerabia na „małych dorosłych".

BRUNO BETTELHEIM „CUDOWNE I POŻYTECZNE" PIW

Wznowienie opowieści o kolonizacji Marsa (początek trylogii). Nie zestarzała się trzy dekady od premiery, bo autora interesują mechanizmy społeczne i ekonomiczne, a nie pogoń za nowinkami naukowymi. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

KIM STANLEY ROBINSON „CZERWONY MARS" VESPER

KOMIKS TYGODNIA: „JEŻ JERZY", NO. 2

Kultowy bohater polskiego komiksu powraca. Po zakończeniu edycji zebranych opowieści autorzy postanowili kontynuować sagę o Jerzym, ale w innej formie. Zamiast albumów czy krótkich historyjek tworzonych z myślą o prasie proponują serię klasycznych zeszytów. Pierwsze dwa już się ukazały; w najnowszym pojawia się trudne pytanie: Co gorsze – nadopiekuńczy ojcowie czy stado jaszczurów? ©℗

Piotr Gociek

RAFAŁ SKARŻYCKI, TOMASZ LEW LEŚNIAK „JEŻ JERZY", NO 2. KULTURA GNIEWU 2023

eprasa.pl c557d2be61

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Pierwsza tajemnica

Projekt „Namalować katolicyzm od nowa" – w jego ramach powstają współczesne obrazy sakralne i religijne; zamierzeniem inicjatorów jest realizacja 21 wielkich tematów malarstwa chrześcijańskiego – zainaugurowano w ubiegłym roku wystawą nowych wersji obrazu „Jezu, ufam Tobie". Druga edycja projektu podejmuje temat Zwiastowania.

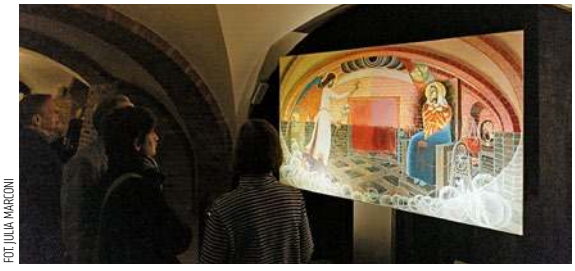

FOT. JULIA MARCONI

Wystawa składa się z 20 różnych przedstawień pierwszej tajemnicy Różańca w interpretacjach Jarosława Modzelewskiego, Ignacego Czwartosa, Jacka Dłużewskiego, Wojciecha Głogowskiego, Jacka Hajnosa OP, Krzysztofa Klimka, Bogny Podbielskiej, Beaty Stankiewicz, Grzegorza Wnęka i Michała Żądło.

– Wyrażenie nauki Chrystusa językiem kolejnego pokolenia jest obowiązkiem tych, którzy mają przekazać światu Prawdę. To rodzaj naszej współpracy w dziele Wcielenia. Dla chrześcijaństwa kultura nie jest luksusem, ale powietrzem, którym oddycha – przekonuje Dariusz Karłowicz, kurator wystawy, pomysłodawca przedsięwzięcia. ©℗

GDZIE? ***Warszawa, katedra św. Michała Archanioła i Floriana Męczennika***
KIEDY? ***do 31 stycznia 2024 r.***

FOT. MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

KOBIETY O KOBIETACH

„Tylko ból jest mój" to pierwsza wystawa czasowa w Muzeum Pamięci Sybiru. Oddajmy głos jednej z kuratorek, Magdalenie Zięckowskiej-Tuchlińskiej: – Gdy tematem jest wojna, mówi się o mężczyznach, oni działają, zdobywają, wygrywają. Kobiety są na marginesie [...]. Ta wystawa ma pokazać twarz kobiety, która została porwana przez nurt historii. Nikt jej nie pytał o zdanie, trafiła w obce miejsce i musiała przeżyć, często obarczona opieką nad innymi. ©℗

GDZIE? ***Białystok, Muzeum Pamięci Sybiru***
KIEDY? ***do 28 kwietnia 2024 r.***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Zapełnianie białych plam

Grupa była gwiazdą na festiwalach Monterey Pop, Woodstock i Isle of Wight. Dwie jej rock opery zostały zekranizowane i były przebojami na Broadwayu. Mimo to The Who jest w Polsce zespołem mało znanym. Dlatego pieczołowicie przygotowane wznowienie albumu „Who's Next" z 1971 r. może być dla wielu osób autentycznym odkryciem.

The Who po wydaniu „Who's Next" stał się światową megagwiazdą. Pete Townshend jak nikt inny umiał bowiem w tekstach wyrazić rozterki i frustracje młodego pokolenia. „Life House" miał być po sukcesie „Tommy'ego" jego drugą operą. Dokładniej powstawał jako scenariusz filmowy o zmanipulowanym świecie, w którym potulne masy karmione są wirtualną rzeczywistością i kontrolowaną rozrywką. Projekt upadł, natomiast ukazał się klasyczny album rockowy, który dorównuje najlepszym płytom Stonesów, The Clash czy Springsteena. Większość utworów z „Who's Next" znalazło się na ścieżkach dźwiękowych wielu hollywoodzkich blockbusterów. Tegoroczne wydanie zostało zrealizowane w kilku formatach. Najbardziej luksusowe wydawnictwo zawiera oprócz oryginalnego albumu nagrania demo projektu „Life House", dwa koncerty, Blu-ray z nowymi miksami, bogato ilustrowaną książkę, 150-stronnicowy komiks oraz mnóstwo gadżetów. ©℗

★★★★★★
THE WHO
„WHO'S NEXT/ LIFE HOUSE"
POLYDOR

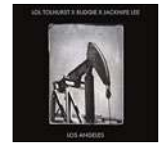

★★★★☆☆
BUDGIE/JACKNIFE LEE/LOL TOLHURST
„LOS ANGELES"
PLAY IT AGAIN SAM

Lol Tolhurst (The Cure), Budgie (Siouxsie & The Banshees) i producent Jacknife Lee (U2, Taylor Swift) stworzyli w Los Angeles album oparty na wysmakowanych brzmieniach rozciągających się od mrocznego trip hopu do industrialnego dance'u.

★★★★★★
NIRVANA
„IN UTERO 30TH ANNIVERSARY EDITION"
GEFFEN

Po gigantycznym sukcesie „Nevermind" Nirvana nagrała z producentem Stevem Albinim bezkompromisowy „In Utero". Dziś album odbiera się jako ponury, pożegnalny list Kurta Cobaina. Istnieje niewiele płyt, które są tak świadomie odpychające, a zarazem emocjonalne jak ta.

eprasa.pl c557d2be61

Blisko, coraz bliżej

FOT. ADOBE STOCK

Krzysztof Masłoń

Idzie nowe. Już dni ledwie dzielą nas od wymarzonej przez naród chwili, w której wszystkie stacje telewizyjne w kraju nadawać będą te same, wyłącznie dobre wiadomości. Oczywiście poza Telewizją Republika, ale jej poważni gracze medialni nad Wisłą i Odrą nie traktują poważnie. Jeszcze by czego…

Właśnie Polsat wystartował ze swoją odmianą TVN24 roboczo nazwaną Polsat News Polityka. Teraz tylko dyrektor Miszczak zostanie przerzucony do TVP, by po wyczyszczeniu tej stajni Augiasza tamtejsze „Wiadomości" zamienić w jeszcze jedną wersję Tusk Vision Network, a wtedy zapanuje już powszechna szczęśliwość i – po przeprowadzeniu zapowiadanej akcji edukacyjnej – społeczeństwo będzie mogło zapomnieć o ponurych latach kaczyzmu, faszyzmu, nacjonalizmu i czego tam jeszcze… Aha, patriotyzmu.

I stanie się, jak tęsknie wyśpiewywał Tomasz Lipiński, przepięknie i normalnie. Czyli tak, jak było kiedyś. Może nie do końca, bo skoro Hanna Gronkiewicz-Walc orzekła, że tanio to już było, to tanio nie będzie, ale poza tym można liczyć na powrót tego, co w naszej polityce i życiu społecznym najlepsze. Będziemy mieli i Radka Sikorskiego jako szefa dyplomacji polskiej, i nawet ciepłą wodę w kranach. Słowo!

Nie bez kozery Donald Tusk pod rękę z wysłużonym artystą Jerzym Kryszakiem wyprorokował: „Szczęśliwej Polski już czas"! Polski radosnej i wesołej niczym nowy marszałek Sejmu. Choć z wesołością lepiej być ostrożnym, bo poczucie humoru miewamy różne. Przed laty, w prehistorycznej epoce PRL, Michał Radgowski powiedział, że nic go tak nie śmieszy jak parlamentarzyści radzieccy, trabant limuzyna i Wodogrzmoty Mickiewicza. Do listy tej z osiągnięć lat ostatnich dodałbym od siebie książkę Donalda Tuska zatytułowaną „Szczerze".

No dobra, rozmarzyłem się, a tu rzeczywistość niemrawo wprawdzie, ale skrzeczy. Wigilia za pasem, a jak Boże Narodzenie (w bliskiej przyszłości – święta zimowe), to tydzień po nim sylwester. I to gdzie! W Zakopanem! Ot, jaki pasztet zgotowali macherzy z Woronicza, nim powyskakiwali stamtąd oknami. – I co? – retorycznie pyta oburzony tym faktem Maciej Orłoś, niegdysiejszy prezenter, a dziś sumienie narodu. – Znów wystąpią Marylka, Edytka z Alankiem, Zenek, Viki Gabor i może nawet Justyna Steczkowska, a koncercik poprowadzą Tomek Kammel, Ida Nowakowska i Olek Sikora. Chyba się komuś w tej telewizji wszystko pop.....ło". Tego to akurat nie wiem, ale z pewnością koncert z Kayah w roli głównej, prowadzony przez Macieja Orłosia, a może i innego Macieja – Stuhra, bo ten też się zgłasza do działań artystycznych, jako że polityki w jego wydaniu wszyscy już mają dosyć, nie byłby już żadnym koncercikiem, a wielkim wydarzeniem z pogranicza kultury i sztuki. Bo jaka kultura, taka sztuka.

Naturalnie, z rangą sylwestra w telewizji nie należy przesadzać. Kiedyś Edyta Wojtczak z Janem Suzinem, a i z Eugeniuszem Pachem wraz z Krystyną Loską wypili po lampce szampana, złożyli telewidzom życzenia, a potem już tylko do obejrzenia zostawała szopka noworoczna z Cyrankiewiczem i Gomułką, no i jeszcze migawka z balu przodowników pracy z tymże Gomułką walcującym ochoczo ze swoją Zośką. Już nie pamiętam, czy towarzysz Wiesław wyjmował w tańcu z ust fifkę z połówką sporta czy popalał w trakcie prezentowania narodowi swej ludzkiej twarzy.

Nawiasem mówiąc, ze sprawdzonych wzorów nie warto rezygnować. Odkurzyć by można np. „Polskie zoo" z początku lat 90. Wiem oczywiście, kto pisał teksty pod popisy polityków, których symbolizowały kukiełki Jacka Frankowskiego. Ale kto powiedział, że w nowej rzeczywistości nie mogłaby Wolskiego zastąpić taka np. Neo-Nówka? A sporo bohaterów „Polskiego zoo" wciąż ma się dobrze, powiedziałbym nawet: za dobrze. Taki choćby Leszek Miller, w „Polskim zoo" obsadzony jako pająk (jasne, że czerwony, bo jaki), czy Włodzimierz Cimoszewicz robiący tamże za jakże sympatycznego i powszechnie lubianego szakala. Koń też był, ale skrywał się za nim wcale nie Giertych, tylko Balcerowicz. Wałęsę jako lwa pamiętamy wszyscy, niestety. A Tuskiem był – cóż, koncept to nienadzwyczajny – Kaczor Donald. Może by urządzić plebiscyt, jakie zwierzę powinno teraz symbolizować „Człowieka z zasadami", bo tak się lansował w 2005 r. w wyborach prezydenckich, w których przegrał z Lechem Kaczyńskim, ten – jak słyszymy – the most personal person in Europe. A jak! ©℗

eprasa.pl c557d2be61

Z Cezarym Nowickim, reżyserem i wykładowcą Krakowskiej Szkoły Filmowej
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Pornografia to najważniejsza ze sztuk?

TOMASZ D. KOLANEK: Coraz więcej osób zwraca uwagę, że współczesna kinematografia próbuje zrobić z pornografii „sztukę wyższą". Coraz więcej filmów jest reklamowanych jako „dzieła" prezentujące nagość i tzw. momenty. Dlaczego?

CEZARY NOWICKI: Zacznę od czegoś banalnego. Z pornografią od zawsze jest ten sam problem – trudno ją zdefiniować.

Niektóre definicje mówią np., że pornografia to prezentacja stosunku seksualnego w celu wywołania podniecenia. Skąd mamy wiedzieć, jaki był cel autorów filmu? Może być on oczywisty. Ale jak to udowodnić? No i zarówno twórca, jak i widz mogą mieć… specjalne preferencje...

Quentin Tarantino jest np. fetyszystą kobiecych stóp. Pojawiają się one w jego filmach wręcz natrętnie, a zarazem stanowią jego autorski „touch"...

Na przykład w „Bękartach wojny"...

Nie tylko. Bardzo dobrze widać to w „Pulp Fiction", gdzie Esmeralda Villalobo (Angela Jones) gołą stopą naciska pedał gazu w taksówce, gdy wiezie Butcha Coolidge'a (Bruce Willis). Gołe stopy ma również tańcząca Mia Wallace grana przez Umę Thurman. Tarantino nie kryje się z tym fetyszem, ale nie sądzę, żeby jego zamiarem było wywołanie podniecenia u widza.

eprasa.pl c557d2be61

FOT. ADOBE STOCK

A jakie są inne definicje pornografii?

Inna definicja pornografii obejmuje przypadki, w których prezentowane są narządy płciowe, jeszcze inne mogą być znacznie bardziej „rygorystyczne”…

W Ameryce istnieje tzw. pas biblijny, gdzie – zwłaszcza na prowincji – dominują konserwatywni protestanci. Na przeciwległym biegunie leżą liberalne „miasta grzechu”. Jednym z takich miejsc było i jest Hollywood, gdzie wraz z szybkim rozwojem przemysłu filmowego zaczęło dochodzić do coraz większych skandali seksualnych i podejrzanych zgonów.

Proszę sobie wyobrazić, że samo środowisko filmowe pod naciskiem opinii publicznej, czyli widzów, powołało specjalną komisję i stworzyło sławny „Kodeks Haysa”, zawierający wytyczne, co wolno, a czego nie wolno. Filmy były bardzo starannie sprawdzane pod tym kątem. Obowiązywał np. całkowity zakaz golizny albo zapis, że na łóżku mogą znajdować się dwie osoby płci przeciwnej tylko pod warunkiem, że są małżeństwem i... mają trzy nogi na podłodze. O samym stosunku płciowym oczywiście nie mogło być mowy.

Twórcy potrafili jednak ten zakaz obejść, posługując się sugestią i zręcznie dobranymi znakami filmowymi. Weźmy np. film „Wielki sen” i przypatrzmy się scenie między detektywem i bibliotekarką: mierzą się wzrokiem, rodzi się wzajemne zainteresowanie; zamknięcie drzwi, wabienie, łyczek whisky, bohaterka zdejmuje okulary i rozpuszcza włosy, zbliżają się do siebie… Cięcie i czułe pożegnanie… Niby nic, a scena aż pulsuje seksem.

To najlepsze rzemiosło i prawdziwa sztuka. Dosłowność to łatwizna.

Chce pan powiedzieć, że w Hollywood przez lata obowiązywała cenzura?

Tak – wewnętrzna. Z całą pewnością na jej ograniczenie, a potem zniesienie wpłynęły rewolucja dzieci kwiatów, czyli rok 1968 i później, oraz sławny „Raport Kinseya”, który stał się podstawą rewolucji seksualnej. Modna stała się wówczas walka o wolność we wszystkich dziedzinach życia, także w kinie.

Zbiór tych zjawisk, który można było nazwać kontrkulturą, doprowadził do tego, że w filmach zaczęto pokazywać „coraz więcej”. Z czasem znacznie więcej niż „goliznę”. Wcześniej granicą były, co wydaje się dziś śmieszne, kobiece kolana, potem pośladki i piersi. Potem w filmach pojawiły się sceny łóżkowe, ale takie, żeby za dużo nie pokazać. Wspomniane narządy płciowe były jednak jeszcze długo zakazane. Zgodnie jednak z zasadą „uciekającego horyzontu” granica tego, co wolno, ciągle się przesuwała.

Przy okazji popatrzmy na takiego „Playboya”. W Polsce był to w okresie PRL magazyn dla wielu ludzi wręcz mityczny, kultowy, ponieważ znajdywały się w nim kilka zdjęć nagich kobiet i tzw. rozkładówka, czyli składany plakat przedstawiający kobiecy akt – „gołą babę”.

Poza tym jednak „Playboy” był pismem z ambicjami, publikował opowiadania i fragmenty powieści na naprawdę wysokim poziomie artystycznym, zdjęcia też były „artystyczne”.

Co ciekawe, komunizm, który zaczynał od hasła „Wszystkie żony są wspólne”, z czasem stał się bardzo purytański, więc dla PRL-owskiej cenzury „artystyczne” ze „zgniłego Zachodu” było nie do przyjęcia.

Podejrzewam jednak, że tym, którzy spoceni ze strachu przemycali „Playboya”, nie chodziło o „artystyczne”. To był owoc zakazany. Tak samo było z „nieprzyzwoitymi” filmami, których cenzura nie dopuszczała na ekrany, słyszało się o tym, co wyczyniali Szwedzi, i tylko wzdychało…

Dopiero gdzieś tak przed Okrągłym Stołem pojawiła się „Różowa seria”, dla poprawienia nastrojów społecznych, ale to nie było nawet soft porno. Dziś takie coś może budzić najwyżej uśmiech politowania.

Można złośliwie powiedzieć, że dzisiaj pokazanie w filmie stosunku kobiety i mężczyzny oznacza, że film jest konserwatywny.

No tak, za chwilę będzie on nawet niepoprawny politycznie. Światowa lewica najwyraźniej wraca do źródeł, zaczynała przecież od czarowania i epatowania drobnomieszczańskiego Zachodu ideą „wolnej miłości”. Ślady tego znajdziemy we wczesnej kinematografii sowieckiej.

Jest taki prześwietny film dokumentalny Dzigi Vertova pt. „Człowiek z kamerą filmową”, z 1929 r. To panorama Kraju Rad, ukazująca od świtu do nocy przeróżne miejsca: miasta, pola, fabryki, kombajny, a także plażę nudystów.

W stanie wojennym dowiedziałem się, że będzie jakaś „fajna projekcja” w konsulacie USA w Krakowie. Był to pokaz nowego filmu Stanleya Kubricka – „Lśnienie”.

Co wspólnego może mieć horror, i to tak „artystyczny”, z pornografią?

eprasa.pl c557d2be61

Dla mnie wtedy trochę miał. W filmie pojawia się taki... „niebezpieczny pokój” 237, w którym „coś na pewno jest”. Czuje to cała rodzina, czują to widzowie. Zwrotem akcji jest moment, kiedy główny bohater, grany przez Jacka Nicholsona, wchodzi do tego pomieszczenia. Kamera go prowadzi, on mija pokój i wchodzi do łazienki, gdzie za półprzezroczystą zasłoną widać coś rodzącego nadzieję u widza – podglądacza. Bo widz jest voyeurem, jak nas uczy psychoanaliza kina. Zasłona się rozsuwa i rzeczywiście widzimy nagą kobietę.

Potem drugi szok – bohater widzi w lustrze, że trzyma w ramionach rozkładającego się trupa staruchy, która martwa i naga gniła w wannie. Psychoanalitycy kina nazwaliby to karą.

Przez długi czas w amerykańskim kinie działał jeszcze ten purytański gen, zwłaszcza w horrorach, a także w filmach katastroficznych. W „Płonącym wieżowcu” pierwsza ginie para, która została w biurze po pracy, żeby uprawiać seks.

Jeszcze inny przykład: zaraz po stanie wojennym w jednym z krakowskich akademików miał miejsce pokaz filmu „Kaligula”. Sala była po brzegi wypełniona studentami drżącymi z podniecenia, że zaraz zobaczą na własne oczy „zakazane”. Ta superprodukcja to bardzo ciekawy przypadek. Miał to być odważny film „sandałowy”, przedstawiający życie i śmierć znanego z ekscesów cesarza. Ambitnie i z doborową obsadą. Kaligulę gra Malcolm McDowell, Caesonię – Helen Mirren, która już wtedy była znana ze scen rozbieranych. Film uświetnili również sir John Gielgud oraz inny wielki aktor Peter O’Tolle, którzy chyba nie mieli pojęcia, w co zostaną wrobieni. Już na etapie postprodukcji producenci uznali, że film jest „za słaby”, i to pomimo tego, że pojawiły się tam sceny sadomasochistyczne, kazirodcze, pokazujące ludzi onanizujących się, seks analny, fisting... Dorzucono jeszcze scenę seksu lesbijskiego, do której zaangażowano aktorki porno.

Granica została znów przesunięta. I przesuwana była dalej. W pierwszej, pilotowej wersji „Gry o tron” było dużo „odważnych scen”, grały w nich aktorki porno, ale w nikim nie budziło to już emocji. Ciekawe jednak, że z czasem, kiedy okazało się, iż serial ma potencjał zdobycia ogromnej widowni, z praktyk takich zrezygnowano, pewnie po to, by nie zawyżać progu wiekowego. To zabawne, że to wolny rynek wymusił względną przyzwoitość, choć niby wiadomo, iż widz to podglądacz.

Wcześniej, w roku 2000, powstał film pod tytułem „Gwałt”, który pokazuje to, co „obiecał” tytuł – brutalny gwałt na kobiecie, gwałt na żywo ze wszystkimi detalami, bez prób markowania czegokolwiek, więc nawet nie realistyczny, tylko realny, z tą różnicą, że „chcącemu nie dzieje się krzywda”, skoro dostał honorarium. W dalszej części filmu dwie kobiety podróżują po kraju, prowokując do seksu przygodnych mężczyzn, by zabijać ich w „słusznej zemście” na różne wymyślne sposoby. To taka wersja „Pluję na twój grób” w wersji hard. Ale twórcy powiedzą, że ich film nie miał być w żadnym razie „rozrywkowy”, tylko odważnie walczył o prawa kobiet w opresyjnym, patriarchalnym świecie. I jak to teraz skrytykować, żeby nie wyjść na szowinistyczną, męską świnię?

Za rozplenienie się niewyobrażalnego obrzydlistwa odpowiada upowszechnienie się Internetu

Jest pan przeciwny tworzeniu i pokazywaniu takich filmów?

Otóż nie, choć budzą we mnie odrazę. W roku 1989 wziąłem udział w jakiejś radiowej dyskusji i stanąłem po stronie pornografii. Ale rozumiem tego siebie młodszego o te ponad 30 lat – w „nową rzeczywistość” wchodziłem napełniony nienawiścią do cenzury, z którą przez lata próbowaliśmy walczyć, a przynajmniej ją jakoś obchodzić. I wiedziałem, jakich zniszczeń w umysłach dokonała, nie mniejszych niż nachalna propaganda, którą z czasem nauczyliśmy się zbywać wzruszeniem ramion.

Niektórzy nie wiedzą, a niektórzy może zapomnieli, że w swoim czasie próbowano kontrolować każdy odtwarzacz VHS, a potem każdą antenę satelitarną, nie dopuszczać do nich „śmiertelników”. W 1989 r. byłem pewien, że cenzura jest zła z natury. Uważałem, że od tego mam własny rozum, żeby wiedzieć, z czego chcę korzystać, a z czego nie chcę. A jakieś „świerszczyki” i „pornole” to margines. Za granicę, odstępstwo od zasady „wolności słowa i publikacji”, a także „wolności artystycznej” uważałem dostępność tego typu produktów dla dzieci. Wtedy było to teoretycznie wykonalne.

Jakie jest pana podejście obecnie?

Zacznę od przykładu. Jeden z najlepszych reżyserów przełomu wieków XX i XXI, Miloš Forman, zrobił film pt. „Skandalista Larry Flynt”. Reakcja na niego była silna, a skandal wywołał już sam plakat, na którym przewiązany w pasie flagą USA Woody Harrelson leżał w pozie ukrzyżowania.

W USA odezwali się purytanie, dla których było to nie do przyjęcia. W Polsce również znaleźli się ludzie, których to oburzyło, odbywały się pikiety pod kinami.

Może ja teraz kogoś urażę, ale muszę powiedzieć, że moim zdaniem taka reakcja była przesadna, a sam film nie dawał do niej powodów. Nie sądzę, żeby Formanowi zależało na wywołaniu skandalu, nie był nawet „nieprzyzwoity”, mimo że, owszem, jego bohaterem był sławny skandalista.

Forman postawił sobie i widzom pytanie, które i pan mi zadał. Jest to pytanie o granice wolności. Można powiedzieć, że cała twórczość Formana skupia się na problematyce wolności, jej aspektów, granic i konsekwencji. „Hair” jest o wolności. „Amadeusz” jest o wolności...

W „Skandaliście…” Forman zajął się fenomenem, którym było pismo „Hustler”. W tym celu prześledził koleje życia tytułowego bohatera, Larry’ego Flinta. Zamiast jednak robić film o problemie, czego bardzo nie lubię, opiera się na „human story” bohatera, którego umieszcza w tytule.

Flynt, uosobienie amerykańskiego mitu od pucybuta do milionera, stworzył pismo, przy którym „Playboy” był niewinnym „świerszczykiem”. Było to pierwsze na oficjalnym rynku pismo jawnie pornograficzne. „Hustler” rzeczywiście szedł na całość. Larry Flynt przekraczał wszelkie dopuszczalne wtedy granice nie tylko na „rozkraczonych” rozkładówkach. Posunął się do tego, że oskarżył znanego telewizyjnego pastora o uprawianie seksu z własną matką, w wychodku.

eprasa.pl c557d2be61

Różne dowcipy się opowiada przy piwie, różne plotki szepce, ale pastor został, na dodatek kłamliwie, pomówiony w gazecie, czyli publicznie. A gazety – słowo drukowane – znaczyły wtedy więcej niż dziś.

Tak więc Flynt przekroczył jeszcze jedną granicę. Była to zamierzona, obliczona na podniesienie nakładu pisma i jego zysk prowokacja. Za swoje prowokacje Larry Flynt słono płacił, był ciągany po sądach, gdzie zachowywał się również prowokacyjnie; wreszcie został postrzelony w kręgosłup, co skończyło się paraliżem od pasa w dół (wygląda to jak sprawiedliwość poetycka) i chronicznym bólem.

Trzeba mocno podkreślić, że Forman w żaden sposób nie próbuje idealizować bohatera czy opowiadać się po jego stronie. Nie heroizuje go. Ja też, oglądając film, nie czułem dla niego ani cienia sympatii. Forman zadaje sobie i widzowi pytanie: Czy Larry Flynt to cwaniak bogacący się na prowokacjach czy bojownik o wolność słowa i publikacji? Może i jedno, i drugie? Forman pokazuje zyski i straty.

Flynt mieszka w pałacu, a sypialnię z łazienką zamienił w wielki sejf z pancernymi drzwiami. To jeden z elementów autokreacji. Kiedy rozpaczliwie wydzwania w poszukiwaniu choćby eksperymentalnych metod leczenia dla żony, ta umiera w łazience – w wielkiej wannie. Żona, z którą żyli w „wolnym, otwartym związku”, zaczęła razem z nim brać narkotyki, on – dla zwalczania nieznośnego bólu, ona – dla towarzystwa; on po udanej operacji przestał brać, ona popadła w nałóg i zaraziła się AIDS. Flynt zwleka się z fotela i bierze jej ociekające wodą, nagie ciało w objęcia. Mocna, wzruszająca scena. Symboliczna.

Tymczasem sprawa sądowa wkracza na coraz wyższe instancje...

Tak. Dotychczas Flynt chodził na rozprawy tylko po to, żeby wywołać skandal, i przegrywał – można powiedzieć – na własne życzenie. Pokazowo.

Adwokatowi Flynta, postrzelonemu razem z nim w ataku snajpera, udało się przenieść rozprawę do Sądu Najwyższego, ale postawił warunek, że klient tym razem będzie się godnie zachowywał. Koniec zabawy, na wokandę wchodzi konstytucyjna wolność słowa. Warto pamiętać, że amerykańskie prawo oparte jest na precedensach. Gra idzie więc o wielką stawkę, o prawa obywatelskie.

Ten proces pozwala Formanowi przenieść filmowy dyskurs na najwyższy poziom merytoryczny.

Sama dyskusja, szermierka argumentami, jest naprawdę błyskotliwa, a także ma wielką wagę. Po wnikliwym rozważeniu za i przeciw sąd wydał werdykt – wygrała wolność słowa i publikacji. Wygrała idea wolności. Przegrali pastor i jego dobre imię, wygrał skandalista Larry Flynt. Teraz zwycięzca, samotny, siedzi w swoim pałacu na wózku inwalidzkim i ogląda stare filmy, wspominając młodą, zdrową żonę i radosne, beztroskie życie. Wzruszające. Symboliczne. Podsumowujące – wolność drogo kosztuje. Pytał pan o moje zdanie – jest ono właśnie takie.

Trochę się pan wykręca.

Powiem szczerze – jestem rozdarty. Nadal jestem przywiązany do wolności słowa i przeciwny cenzurze, ale może warto w tym momencie wspomnieć film „Pink Flamingos” Johna Watersa z 1970 r. Gwiazdą tego zrealizowanego mocno po amatorsku dzieła jest kultowa drag queen Divine, a na naszych oczach i uszach łamane są w nim wszelkie tabu. Dość powiedzieć, że na zakończenie człowiek zjada na oczach widza jeszcze ciepłe psie odchody. Film uznawany był przez niektórych za arcydzieło. Takie same głosy pojawiły się w przypadku filmu „Salò. 120 dni Sodomy” mistrza Pasoliniego, więc nie powinienem się dziwić…

Znów pewnie powiem banał, ale za rozplenienie się niewyobrażalnego jeszcze niedawno obrzydlistwa odpowiadają upowszechnienie się Internetu i swobodny dostęp do niego. Na marginesie można dodać, że branży pornograficznej rewolucja internetowa akurat mocno… zaszkodziła, ale to mała pociecha. Teraz muszę się zastrzec – nie powinniśmy obwiniać nowego, wspaniałego, dającego ogromne możliwości medium, to ludzie tak je splugawili. Korzystając z wolności.

Mówiłem wcześniej, że przed pornografią i demoralizacją trzeba chronić dzieci. Ten postulat jest dziś bardzo trudny do zrealizowania. Zwłaszcza jeśli te dzieci mają już zdemoralizowanych rodziców. Na naszych oczach bariery są łamane jedna po drugiej, a ludzie szybko się do tego przyzwyczajają.

Twórcy chcą coraz bardziej szokować. Już nie tylko stosunki damsko-męskie, lecz także (a może przede wszystkim) homoseksualne, a nawet pedofilskie.

I na tym się pewnie nie skończy. To jest lewicowy „uciekający horyzont”. Pornografia powoli staje się starą, zgraną płytą, a twórcy szukają kolejnych „nieprzekraczalnych granic” do złamania.

Jaka może być następna granica? Może śmierć na żywo?

Pod koniec PRL komuniści podsunęli nam film dokumentalny „This is America” pewnie dlatego, żeby uświadomić nam zepsucie „zgniłego Zachodu”. Poza różnymi ekstrawagancjami, jak jedzenie dżdżownic, film zawiera autentyczne nagranie z egzekucji na krześle elektrycznym. Wiele lat później w polskim „Teleexspressie” po ostrzeżeniu pojawiło się krótkie nagranie, na którym podczas konferencji prasowej ktoś strzela sobie w usta, aż mu potylica podskakuje.

To były jednak egzekucja i samobójstwo – dokument i news. Śmierć na żywo możemy też oglądać codziennie w sieci, w której pełno jest nagrań z wojny na Ukrainie.

Krążą plotki, że to mafia nagrywa pornosy, sceny tortur i zabójstw – wszyscy o tym wiedzą, a nikt na własne oczy nie widział.

Owszem, niestety zdarza się, że na planie filmowym giną statyści, a nawet aktorzy grający pierwszoplanowe role, jak było w sławnym z tego powodu „Kruku” z Brandonem Lee, wielki zaś Werner Herzog znany jest z tego, że zdarzało mu się wręcz katować swoich aktorów, jednak nadal nie jest to zadawanie śmierci z premedytacją.

Zabicie kogoś przed kamerami, nawet za jego zgodą, nieważne pod jakim pretekstem, byłoby przekroczeniem absolutnie nieprzekraczalnej granicy. Przynajmniej dla mnie. I mam nadzieję, ze nigdy do tego nie dojdzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cezary Nowicki – absolwent reżyserii na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Był dyrektorem artystycznym telewizji Wisła. Obecnie wykłada w Krakowskiej Szkole Filmowej.

eprasa.pl c557d2be61

Upadek Świętego Oficjum

Paweł Chmielewski

Rolą papieża jest strzec wiary. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu biskupi Rzymu używali do realizacji tego zadania Świętego Oficjum, najważniejszego urzędu doktrynalnego Kościoła. Święty Paweł VI na fali soborowych reform przemianował go na Kongregację Nauki Wiary. Zwalczanie błędów zeszło na drugi plan. Franciszek poszedł jeszcze dalej: Kongregację zamienił w „Dykasterię", nakazał jej urzędnikom krzewić „różnorodność", a jej szefem mianował człowieka, który... ma poważne problemy z ortodoksją

FOT. ADOBE STOCK

Za pontyfikatu Franciszka Kongregacja Nauki Wiary miała „pod górkę" od samego początku. Jorge Mario Bergoglio jako jej szefa odziedziczył po Benedykcie XVI Niemca, Gerharda Müllera. W pierwszych miesiącach sprawowania władzy liczył jeszcze na dobrą współpracę; w lutym 2014 r. wręczył mu nawet biret kardynalski. Moment wyróżnienia stał się jednak równocześnie momentem zerwania. Właśnie w tym czasie Franciszek ujawnił się jako zwolennik rewolucyjnej teologii. Swoim nieformalnym doradcą doktrynalnym uczynił kard. Waltera Kaspera, wieloletniego krytyka Jana Pawła II i Józefa Ratzingera.

Otwarty konflikt wybuchł w 2016 r., kiedy papież opublikował adhortację apostolską „Amoris laetitia", znaną ze swojej dwuznaczności. Kardynał Müller jako watykański strażnik wiary był wielokrotnie pytany o znaczenie tego dokumentu. Odpowiadał zawsze: „Amoris laetitia" stoi w ciągłości ze wcześniejszą nauką, trzeba ją interpretować tak, jak chcieliby tego św. Jan Paweł II czy Benedykt XVI. Ta odpowiedź nie mogła zadowolić Franciszka, bo... oczekiwałby czegoś wprost przeciwnego. Dlatego gdy Müller kończył w 2017 r. swoją pięcioletnią kadencję i zwyczajowo powinien rozpocząć drugą, Franciszek... po prostu wyrzucił go z pracy.

ARGENTYŃSKI PREFEKT

Nowym prefektem Kongregacji uczynił hiszpańskiego jezuitę, Luisa Ladarię Ferrera. Wybór był kompromisem: Ladaria nie należał wprawdzie do ścisłej rewolucyjnej „drużyny Franciszka", ale brakowało mu też odwagi poprzednika. W 2021 r. pozwolił wykorzystać się w rozgrywce przeciwko konserwatywnym biskupom ze Stanów Zjednoczonych. Na zlecenie papieża sporządził list, który skutecznie zablokował opublikowanie przez Episkopat dokumentu krytycznego względem Joe Bidena (chodziło o aborcję).

Ponadto Ladaria potrafił wykonywać swoje obowiązki strażnika wiary, przynajmniej tam, gdzie miał wsparcie innych kurialistów, jak sekretarza stanu kard. Pietra Parolina czy prefekta Papieskiej Rady Jedności kard. Kurta Kocha. Z ich pomocą wielokrotnie podejmował działania wymierzone w niemiecką „drogę synodalną": krytykował propozycje dopuszczenia świeckich do głoszenia kazań, udzielania Komunii Świętej protestantom, oddawania władzy w ręce synodalnych kolektywów, błogosławienia par homoseksualnych... Tajemnicą poliszynela było, że Franciszek nie popierał wszystkich decyzji Ladarii. Nie chciał jednak konfliktować się za ostro z grupą umiarkowanych kardynałów kurialnych. Wystarczyło zresztą poczekać: kiedy w 2022 r. upłynęła kadencja Ladarii, miał już 78 lat, mógł więc przejść bez skandalu na emeryturę. Zrobił to kilka miesięcy temu, przy okazji zresztą dając wyraźnie znać, co myśli o Franciszku: choć papież osobiście zaprosił go do udziału w Synodzie o Synodalności, to Ladaria odparł, że nie ma do tego zdrowia. Najwyraźniej nie chciał grać roli konserwatywnego figuranta w wielkim rewolucyjnym procesie.

Franciszek był zdeterminowany, by następcą Hiszpana uczynić kogoś, kto będzie całym sercem oddany projektowi przebudowy Kościoła. Początkowo media pisały, że papież chce zaproponować stanowisko prefekta niemieckiemu biskupowi Heinerowi Wilmerowi z Hildesheim.

eprasa.pl c557d2be61

Nie wiadomo, jak bardzo zaawansowane były rozmowy o jego kandydaturze; ostatecznie jednak Franciszek się wycofał. Mówi się, że wpływ na to mogła mieć zdecydowanie negatywna ocena żyjącego jeszcze Benedykta XVI, który kategorycznie nie chciał, aby jego dawny urząd został powierzony rodakowi stojącemu na radykalnie przeciwnych pozycjach teologicznych. Sprzeciw niewiele dał; zaryzykuję nawet tezę, że Wilmer mimo wszystko służyłby Kościołowi lepiej niż ten, kto ostatecznie został prefektem.
1 lipca tego roku papież ogłosił, że zostanie nim Victor Manuel Fernández, jego dawny znajomy z Argentyny. Fernández został wkrótce nominowany kardynałem; otrzymał biret we wrześniu, krótko po faktycznym objęciu urzędu. Franciszek chciał w ten sposób podnieść autorytet nowego prefekta.

NOWY KIERUNEK

Argentyńczyk otrzymał do rąk władzę nad poważnie przekształconym urzędem. W czerwcu 2022 r. Kongregacja Nauki Wiary została przemianowana na „dykasterię", tak jak inne urzędy. Stanowiło to część głębokiej reformy całej Kurii Rzymskiej, którą papież wprowadził na mocy konstytucji apostolskiej „Praedicate evangelium". Pisałem o niej w „Do Rzeczy", sugerując, że najgłębsze znaczenie będą mieć zmiany dotyczące właśnie Kongregacji/Dykasterii Nauki Wiary. W „Praedicate…" Franciszek zepchnął ją w hierarchii urzędów watykańskich na dalsze miejsce, na czoło wyprowadzając Dykasterię ds. Ewangelizacji (przewodniczy jej osobiście). Co więcej, potwierdził ogłoszoną nieco wcześniej zmianę, która podzieliła dawne Święte Oficjum na dwie sekcje: doktrynalną oraz dyscyplinarną. Litera „Praedicate…" wskazywała w duchu św. Pawła VI, że prymarne zadanie Dykasterii Nauki Wiary ma być pozytywne, polegając na wspieraniu „nauki i refleksji" nad rozumieniem wiary i obyczajów oraz wzmacniając „rozwój teologii w różnych kulturach". Tropienie i karanie błędów znalazło się dopiero na dalszych miejscach.

Nominując Fernándeza, Franciszek jeszcze wzmocnił ten kierunek. Do nowego prefekta skierował list, który może uchodzić za swoistą magna carta przebudowanej dykasterii. Potępił tam – jak się wyraził – „niemoralne metody", które dykasteria miała stosować „w przeszłości", wzywając zarazem Fernándeza do tego, by swoje zadanie strzeżenia wiary pełnił przede wszystkim… „wzmacniając różnorodność" prądów w teologii i filozofii. Zobowiązał też swojego rodaka do troski, aby wszystkie dokumenty wydawane przez Kurię Rzymską nosiły na sobie piętno najnowszego nauczania Kościoła, to znaczy – jego własne. Co więcej, Franciszek wyraźnie stwierdził, że Fernández, będąc wprawdzie prefektem całej dykasterii, ma aktywnie zajmować się wyłącznie sekcją doktrynalną, codzienny bieg spraw w sekcji dyscyplinarnej pozostawiając innym (w Argentynie Fernández był oskarżany o tuszowanie przypadku pedofilii klerykalnej).

Nowy prefekt przystąpił z gorliwością do zadania. Pierwszym jego głośnym krokiem była publikacja odpowiedzi, których udzielił czeskiemu kardynałowi Dominikowi Duce. Duka chciał wiedzieć, jak to tak naprawdę jest z „Amoris laetitia": czy Franciszek próbował w niej powiedzieć, że można udzielać Komunii Świętej rozwodnikom, czy też wcale nie miał tego na myśli. Fernández odpowiedział Duce tak, jak nigdy nie zrobiliby tego Müller czy Ladaria, to znaczy – zgodnie z intencjami Jorge Maria Bergoglia. W kilku punktach wyjaśnił, że Franciszek rzeczywiście chciał zmienić dotychczasową dyscyplinę sakramentalną. Co więcej, prefekt uzasadnił tę zmianę, sięgając wprost po niesławną niemiecką koncepcję „autonomii sumienia": stwierdził, że spowiednik powinien wprawdzie przedstawiać penitentowi naukę Kościoła, ale ostatecznie… ma po prostu zaakceptować jego decyzję.

Zaledwie kilka tygodni później Fernández został zapytany przez jednego z amerykańskich dziennikarzy o to, czy wolno błogosławić związki homoseksualne. Odparł twierdząco. „Błogosławieństwo jest znakiem pracy duszpasterskiej, dla każdej osoby, w każdej sytuacji" – stwierdził. „Żeby udzielić błogosławieństwa, nie musimy mieć żadnej wiedzy o ludziach, o ich chrześcijańskim życiu, moralności i innych sprawach" – dodał. Internauci w mediach społecznościowych pytali retorycznie, czy to oznacza, że Fernández zaleca również błogosławienie seryjnego mordercy planującego kolejną zbrodnię albo złodzieja, który chce dokonać nowego skoku. Skoro moralność człowieka proszącego o błogosławieństwo jest bez znaczenia, to logicznie należałoby odpowiedzieć, że tak... Prefekt nie działa oczywiście samowolnie; wcześniej bardzo podobnej odpowiedzi na analogiczne pytanie o związki jednopłciowe, zadane mu przez grupę kardynałów, udzielił sam Franciszek. Jest zresztą prawdopodobne, że odpowiedź papieża napisał właśnie Fernández; od wielu lat uchodzi za ghostwritera wielu ważnych wystąpień Jorge Maria Bergoglia.

REHABILITOWAĆ ANTYPAPIEŻA

Za dość tragikomiczne zwieńczenie pierwszych tygodni urzędowania Argentyńczyka można chyba uznać pomysł… rehabilitowania średniowiecznego antypapieża, urodzonego w Aragonii Pedra de Luny, który został wybrany w 1384 r. przez kardynałów zebranych w Awinionie i przyjął imię Benedykta XIII. Hiszpańskojęzyczne media podały niedawno, że Fernández poprosił aragońskich prawników, historyków oraz kilka instytucji o przesłanie mu jak najszerszej dokumentacji dotyczącej działalności antypapieża, właśnie po to, by przywrócić mu dobre imię… Abstrahując od specjalistycznych dyskusji historyków, można się zastanawiać, czy prefekt Dykasterii Nauki Wiary naprawdę nie ma nic lepszego do roboty, dzisiaj, w dobie rozpowszechnienia tak wielu herezji. Cóż, jeżeli ma budować różnorodność…

W jednym z pierwszych wywiadów, których udzielił po nominacji na prefekta, Fernández wspomniał, że jeszcze przed Soborem Watykańskim II zdarzyło się, iż pewien teolog nielubiący Świętego Oficjum oddał mocz na drzwi tego urzędu (zrobił to dwukrotnie dominikanin Yves Congar). Argentyńczyk nie mówił o tym z oburzeniem, wprost przeciwnie – zdawał się raczej sympatyzować z wandalem. W końcu nowy prefekt sam był w przeszłości krytykowany przez Kongregację Nauki Wiary, która podejrzewała go o niekatolickie poglądy na temat homoseksualizmu. Przytoczenie przez Fernándeza takiej anegdoty może chyba dobrze ilustrować sytuację, w której znajduje się dziś dawne Święte Oficjum – szanowany i otaczany bojaźnią urząd został sprowadzony do roli ekscentrycznej komórki do spraw implementacji woli papieża, przywódcy stojącego na czele synodalnej rewolucji Kościoła…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl c557d2be61

Bezprecedensowy nokaut

Grzegorz Majchrzak

Debata, w której Lech Wałęsa starł się z Alfredem Miodowiczem, okazała się wielkim zwycięstwem zarówno działającej nielegalnie, ale półjawnie Solidarności, jak i osobiście samego Wałęsy. Zorganizowanie tej telewizyjnej debaty było dużym błędem PRL-owskich władz

Szef Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych Alfred Miodowicz oraz przewodniczący zdelegalizowanego pod koniec 1982 r. NSZZ „Solidarność" Lech Wałęsa FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/PAP

30 listopada 1988 r. doszło do niezwykłego wydarzenia. Przed telewizyjnymi kamerami stanęli szef Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych Alfred Miodowicz oraz przewodniczący zdelegalizowanej pod koniec 1982 r. NSZZ „Solidarność" Lech Wałęsa, określany przez PRL-owskie władze mianem „osoby prywatnej". Była ona transmitowana na żywo przez ówczesnego monopolistę Telewizję Polską, a przed ekranami telewizorów zasiadło blisko 20 mln osób, czyli zdecydowana większość dorosłych Polaków.

Okazała się ona starciem nierównym – trybuna ludowego ze związkowym aparatczykiem. Nic zatem dziwnego, że zakończyła się zdecydowanym zwycięstwem Wałęsy. O jego skali najlepiej świadczy informacja, którą przekazał członkom Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban. Otóż wynikało z niej, że w sondażu przeprowadzonym przez Centrum Badania Opinii Społecznej 64 proc. respondentów stwierdziło, że zwycięzcą debaty był lider Solidarności, a zaledwie 1 proc. uznało, iż triumfował szef OPZZ.

Nie to było jednak – z punktu widzenia władz PRL – najgorsze, gdyż – jak wynikało z tego samego badania opinii – za ponowną legalizacją NSZZ „Solidarność" opowiedziało się 73 proc. badanych, podczas gdy jedynie 3 proc. było jej przeciwne (dla porównania: do PZPR należało w tym czasie niespełna 6 proc. obywateli PRL).

LECH ZASKAKUJE

Debata była oczywiście szeroko komentowana – zarówno w kraju, jak i za granicą. Na jej temat w PRL wypowiadali się niemal wszyscy – nie tylko przywódcy partii i jej działacze, liderzy opozycji i szeregowi opozycjoniści, lecz także robotnicy, chłopi czy duchowni. Osoby kierujące PZPR czy – szerzej – państwem nie ukrywały – oczywiście we własnym gronie – niezadowolenia, rozczarowania. I tak np. premier Mieczysław Rakowski w swoich dziennikach zapisał „na gorąco": „Dziś wieczorem u [Janusza] Wałaszewskiego [lekarza chirurgii z Akademii Medycznej w Warszawie – przyp. G.M.]. Oglądaliśmy spotkanie […]. W miarę upływu czasu można było dostrzec miażdżącą przewagę Wałęsy. Był opanowany, składnie mówił, używał chwytliwych, przekonujących argumentów. Miodowicz mógł na wiele z nich odpowiedzieć, ale nie uczynił tego. Cały czas był w defensywie i w zasadzie wracał do jednej myśli – w jednym zakładzie pracy musi być jeden związek zawodowy". Jak przewidywał – jak najbardziej zresztą słusznie – Rakowski: „Nie ulega wątpliwości, że po tej debacie Wałęsa bardzo się umocni. Właściwie trudno będzie przekonać kogokolwiek, dlaczego nie godzimy się na uznanie S[olidarności]".

Nawet z Rakowieckiej, skąd zazwyczaj płynęły informacje zdecydowanie bardziej przyjemne dla ucha rządzących, tym razem raportowano zdecydowanie bardziej pesymistycznie. Powołując się na „opinie środowiska dziennikarskiego Polskiego Radia, Telewizji i prasy centralnej", stwierdzano bowiem, że to „Lech Wałęsa wygrał tę rundę".

Jak przy tym dodawano, miało się na to złożyć kilka czynników. Przede wszystkim zaskoczył on swoim dobrym przygotowaniem do debaty oraz „aktywnością, pewnością siebie i niespodziewaną kul-

eprasa.pl c557d2be61

turą języka". Jego „opanowanie i zdolność operowania silnymi argumentami", a także „wieloma nośnymi hasłami, bardzo przekonywującymi dla świata pracy" spowodowały z kolei, że szef Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych znalazł się na „pozycjach defensywnych". To nie wszystko – związkowy aparatczyk nie był również w stanie podjąć „polemiki z wieloma narzuconymi w trakcie dyskusji tezami", a ponadto „nie wyszedł w swej argumentacji poza tematykę związkową, a jego opinie w sprawie pluralizmu nie trafiały do przekonania". Nie potrafił on też „dowieść swych racji, jako przewodniczący OPZZ", tym bardziej że raził „schematyzmem sformułowań".

LAWINA KRYTYKI

Nic zatem dziwnego, że Alfred Miodowicz został poddany zdecydowanej krytyce. Jak informowało MSW: „Niektórzy pracownicy łódzkich zakładów pracy […] zastanawiali się, czy […] reprezentuje ludzi pracy czy też skostniale i skompromitowane struktury PZPR". Tak na marginesie: za przebieg i wyniki debaty krytykowano w kręgach partyjnych – jak się można domyślać – nie tylko przewodniczącego Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, lecz także wręcz całe Biuro Polityczne Komitetu Centralnego PZPR. I tak np. osoby ze środowiska nauczycieli akademickich Uniwersytetu Łódzkiego miały wyrażać nie tylko opinię, że „koszty politycznej porażki A. Miodowicza poniesie rząd Mieczysława F. Rakowskiego oraz KC PZPR", lecz także iż jego telewizyjne wystąpienie „dowiodło, że gremia kierownicze w partii i rządzie nie posiadają koncepcji rozwiązania problemów bieżących ani wizji strategicznego rozwoju państwa". Mało tego, stwierdzali oni, że „wszyscy, którzy reprezentują skompromitowaną partię, nie mogą liczyć na poparcie społeczne i z góry stoją na straconej pozycji".

To nie był zresztą odosobniony głos. Działacze PZPR z województwa szczecińskiego, wśród których panowało „rozgoryczenie wynikające z faktu, iż partia jest w odwrocie", mieli wręcz po obejrzeniu debaty podważać „zasadność wprowadzenia stanu wojennego, który obecnie stał się barierą przeciw konstruktywnemu porozumieniu sił, którym leży na sercu dobro ojczyzny". To zresztą nie wszystko. Zarzucali oni „władzy" również „niewłaściwe podejście do »okrągłego stołu«" oraz zamiar uwikłania „Wałęsy i jego związku w bezprzedmiotowe polemiki", czego efektem stał się „niekontrolowany rozwój wydarzeń, nad którym nie może ona zapanować".

Zupełnie inaczej – również w gronie działaczy partyjnych – oceniano natomiast przewodniczącego Solidarności, stwierdzając, że wypadł on zdecydowanie lepiej od przewodniczącego OPZZ. Nawet na Rakowieckiej stwierdzano z zadziwiającą jak na MSW szczerością: „W zestawieniu z dominującym dotychczas w propagandzie uproszczonym schematem osobowości L. Wałęsy wielu dyskutujących, w tym także członków partii, stwierdza z zaskoczeniem, że zaprezentował się on, jako znacznie dojrzalszy niż w 1981 roku polityk, posługujący się chwytliwą dla przeciętnego odbiorcy argumentacją swojej wizji reform". Rzekomo miał zresztą „przedstawić nastawienie konstruktywne, zręcznie plasując swoje hasła w nurcie radzieckiej pierestrojki oraz procesie reform na Węgrzech".

EUFORIA I KRYTYKA

W tym momencie warto na chwilę oderwać się od reakcji i przypomnieć, że obu uczestników debaty starano się do niej przygotować. W uprzywilejowanej sytuacji był oczywiście Miodowicz, który nie tylko mógł korzystać ze wsparcia doradców z KC PZPR, którzy w tym celu codziennie dojeżdżali do siedziby OPZZ, lecz także z informacji zdobywanych przez Służbę Bezpieczeństwa. Nie pomogło mu nawet szkolenie przez „ministra propagandy PRL" Jerzego Urbana. Inna sprawa, że nie mógł – zapewne z powodu decyzji politycznych – skorzystać ze wszystkich rad, zwłaszcza Stanisława Cioska (notabene w latach 1980–1985 ministra – członka Rady Ministrów do spraw współpracy ze związkami zawodowymi), który miał mu wręcz „godzinami tłumaczyć", jakimi argumentami można „zgnoić Wałęsę, jakie są jego mocne, a jakie słabe strony, do czego wolno dopuścić, a do czego nie".

Oczywiście odbiór debaty wśród działaczy opozycji, a przynajmniej zdecydowanej większość z nich, był zupełnie inny. Tym bardziej że – co warto podkreślić – część z nich się jej obawiała. I tak np. – jak informowała SB – lider Solidarności Walczącej w Rzeszowie Antoni Kopaczewski miał twierdzić, że Lech Wałęsa „nie ma szans, by wyjść zwycięsko z tej dyskusji, a jedynie się ośmieszy". Te obawy okazały się jednak na wyrost. I – jak to barwnie opisywał „Tygodnik Mazowsze" – „Wracającego z telewizji Wałęsę witały pod gmachem Episkopatu okrzyki »Dziękujemy«. Mieszkańcy domowisk w osiedlu Za Żelazną Bramą na korytarzach składali sobie gratulacje […]. Z wielu miejsc napływają informacje o masowym wstępowaniu do »S[olidarności]«". Jak z kolei relacjonował ks. Henryk Jankowski: „Z chwilą zakończenia [debaty – przyp. G.M.] były pierwsze telefony: Szczecin, Chorzów, Wrocław, Przemyśl, następne już centralna Polska i tak waliło już do godziny wpół do czwartej nad ranem […]. Oprócz tego pierwsze telegramy. Ogromny aplauz, aprobata".

Zawsze czujna Służba Bezpieczeństwa, informując o nastrojach w kręgach opozycyjnych, stwierdzała: „W środowisku tym zapanował nastrój entuzjazmu i euforii". Dlaczego? Trafnej odpowiedzi na to pytanie udzielał w „Tygodniku Mazowsze" Piotr Pacewicz, piszący pod pseudonimem Feliks Felicki: „Zobaczyliśmy, a wraz z nami całe społeczeństwo, że mamy rację. Takie przypomnienie jest potrzebne ruchowi społecznemu". Inny, nie mniej ważny aspekt podkreślał rzecznik prasowy Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność" Janusz Onyszkiewicz, który stwierdzał: „Przede wszystkim uzyskaliśmy dostęp jakby do tych ludzi, do których do tej pory dostępu nie mieliśmy, którzy wypadli z orbity oddziaływania »Solidarności«, którzy już nie słuchają radia zachodniego, którzy nie czytają podziemnej prasy", a także „są wystawieni codziennie od lat kilku na ataki propagandy przedstawiające Wałęsę jako człowieka w gruncie rzeczy prymitywnego, jako jakąś marionetkę, jako człowieka niepoważnego". I dodawał: „Ci ludzie dostali w tej chwili ogromną porcję informacji o tym, kim Wałęsa jest, jakie on ma argumenty, za czym się opowiada i jakiego typu to człowiek. Już te sygnały, które do nas docierają w tej chwili, każą nam spodziewać się, że to osiągnęło bardzo wiele w kierunku odzyskania zaufania tych ludzi, pozyskiwania ich na rzecz pozytywnych działań, odzyskania zaufania przez nich do »Solidarności«".

eprasa.pl c557d2be61

Z kolei doradca KKW Bronisław Geremek zwracał uwagę na jeszcze inny, zewnętrzny kontekst. W wywiadzie dla „Przeglądu Wiadomości Agencyjnych" stwierdzał on m.in.: „Najważniejsze, że szerokiej opinii publicznej na Zachodzie zostały przekazane argumenty L. Wałęsy, wskazujące, iż wprowadzenie pluralizmu w Polsce nie grozi Europie destabilizacją, a wręcz odwrotnie – może być czynnikiem stabilizującym, bowiem człowiek, mówiący w imieniu polskiego społeczeństwa, proponuje rozwiązania kompromisowe". I dodawał: „Poza tym stało się jasne, że propozycje »Solidarności« nie noszą charakteru antyradzieckiego i nie mierzą w politykę Michaiła Gorbaczowa. Ze słów Wałęsy płynęło przesłanie, że bierność i stagnacja, charakterystyczna dla ekipy rządzącej, jest sprzeczna z dynamiką polityki Gorbaczowa, że Polska traci swoją szansę".

Oczywiście taka postawa nie mogła się podobać i się nie podobała wszystkim opozycjonistom. Najostrzej chyba Lecha Wałęsę skrytykował współzałożyciel Grupy Roboczej Komisji Krajowej, która domagała się zwołania KK w składzie z 1981 r., Andrzej Gwiazda. Zarzucał on Wałęsie w wywiadzie dla „Głosu Ameryki", że jego „poważne deklaracje polityczne i programowe" są „deklaracjami głębokiego kroku wstecz", a także iż ten „zadeklarował kilka ważnych spraw, ale też kilku ważnych nie poruszył". W innym wywiadzie – jeśli przynajmniej wierzyć MSW – Gwiazda miał wręcz ironizować: „Jeśli spotkanie oceniać na gruncie konkursu na konferansjera, komiwojażera czy sprzedawcę, to Wałęsa wypadł lepiej". Miał mu ponadto zarzucać, że nie wykorzystał on okazji, aby „rozwałkować" Alfreda Miodowicza.

Zdecydowanie mniej surowy, choć również krytyczny był lider Solidarności Walczącej Kornel Morawiecki. Z jednej strony stwierdzał on: „Na tym szarym tle otuchą zabłysło telewizyjne wystąpienie przewodniczącego 7 lat kneblowanej »S[olidarności]«. Nie żaden pojedynek z szefem partyjnych związków, lecz spotkanie z narodem. Próżno spekulować, na co liczyli partyjni towarzysze, chyba jednak się przeliczyli. Było to dobre spotkanie. Podbudowało ludzi i autorytet Lecha. Jego argumenty trafiły również do funkcjonariuszy władzy". Nie ukrywał jednak pewnego niedosytu: „Ale my radzi byśmy usłyszeć więcej i dobitniej. Szkoda, że Wałęsa nie podjął zaczepki ukrytej w cytowanym przez adwersarza haśle: »Precz z komuną«. Przecież o to w końcu chodzi!". I dodawał: „Należało też wspomnieć o prześladowaniach spadających przez lata, po 13 grudnia, na tych, którzy w przeciwieństwie do pana Miodowicza pozostali wierni »S[olidarności]«. A zamiast dawać wyjątkową, zważywszy na osobę mówiącego, reklamę »pierestrojce«, warto było publicznie poprosić o wycofanie wojsk sowieckich z Polski".

GŁOSY Z ZACHODU

O czym była już mowa, telewizyjna debata Lecha Wałęsy z Alfredem Miodowiczem była również przedmiotem komentarzy zachodnich mediów, władz niektórych państw kapitalistycznych oraz polityków, którzy zgodnie uznali ją za wydarzenie bezprecedensowe. W ich ocenie wymagała ona osobistej odwagi obu jej uczestników, a jej efektem było dowiedzenie, że „Wałęsa nie jest osobą prywatną, lecz przywódcą liczącej się siły społecznej na polskiej scenie politycznej", a także iż „po raz kolejny […] okazał się partnerem, którego w żadnym wypadku nie można lekceważyć". Jak informowało MSW, stwierdzali oni, że „korzystniej zaprezentował się" Lech Wałęsa, który był „bardziej autentyczny oraz okazał się niezłym mówcą, potrafiącym chwytliwie i dosadnie argumentować swój punkt widzenia".

To nie koniec tej wręcz laurki na rzecz przewodniczącego Solidarności, gdyż – jak dodawano – „umiejętnie i szybko zdołał przenieść dyskusję z przyziemnych problemów socjalnych na sprawy wielkiej polityki, pieriestrojki, stalinizmu oraz stojących przed Polską wyzwań cywilizacyjnych, tworząc tym samym sylwetkę dalekowzrocznego i dynamicznego polityka dużego formatu, który w pełni ogarnia problemy nurtujące różne orientacje polskiego społeczeństwa".

Oczywiście komentatorzy zachodni dostrzegali również, że w wypowiedziach przewodniczącego Solidarności było „wiele demagogii i uproszczonych ocen", które jednak „z powodu braku skutecznej repliki ze strony" Miodowicza i „ograniczonego czasu debaty" udało się Wałęsie „zręcznie zawoalować, bez szkody dla wydźwięku całego wywodu". Co ciekawe, obserwatorzy zachodni mieli oceniać mniej surowo niż krajowi Alfreda Miodowicza, stwierdzając m.in., że „występował on raczej z pozycji członka władz niż konkurującego [z Lechem Wałęsą – przyp. G.M.] działacza związkowego". I choć wypadł on w debacie „mniej ciekawie i przekonywująco", to doceniano, iż „pomimo świadomości przegranej do końca zachował godną postawę".

Prasa zachodnia pisała o debacie – co nie powinno zresztą dziwić – na pierwszych stronach. Komentarze były jednoznaczne. Najlepiej oddaje je chyba tytuł artykułu Stefana Dietricha z zachodnioniemieckiego „Frankfurter Allgemeine Zeitung" – „Szafot w studiu nr 4 polskiej telewizji". Stwierdzał on m.in.: „Na tym szafocie odbyła się publiczna egzekucja członka Biura Politycznego i szefa OPZZ". I dodawał, że „Wałęsa wezwał rząd do pozbycia się strachu przed narodem". Z kolei Karl Gustaw Stroem w „Die Welt" zwracał uwagę na surrealizm debaty. Po pierwsze, dyskutowali ze sobą przewodniczący legalnie działającego związku z szefem związku nielegalnego. Po drugie – co zresztą ważniejsze – ten pierwszy próbował wytłumaczyć temu drugiemu, że jest on słusznie nielegalny…

Bardziej wstrzemięźliwi byli oczywiście czołowi politycy oraz władze państw zachodnich. I tak np. Departament Stanu USA wydał oświadczenie, w którym stwierdzał, że debata była „ważnym elementem" i świadczy „o konieczności kontynuowania dialogu władz z opozycją". Z kolei minister spraw zagranicznych Republiki Federalnej Niemiec Hans-Dietrich Genscher określił ją mianem „sygnału napawającego otuchą", stanowiącego „ważną przesłankę" do kontynuowania „przygotowań do właściwego dialogu", którym miał być Okrągły Stół. I nie mylił się.

Podsumowując, nie ulega wątpliwości, że debata okazała się wielkim zwycięstwem zarówno działającej nielegalnie, ale półjawnie Solidarności, jak i osobiście przede wszystkim samego Lecha Wałęsy. Jej zorganizowanie było zaś dużym błędem PRL-owskich władz, zwłaszcza jej pomysłodawcy Alfreda Miodowicza, którego upór do niej doprowadził. Była też oczywiście porażką kierowanego przez niego związku – Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, którego monopol dobiegał końca. Można zatem powiedzieć, że okazała się wręcz brzemienna w skutki.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl c557d2be61

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Ideowiec

Coraz częściej mamy do czynienia z krytyką dowództwa powstania warszawskiego, kadry dowódczej, a nawet samego powstania, co w rozumieniu płytkich umysłów jest deprecjonowaniem poświęcenia jego uczestników. Na ogół najbardziej zawziętymi krytykami są ci, którzy prawie nic nie wiedzą, których wiedza jest płytka i bardzo powierzchowna. W dobie powszechnego dostępu do Internetu rację chcą mieć przede wszystkim ci, którzy najgłośniej krzyczą, wprost wywrzaskują swoje „racje".

Warto zatem przypomnieć, że kadra powstańcza była bardzo zróżnicowana i było wielu ideowych, solidnie wykształconych oficerów, którzy widzieli, rozumieli więcej niż ci, którzy w medialnym sporze odnieśli zwycięstwo, usiłując przekuć totalną klęskę w… wielkie zwycięstwo!

Jednym z najbardziej zasłużonych był mjr dypl./ppłk Jan Kamieński „Cozas", „Frant", „Klimaszewski", „Konar", „Litwin". W kwietniu 1944 r. został zrzucony do kraju jako cichociemny i otrzymał przydział do III oddziału KG AK (operacyjnego). Przed wybuchem powstania usiłował przekonać decydentów, że należy się starannie przygotować, nie może to być wybuch na łapu-capu. Postulował przede wszystkim, aby wcześniej zostały wydane jednoznaczne rozkazy, jak mają się zachować wobec Sowietów Okręgi AK w razie upadku powstania. Proponował, aby kadrę dowódczą i powstańczą podzielić na grupy – jedna z nich powinna wyjść z miasta z ludnością cywilną i kierować dalszą walką z Niemcami, a następnie z Sowietami. Powinni oni wcześniej otrzymać kontakty do struktur terenowych AK, w których tak drastycznie brakowało oficerów. Uważał, że jak największe zapasy broni, amunicji i sprzętu radiowego powinny być zamelinowane. Podsumował swe propozycje następująco: „Marsz wszystkich oficerów do niewoli uważam za zgubny dla interesów Polski. Niewola dla żołnierzy konspiracji powinna być ostatecznością…". Nie został posłuchany.

Po powstaniu został ostatnim szefem III Oddziału (operacyjnego) KG AK, a po rozwiązaniu jej struktur działał nadal w organizacji NIE i Delegaturze Sił Zbrojnych. Widząc szybki rozpad struktur poakowskich, przeszedł do Narodowych Sił Zbrojnych. W sierpniu 1945 r. jednak opuścił Polskę i dotarł do 2. Korpusu gen. Andersa, następnie do Sztabu Naczelnego Wodza. W 1946 r. odbył jeszcze kilkumiesięczną tajną misję do kraju, ale zagrożony aresztowaniem przez UB zdołał wrócić do Londynu.

W latach 1946–1955 był dysponentem części pokaźnych funduszy, którymi zarządzał gen. Anders, finansując część emigracyjnych struktur „polskiego Londynu". Zmarł w 1987 r. w USA. W kraju jest raczej zapomniany. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zygmunt jeszcze niestary

Śmierć władcy z reguły bywa poważnym problemem politycznym, a w przypadku monarchii elekcyjnej może wywołać długotrwały kryzys. Na szczęście w epoce Jagiellonów polski tron przekazywano w obrębie jednego rodu, dzięki czemu nasz kraj łączył w sobie najlepsze cechy monarchii elekcyjnej i dziedzicznej.

Po śmierci Aleksandra jedynym pretendentem do polskiej korony był piąty syn Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunt. Dotychczas nikt z pełną powagą nie traktował możliwości objęcia przez niego władzy na Wawelu, jednak seria przedwczesnych zgonów jego braci spowodowała, że w wieku blisko 40 lat stał się najważniejszym kandydatem.

Wprawdzie nikt wcześniej nie przewidywał, by kiedykolwiek objął polski tron, ale Jagiellonowie mieli mocarstwowe ambicje i nigdy nie było wiadomo, kiedy przed młodszymi synami Kazimierza Jagiellończyka pojawią się perspektywy na koronę jakiegoś europejskiego kraju. Zygmunt miał jednak ewidentnego pecha, nie został hospodarem Mołdawii, fiaskiem zakończyła się także próba przekazania mu władzy na Mazowszu po śmierci tamtejszych Piastów – Janusza II i Konrada III Rudego. Młody Jagiellon nie dostał też namiestnictwa Prus Królewskich, o które zabiegał.

W sukurs przyszedł najstarszy z synów Kazimierza Jagiellończyka, Władysław, król Czech i Węgier. Przekazał mu w lenno księstwo głogowskie na Śląsku, co okazało się znakomitym rozwiązaniem. Zygmunt sprawdził się bowiem jako zarządca i niebawem otrzymał jeszcze księstwo opawskie, a później nominację na namiestnika całego Śląska i Łużyc.

Na podległych mu terenach przeprowadził reformy monetarną i sądowniczą, ukrócił też rozbój na drogach, co było ogromnym problemem na Śląsku. Informacje o sukcesach królewicza docierały do Krakowa, wzbudzając powszechną sympatię. Wobec bezdzietności Aleksandra widziano w nim następcę tronu, tym bardziej że starszy brat coraz bardziej zapadał na zdrowiu. Zresztą sam władca rozstrzygnął sprawę w ostatnich dniach życia, gdy wezwał młodszego brata do Wilna. Chociaż nie doczekał jego przyjazdu, to zgodnie z wolą konającego króla możnowładcy litewscy okrzyknęli Zygmunta wielkim księciem. A jak wiadomo – najkrótsza droga na Wawel prowadziła przez Wilno.

Zygmunt objął władzę na Litwie, po czym wyruszył do Piotrkowa. Zgromadzeni tam senatorowie robili dobrą minę do złej gry i udawali, że nic się nie stało. 8 grudnia 1506 r. dokonano formalnej polsko-litewskiej elekcji, dzięki czemu zachowano pozory i niespełna dwa miesiące później nowy władca został uroczyście koronowany w Krakowie. ©℗

eprasa.pl c557d2be61

Baletki i „miniówka” Wojciecha Manna

Piotr Gontarczyk

Wojciech Mann twierdził, że Polską rządzi „ferajna z PiS”, która finansuje putinowskich „morderców i bandytów”. Jarosława Kaczyńskiego obrażał jako rzekomo ukrywającego prawdziwą seksualność i sugerował założenie spódniczki mini. Odkrywanie cudzych tajemnic może wprawiać w podniecenie. Ale nie ładniej zacząć od siebie?

Wojciech Mann odszedł z Trójki na początku 2020 r. Powołując się na medialny lament podniesiony w Internecie przez jego współpracownicę Annę Gacek, zaprotestował przeciw rzekomemu zwolnieniu jej z pracy. Potraktował to jako prowokację mającą zmusić go do odejścia. Wszystko to okazało się nieprawdą: Gacek nie zwolniono, bo nie była pracownicą radia, no i zaproponowano jej inne obowiązki dopóty, dopóki z radiowym logopedą nie poprawi złej dykcji. Sugestie o chęci zwolnienia Manna też były nieprawdziwe, bo tuż przed awanturą dostał zwyczajowy kontrakt na kolejny rok. Jednak rzucił papierami i rozpętał medialną awanturę. Był chyba przekonany, że doczeka błagań o powrót. Trójkowe wróbelki ćwierkają, że próbował potem wrócić, ale po tym, co zrobił własnej stacji, było za późno.

Ostre polityczne wypowiedzi Manna zaczęły się później, od afery z listą przebojów Trójki z wiosny 2022 r. Kierownictwo programu III podało, że wyniki listy zmanipulowano i w rzeczywistości nie wygrała jej postawiona na szczycie piosenka Kazika „Twój ból jest lepszy niż mój”. Pojawiły się głosy, że to mógł być fragment powszechnego zjawiska promowania przez różne stacje i dziennikarzy konkretnych utworów muzycznych w zamian za „gifty” wręczane pod stołem, ale tu większość stawiała na polityczne poglądy. Bo piosenka ta uderza

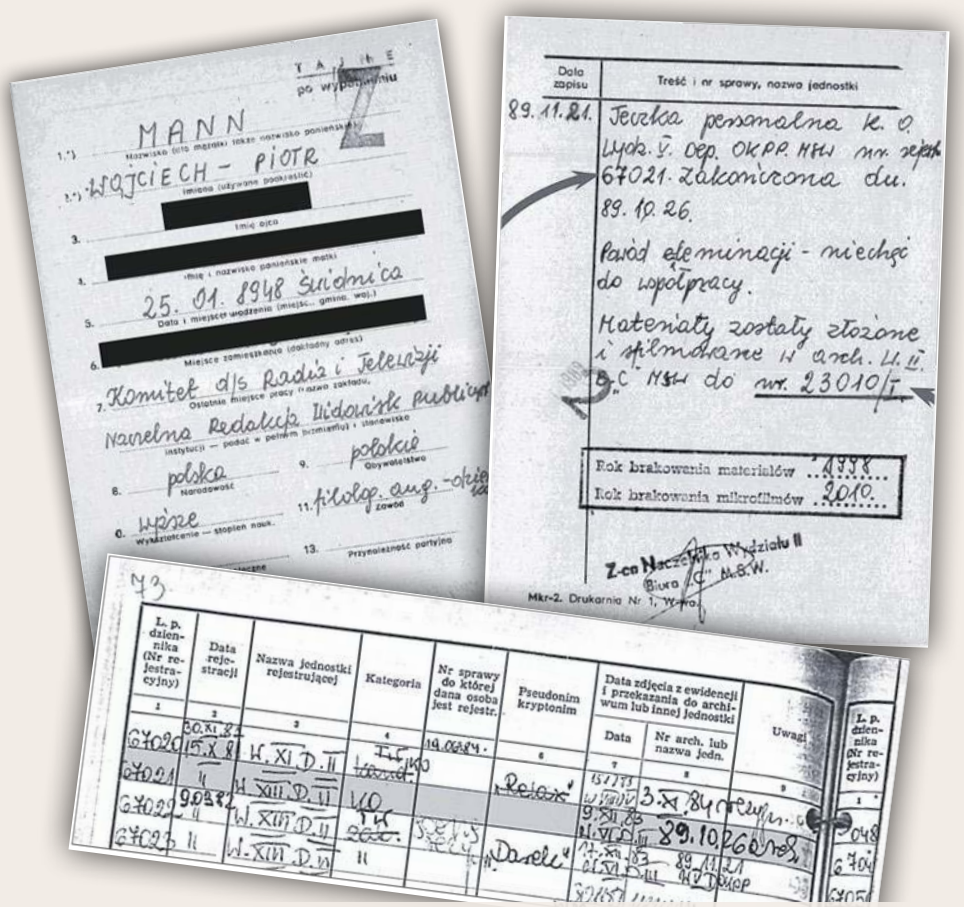

Zapis rejestracji Wojciecha Manna jako „Kontaktu Operacyjnego” w 1981 r. i widoczna „rezygnacja” ze sprawy po wyborach w 1989 r. Na dokumentach widoczny jest też numer, pod którym zarchiwizowano i zmikrofilmowano dokumenty dotyczące znanego redaktora FOT. IPN

eprasa.pl c557d2be61

w Jarosława Kaczyńskiego. Wyniki „listy" unieważniono.

Niedźwiecki oraz jego współpracownik Bartosz Gil tłumaczyli, że zmieniali kolejność na liście, odliczając głosy fałszywe, generowane z fikcyjnych adresów. Oburzony zarzutem nieuczciwości człowiek legenda odszedł ze stacji i zapowiedział pozew. W tym momencie w mediach gruchnęła informacja, że Niedźwiedzki był w PRL agentem SB, pod pseudonimem Bera, co tylko podgrzało publiczną debatę.

Wtedy po raz pierwszy ostro w obronie kolegi wystąpił Mann, twierdząc, że Niedźwieckiemu wyrządzono „maksymalne świństwo". Twierdził, że to prawicowe czystki uczciwych dziennikarzy: „Teraz pojawi się nowa, przyjemna Trójka, która nie będzie już przeszkadzać władzy". Na pytanie prowadzącego wywiad o informacje kierownictwa PR, o tabelę ilustrującą systematyczne „poprawianie" listy, mającego prawdopodobnie także na myśli sprawę kontaktów z SB, Mann odpowiedział: „Niech mi pan da spory kawałek papieru i mazaki, to ja panu w pół godziny zrobię wykres i udowodnię, że pan jest szpiegiem mongolskim, a Kazik nie nagrał tej piosenki".

KTO NISZCZYŁ TRÓJKĘ?

Sprawa zaczęła żyć własnym życiem, bo zainteresowani oraz wspierające ich media przekręcili sprawę z „afery z fałszowaniem wyników listy" na „aferę z ocenzurowaniem piosenki Kazika". Tak poznał ją świat wobec braku możliwości przebicia i przemilczania stanowiska Polskiego Radia.

Z Trójki odeszła część znanych postaci, kilku znanych artystów zerwało współpracę ze stacją, ogłaszając bojkot. Pojawiły się protesty przeciwko „cenzurze" i „demolowaniu kultury". Ogłosiło je wielu kompletnie nieznających sprawy artystów. Wybitny kompozytor Zbigniew Preisner napisał: „Nasza Trójka już nie istnieje [...]. Nie możemy się dać zniewolić tej bolszewickiej polityce, musimy bronić naszej wolności".

Ważne role w tej kampanii odegrali i Mann, i Niedźwiecki. Pompowały ich media głównego nurtu, rechocząc, że udaje im się „załatwiać" wiarygodność Polskiego Radia za pomocą występów obydwu kiedyś czołowych dziennikarzy stacji. Mann nie ukrywał nawet, że chodzi o wywołanie publicznych emocji przeciwko kierownictwu Polskiego Radia. Prawdopodobnie obaj liczyli, że za pomocą całej awantury doprowadzą do odwołania dyrekcji Trójki, a być może nawet do obalenia kierownictwa Polskiego Radia, z Agnieszką Kamińską na czele.

Nie udało się. Potem zaczęło się rozpatrywanie pozwu sądowego Marka Niedźwieckiego, który żądał przeprosin i sporych sum jako nawiązki. W odpowiedzi Polskie Radio przekazało sądowi kolekcję jego e-maili dotyczących sporządzania „listy". Tak się bowiem złożyło, że do machinacji Niedźwiecki używał służbowej skrzynki pocztowej (jaka niefrasobliwość: nie było prywatnej? Przecież wtedy nikt nie złapałby za rękę...). Żadne usuwanie „fałszywych" głosów czy troska o wiarygodność listy – arbitralne polecenia, co wsadzić, co wyrzucić i kto ma być na którym miejscu. Niedźwiedzki nie przegrał procesu, bo chyba nikomu w Polskim Radiu na tym

REKLAMA

Widzisz przemoc? Nie bądź obojętny i reaguj! Twój telefon może uratować czyjeś życie!

Obojętność to jeden z największych problemów XXI wieku. Tempo życia, własne problemy, skupianie uwagi na sobie sprawia, że coraz częściej nie zwracamy uwagi na zło, które dzieje się wokół nas. Widząc przemoc nie możemy być jednak obojętni. Każdy przejaw agresji powinien wzbudzać naszą czujność i reakcję, bo to właśnie od jednego telefonu, tej jednej reakcji, może zależeć czyjeś zdrowie lub życie.

Michał ma 12 lat i mieszka w małym mieście na południu Polski. Ich mieszkanie w bloku niczym się nie wyróżnia - z pozoru to zwyczajna, trzyosobowa rodzina. W ich domu nigdy się jednak nie przelewało. Mama Michała pracuje w supermarkecie znanej sieci, ojciec jako brygadzista w kopalni. Przez problemy finansowe, w domu często było nerwowo, a na stole pojawiał się alkohol. Sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli, gdy ojciec popadł w uzależnienie i zaczął wszczynać kolejne awantury. Mieszkanie w bloku stało się piekłem dla Michała, który w wyniku awantur był wielokrotnie szarpany i bity przez ojca. Jego mama ze strachu o własne zdrowie i życie bała się reagować. W szkole też nikt nie zwrócił uwagi, że od pewnego czasu Michał jest przygnębiony, coraz częściej chodzi w kapturze, unika kontaktu z rówieśnikami i z nikim nie rozmawia. Czarę goryczy przelała kolejna awantura, w czasie której Michał znów został uderzony przez ojca. Chłopiec zaczął szukać pomocy i zgłosił się na infolinię Funduszu Sprawiedliwości. Dzięki ustawie antyprzemocowej z 2020 r. szybko udało się wyrwać Michała i jego mamę z opresji agresora.

Widzisz przemoc? Nie możesz milczeć!

Takich historii w całej Polsce niestety nie brakuje. Dlatego tak ważne jest zapobieganie i przeciwdziałanie wszelkim przejawom agresji i przemocy. Zwracajmy uwagę na nasze otoczenie - kolegów ze szkoły, z pracy, znajomych. Gdy widzimy, że komuś dzieje się krzywda, powinniśmy reagować natychmiast. Naszą czujność powinna wzbudzić każda zmiana zachowania, uciekanie od kontaktu, izolowanie się od znajomych. Słyszysz krzyki i płacz za ścianą? To wołanie o pomoc! Nie udawaj, że ich nie ma, bo właśnie ta decyzja może zdecydować o czyimś bezpieczeństwie.

Zauważyłeś, że dziecko Twoich sąsiadów jest nieśmiałe i ma siniaki na ciele? Jego rodzice znów tłumaczą, że przewrócił się na rowerze? Nie odwracaj wzroku i reaguj. Dzięki temu możesz powstrzymać kolejną tragedię - zadzwoń na Całodobową Linię Pomocy Pokrzywdzonym – 222 309 900, a w przypadku realnego zagrożenia zdrowia lub życia pod numer alarmowy 112.

Fundusz Sprawiedliwości pomaga osobom pokrzywdzonym przestępstwem

Jeżeli jesteś ofiarą lub świadkiem przemocy nie bój się prosić o pomoc. Każde dziecko zasługuje na szczęśliwe i bezpieczne dzieciństwo, a każdy dorosły na spokojne i bezpieczne życie. Każdy pokrzywdzony przestępstwem, świadek oraz osoba im najbliższa może skorzystać z bezpłatnej pomocy w ramach Funduszu Sprawiedliwości. Jest ona udzielana w Lokalnych Punktach i Okręgowych Ośrodkach Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem, których na terenie całej Polski jest 305. Pomoc realizowana jest przez specjalistów, którzy pomogą rozwiązać nawet najtrudniejsze sprawy - są wśród nich m.in. prawnicy, psychologowie, psychoterapeuci i psychiatrzy, doświadczeni także w pracy z dziećmi i młodzieżą. Placówkę blisko miejsca zamieszkania można znaleźć na stronie:
https://www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/

Do dyspozycji poszkodowanych jest także Całodobowa Linia Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem (222 309 900), adres e-mail: info@numersos.pl oraz specjalny czat online.

Nie bądź obojętny, reaguj na przemoc!
Nie bój się prosić o wsparcie!

eprasa.pl c557d2be61

nie zależało. Po ujawnieniu e-maili wyraźnie uznano, że jaki jest koń, to już każdy widzi, i ważne jest tylko, żeby zamilkł dla dobra Trójki. Chyba dlatego skończyło się to ugodą.

Jednak awantura rozpętana przez Manna i Niedźwieckiego przyniosła Trójce katastrofalne skutki. Dezorientacja i przewaga mediów „głównego nurtu" zrobiły swoje. Odeszła część dziennikarzy, odsuwali się zdezorientowani słuchacze. Szkoda. Ale powiedzenia „po nas choćby potop" nie wymyślono przecież pod stołem w redakcji Listy Przebojów Trójki.

NOWY AUTORYTET POLITYCZNY

Wojciech Mann niegdyś celnie krytykował niektóre występy polityków prawicy dowcipami z wyżyn inteligencji i dowcipu. Ostatnio zrobiło się ujmująco płasko: „Wstyd mi, że takie indywidua udają rząd wszystkich Polaków, i jednocześnie wstyd mi za tych skołowanych i naiwnych, którzy na nich głosowali. PiS z nimi tańcował" – napisał na Facebooku. Czy to nie jest podręcznikowa pogarda dla ludzi, których Mann nie zna i może nie rozumie?

Zamiast finezji i poczucia humoru Mann zaczął prezentować kwalifikacje w dziedzinie handlu surowcami energetycznymi: „Dopadła mnie znowu rzeczywistość i nie wytrzymałem. Okazało się, że ta rządząca Polską ferajna znowu się popisała. Po szumnie relacjonowanych podróżach po Europie i sztorcowaniu wszystkich za niewystarczający bojkot Rosji okazało się, że sami cichaczem kupowali tamtejszą ropę, spokojnie finansując bandytów i morderców. Teraz, kiedy im Putin zakręcił kurek, udają, że to ich decyzja". Napisano już wiele, że to nieprawda, więc nie ma co do tego wracać. Redaktor Mann wyraźnie zatracił muzyczną wrażliwość, ograniczając się tylko do niektórych źródeł dźwięków. A ten chamowaty zwrot o „rządzącej Polską ferajnie" nie nadaje się do najsłabszego nawet kabaretu.

Do historii dziennikarstwa przejdą niedawne kpiny Manna z Jarosława Kaczyńskiego, który zażartował ze zbyt łatwej, jego zdaniem, możliwości deklarowania się mężczyzn jako kobiety. Opowieść o „Władysławie", który przychodzi do pracy i żąda, żeby od teraz mówić do niego „Zosia", dotyczyła niepokojących zjawisk cywilizacyjnych i nie była wymierzona w dobro konkretnych osób. Pan redaktor, często przedstawiający się jako mistrz dziennikarskiej elegancji, napisał post, który nagłośnił i objaśnił rechoczący (podstrona: „Rozrywka") portal Onet: „Mann zasugerował, że żarty o osobach niebinarnych w ustach polityka mogą świadczyć o jego własnej tożsamości, którą ukrywa i wypiera", po czym zaaplikował publicznie ów dowcip dziennikarza: „Zastanawiam się, kiedy w końcu przedzierzgnie się w tę wciąż przywoływaną Zosię. W pełnym makijażu, miniówce i kabaretkach może jeszcze poprawić notowania swojego panopticum [gabinet osobliwości – przyp. P.G.]".

Dokumenty ze sprawy Manna ocalały cudem. W czasach UOP wyjęto je z worków przeznaczonych do spalenia

Żarty z seksualności, zwłaszcza z tej niebinarnej, to w tym środowisku ohyda. Ale, jak widać, nie wtedy, kiedy chodzi o znaną osobę publiczną i byłego premiera RP – polityka prawicy. Pokaz chamstwa medialnego panopticum w pełnej krasie.

„KTO TO JEST KABEL?"

Skoro jesteśmy przy tym, co kto „ukrywa i wypiera", to zacznijmy od wywiadu Wojciecha Manna z 2015 r., w którym mówił o kłopotach z SB w czasie starań o paszport w latach 70., a potem pryncypialnie (w „Gazecie Wyborczej") nazwał byłych agentów bezpieki „kablami". Jednak o proponowanym mu wówczas donoszeniu na kolegów w zamian za korzyść postaci paszportu Mann wspomina (czy Zygmunt Freud miewał rację?) przez ostatnie lata natrętnie i wielokrotnie.

Inne ważne wystąpienie Manna miało miejsce w 2020 r. na Poland Rock Festiwal. Wywiad prowadzony przez redaktora Bartosza Węglarczyka (a jakże – z Onetu) to prawdziwa intelektualna gratka. Węglarczyk wspomniał – i chwali się tą audycją w Internecie – że pierwsze dziennikarskie kroki stawiał we wspólnej audycji z Mannem. Szczególnie utkwił mu w pamięci ten program, który spotkał się z odzewem słuchaczy, będący żartobliwą debatą o tym, na jakie marki samochodów i jakiego koloru najczęściej „robią" gołębie (ptaki odleciały, ale dziennikarski sznyt pozostał…).

W owym wywiadzie Wojciech Mann przedstawił się jako rzetelny i nieugięty, a w PRL unikający sytuacji, w których mógłby się „ubabrać" kolaboracją z systemem. Rzucił też coś aluzyjnie o współczesnych dziennikarzach, którzy mają „czystość wewnętrzną w dupie", co specyficzna publiczność oklaskiwała, ciesząc się, że o „reżimowych pismaków" chodzi.

Powszechnie uważa się, że osoby uczestniczące w życiu publicznym winny być przezroczyste. Bo oprócz tego, „co zostało powiedziane", ważne jest to, „kto" to mówi. Szczególnie jeśli robi to z wyższością i brutalnie obraża innych.Warto więc pokazać dokumenty leżące od lat w IPN. Rzecz nie dotyczy lat 70., o których czasem Mann coś mówi w sposób rodzący podejrzenie, że „budował sobie poduszkę, jakby coś wyszło". No ale właśnie wychodzi.

Z kartoteki odtworzeniowej MSW wynika, że Wojciecha Manna, urodzonego 25 stycznia 1948 r. w Świdnicy dziennikarza, 15 października 1981 r. Służba Bezpieczeństwa zarejestrowała w kategorii „Kontakt Operacyjny". Historycy zwykle definiują ją jak Osobowe Źródło Informacji (OZI), choć niektórzy mówią krótko: „kabel".

Sprawę prowadziły kolejno dwie jednostki SB zajmujące się inwigilacją instytucji i środowiska dziennikarskiego: Wydział XIII Departamentu II MSW (1981–1983), a potem Wydział VI Departamentu III MSW (1983–1989). Rejestrację odwołano kilka miesięcy po „wyborach czerwcowych", jesienią 1989 r., z powodu „niechęci [KO] do współpracy". Ponieważ był to ważny kierunek działań SB, a sprawa trwała dziewięć lat, wykluczam jakąś ściemę ze strony funkcjonariuszy. Nadto w 1989 r. akta nie były ani puste, ani bezwartościowe, skoro najpierw je zarchiwizowano i zmikrofilmowano, a dopiero potem wyjęto i zakwalifikowano do dużej akcji niszczenia akt SB. To, co zostało, ocalało cudem – te karty ewidencyjne już w czasach UOP wyjęto z worków, w których były przygotowane do wywiezienia i spalenia.

Teraz pora na odpowiedź naszego nowego komentatora życia politycznego w Polsce. Będzie rzetelna relacja historyczna? A może zobaczymy tylko „pełny makijaż" zdziwienia i oburzenia, czerwony okrągły nos na gumce, a potem te zabawne pląsy niewinności w „miniówce" i baletkach?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

Terapie chorób cywilizacyjnych tworzone w Krakowie

Centrum Rozwoju Terapii Chorób Cywilizacyjnych i Związanych z Wiekiem – jeden z najnowocześniejszych takich ośrodków w Europie – rozpoczyna działalność na Kampusie Medycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest to interdyscyplinarny ośrodek badawczy trzech wydziałów uniwersyteckich: Farmaceutycznego, Lekarskiego i Wydziału Nauk o Zdrowiu. Zajmie się on praktycznym wykorzystaniem wyników badań nad przyczynami chorób cywilizacyjnych i związanych z wiekiem. Będzie tworzyć innowacyjne leki i weryfikować nowe metody terapii i profilaktyki. Docelowo poprawić ma dostępność tych terapii dla polskiego społeczeństwa, które starzeje się w szybkim tempie i coraz liczniej zapada na choroby cywilizacyjne.

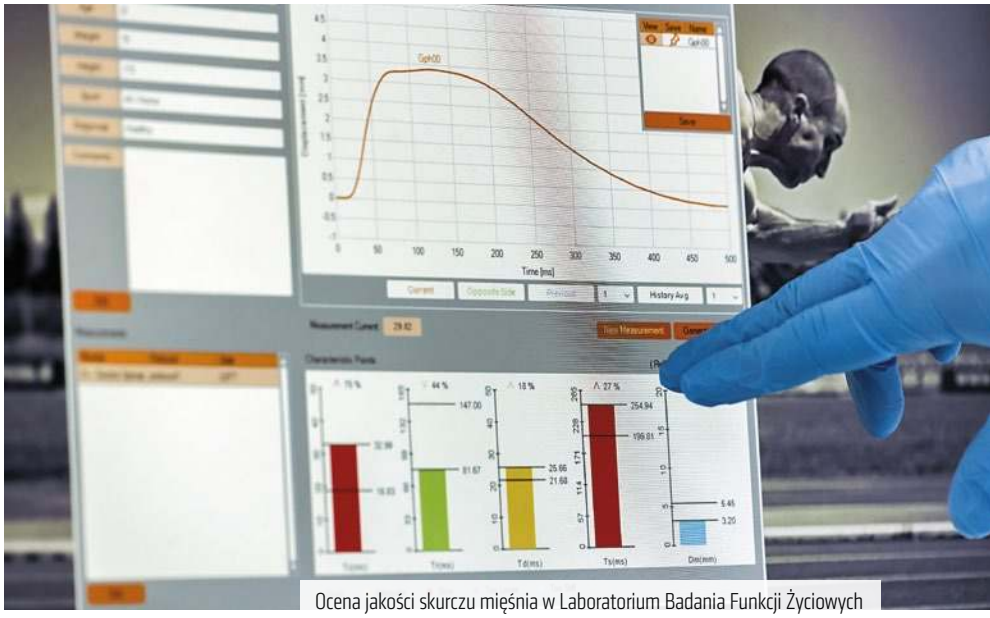

Ocena jakości skurczu mięśnia w Laboratorium Badania Funkcji Życiowych

Centrum, w skrócie CDT-CARD, otrzymało prawie 40 mln zł unijnego dofinansowania, które pozwoliło na stworzenie 10 laboratoriów badawczych wyposażonych w nowoczesną aparaturę. Laboratoria działające w różnych dziedzinach nauk medycznych będą ze sobą ściśle współpracować i działać w otwartej formule, która polega na udostępnianiu unikatowych urządzeń oraz wiedzy naukowcom z kraju i zagranicy. Centrum umożliwi połączenie badań przedklinicznych – które prowadzą do rozwijania nowych leków i strategii terapeutycznych – z badaniami klinicznymi, głównie niekomercyjnymi. Pozwoli to na sprawną weryfikację tworzonych leków i terapii. Otworzy także naukowcom drogę do współpracy z branżą farmaceutyczną i biotechnologiczną.

Warunkiem dofinansowania projektu CDT-CARD było udostępnienie infrastruktury badawczej przedsiębiorcom. Firmy farmaceutyczne mogą skorzystać z supernowoczesnej aparatury i wiedzy pracowników nowego centrum do prowadzenia swoich prac badawczo-rozwojowych. Prace te mogą dotyczyć nowych substancji do produkcji leków i technologii poprawiających ich przyswajalność, komercjalizacji innowacyjnych produktów, terapii uzależnień od substancji psychoaktywnych, profilaktyki problemów zdrowia psychicznego i promocji zdrowego starzenia się.

Mocną stroną nowej jednostki jest oparcie procesów badawczych na infrastrukturze IT. Pozwoli ona na wspomaganie rozwoju leków modelami informatycznymi i modelowanie in silico (komputerowo) przebiegu choroby i skuteczności leczenia. Ciekawy termin „in silico" (łac.), oznaczający dosłownie „w krzemie", powstał przez analogię do określeń „in vivo" i „in vitro", które odnoszą się do prowadzenia badań odpowiednio: na żywym organizmie i poza organizmem, w laboratorium. Tymi działaniami zajmie się powstające Laboratorium Bioinformatyki i Analiz in silico.

Wśród laboratoriów CDT-CARD najbardziej otwarte na świat pozanaukowy wydaje się Laboratorium Badania Funkcji Życiowych, które zajmuje się głównie analizą parametrów ruchu, czyli aktywności człowieka mającej ogromny wpływ na jakość jego życia. Laboratorium będzie badać pacjentów skierowanych przez placówki medyczne – oceni aktywność mięśni funkcjonalnych odpowiedzialnych za konkretne ruchy oraz stabilizację poszczególnych odcinków ciała. W przypadku urazów zaproponuje diagnostykę i poda sposoby na powrót do formy. Wykorzysta aparaturę do rejestracji i analizy ruchu, by wskazać złe nawyki, które utrwalają błędy i powodują ból, a w ich miejsce zaproponuje poprawne wzorce. Jednostka dodatkowo otwiera się na współpracę z firmami, które projektują produkty wykorzystywane w rehabilitacji, ortopedii, sporcie i rekreacji.

Projekt „Centrum Rozwoju Terapii Chorób Cywilizacyjnych i Związanych z Wiekiem" realizowany jest od początku stycznia 2021 r. do grudnia 2023 r. przez Uniwersytet Jagielloński. Projekt uzyskał dofinansowanie UE w wysokości 39,9 mln zł w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój. Za wyłonienie projektów do dofinansowania i ich rozliczenie odpowiada Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy (OPI PIB).

Więcej informacji: https://cdt-card.cm-uj.krakow.pl.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
NCBR Narodowe Centrum Badań i Rozwoju
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl c557d2be61

Europa małych Trumpów

Teresa Stylińska

Pasmo zwycięstw prawicy w różnych krajach Europy mogłoby całkowicie zmienić układ sił. Tego eurokraci obawiają się najbardziej

Dobrze jest, gdy ludzie mogą się wypowiedzieć. Źle, gdy, jak w roku 2005, narzuca im się traktaty. O swej przyszłości powinni zadecydować sami Holendrzy, tak jak uczynili to niegdyś Brytyjczycy". W dodatku wynik głosowania pokazuje, że mieszkańcy Europy „odrzucają sposób, w który działa dziś Unia Europejska", i że „chcieliby opanować napływ imigrantów".

Tak Marine Le Pen, przywódczyni Zgromadzenia Narodowego, jak nazywa się obecnie dawny francuski Front Narodowy, skomentowała zwycięstwo prawicowej Partii Wolności (PVV) w wyborach parlamentarnych w Holandii. Zwycięstwo nieoczekiwane – bo nic nie wskazywało na to, by PVV kierowana przez Geerta Wildersa, mogła pokonać centrowych i lewicowych konkurentów, którzy od pół wieku niepodzielnie panują na holenderskiej scenie politycznej. Nawet kierownictwo partii nie liczyło chyba na taki sukces, skoro dopiero trzy dni przed głosowaniem postanowiło wynająć lokal na wieczór wyborczy.

Sukces istotnie robi wrażenie. Partia Wolności, z poparciem blisko 24 proc. wyborców, zdobyła 37 mandatów w 150-osobowej Izbie Drugiej (niższej) Stanów Generalnych, prawie dwa razy więcej niż w poprzednich wyborach. Pokonała, z dużą przewagą, blok lewicy pod wodzą Fransa Timmermansa, który dla miraży polityki krajowej zrezygnował z funkcji unijnego komisarza (25 mandatów), i centrową Ludową Partię na rzecz Wolności i Demokracji (VVD) Marka Ruttego, do niedawna premiera (24 mandaty). Czy jednak zdoła znaleźć koalicjantów i utworzyć rząd?

To zadanie niełatwe, zważywszy, że PVV od zawsze, tak jak inne partie europejskiej prawicy, otoczona jest prawdziwym kordonem sanitarnym. Niewykluczone, że Wilders zdoła stworzyć rząd mniejszościowy, działający z poparciem np. VVD, która zmieniła stanowisko i dziś już tego nie wyklucza. Na pewno jednak nie nastąpi to szybko, bo w Holandii

eprasa.pl c557d2be61

Nic nie wskazywało na to, by PVV, kierowana przez Geerta Wildersa (na zdjęciu), mogła pokonać centrowych i lewicowych konkurentów, którzy od pół wieku niepodzielnie panują na holenderskiej scenie politycznej

FOT. CARL COURT/GETTY IMAGES

formowanie rządu nawet w łatwiejszej sytuacji potrafi trwać miesiącami.

KONSTERNACJA W BRUKSELI

Dla Unii Europejskiej zwycięstwo PVV nie mogło nastąpić w gorszym momencie. Po pierwsze, pokazuje, że partia otwarcie antyeuropejska wcale nie jest – jak życzyłaby sobie Bruksela – odrzucana przez wyborców. Po drugie, rodzi obawy, że za zgubnym przykładem Holendrów mogą pójść inne nacje. Po trzecie wreszcie, jednym z głównych punktów programu Geerta Wildersa jest przeprowadzenie referendum w sprawie obecności Holandii w Unii. A słowo „referendum", po pamiętnym referendum brytyjskim, działa na eurokratów jak płachta na byka. Jeden zły przykład wystarczy.

Nawet jeśli przesadą jest stwierdzenie, że Unia wkroczyła na drogę prowadzącą prosto do federacji, pierwsze drobne przymiarki mają już przecież miejsce. Niedawne głosowanie w Parlamencie Europejskim nad projektem unijnych reform daje tego przedsmak. Nie wzbudziło ono wprawdzie specjalnego zainteresowania w świecie (wiele mediów w ogóle go nie odnotowało), stanowi jednak sygnał, którego mimo wszystko nie należy lekceważyć. Idea pierwotnie odrzucana może przecież rozwinąć się w nieoczekiwanym kierunku. Szaleństwo ideologii LGBT zaczęło się przecież skromnie i niepozornie, od ślubów, których tu i ówdzie urzędnicy stanu cywilnego – srogo wówczas, dodajmy, napominani przez zwierzchników – udzielali parom jednopłciowym. A co z tego wynikło?

Na razie nic nie wskazuje na to, by groźba nexitu była realna. Faktem jest jednak, że w spokojnej Holandii całkiem niedawno doszło do gwałtownych protestów farmerów, niezadowolonych z wymogów i skutków unijnej polityki klimatycznej. W dodatku Holendrzy, choć generalnie Unii przychylni, mają za sobą jeden mocno antyeuropejski epizod: we wspomnianym przez Marine Le Pen 2005 r. odrzucili w referendum konstytucję europejską, podobnie jak wcześniej Francuzi. Te dwa głosowania pogrzebały projekt. Wobec obu krajów, z grona założycielskiej szóstki przecież, Bruksela nie odważyła się zastosować nacisków, które praktykowano wobec małej Irlandii czy Grecji.

Czy można zatem ze strony Unii spodziewać się działań, które partii Wildersa miałyby utrudnić drogę do władzy? Niewykluczone, bo – jak pokazują doświadczenia Polski i Węgier, wcześniej Włoch, gdy premierem był źle widziany w Brukseli Silvio Berlusconi (bardzo proeuropejski, co za paradoks), wreszcie Austrii, gdy przed laty do rządu weszła Wolnościowa Partia Austrii (FPÖ) – są w Europie partie, które po prostu należy trzymać na dystans.

Widać to nawet w warstwie słownej: nazywane są populistycznymi partiami skrajnej prawicy. Tym, którym można to wytknąć, politycy i media z upodobaniem wypominają faszystowskie korzenie, nawet jeśli dawno się one zatarły. To przypadek Braci Włochów, partii premier Giorgii Meloni i Szwedzkich Demokratów, którzy wprawdzie nie weszli do rządu, udzielają mu jednak uzgodnionego poparcia. Co znamienne, postkomunistom nikt rodowodu nie wytyka. I nic dziwnego, bo trudno dzisiaj o lepszych i bardziej gorliwych Europejczyków. W Parlamencie Europejskim widać to jak na dłoni.

BEZ UNII, BEZ IMIGRANTÓW

Partia Wolności jednak jest partią młodą. Została założona przez Geerta Wildersa w 2006 r. jako ugrupowanie krytyczne wobec napływu imigrantów, zwłaszcza z krajów muzułmańskich, i wobec Unii Europejskiej. Wilders uważa przede wszystkim, że otwierając drzwi przed wyznawcami islamu, Europa sama przysporzyła sobie kłopotów. Koran jest, jego zdaniem, jak „Mein Kampf", dlatego należy zakazać jego rozpowszechniania. Trzeba też skończyć z budową meczetów i zabronić muzułmankom zakrywania twarzy.

Grzechy religii muzułmańskiej – stosunek do kobiet, inspirowanie przemocy i terroryzmu itp. – odmalował Wilders w krótkim filmie „Fitna", wyprodukowanym w 2008 r. i rozpowszechnianym w Internecie, krótko jednak, bo z uwagi na prezentowane na ekranie poglądy dystrybutor się wycofał. Wilders zresztą stale popadał w kłopoty, oskarżany o podżeganie do nienawiści; w 2009 r. został skazany, choć później wyrok uchylono. Ponieważ regularnie otrzymuje pogróżki, od lat korzysta z ochrony.

Bez panoszących się eurokratów, bez niekontrolowanej imigracji – taki zestaw poglądów jest wspólny dla wszystkich partii prawicy, nawet jeśli akcenty rozkładają się odmiennie. Punkt wyjścia stanowił właśnie postulat powstrzymania masowego napływu imigrantów. Od tego zaczął działalność francuski Front Narodowy, założony w 1972 r. przez Jeana-Marie Le Pena, ojca Marine, najstarsza z działających obecnie w Europie partii prawicowych. Mają one zresztą charakter quasi-autorski, bo ich twórcy pozostają na ich czele przez całe lata i mają przemożny wpływ na linię programową. Le Pen, rekordzista, kierował Frontem przez blisko 40 lat.

Front Narodowy przez pół wieku przeszedł długą drogę, łagodził i modyfikował poglądy, nigdy jednak – mimo wysiłków – nie zdołał objąć władzy, choć się o nią otarł, docierając do drugiej tury wyborów prezydenckich – Jean-Marie w 2002 r.

eprasa.pl c557d2be61

(otrzymał 18 proc. głosów), Marine zaś dwukrotnie, w latach 2017 (33 proc.) i 2022 (41,5 proc.). Rosnące poparcie lepiej niż cokolwiek innego pokazuje, jak bardzo zmienia się stosunek Francuzów do Frontu. Zapewne dlatego, że rzeczywistość potwierdziła trafność jego przewidywań.

OMEN WIĘCEJ NIŻ DOBRY

„Zwycięstwo Wildersa ożywiło retorykę skrajnej prawicy w całej Unii Europejskiej, zwłaszcza w wykonaniu tzw. małych Trumpów" – unijny portal internetowy Euractiv, specjalizujący się w tematyce europejskiej, nie szczędził uszczypliwości ugrupowaniom, do których, delikatnie mówiąc, nie odnosi się przychylnie. Porównanie do Trumpa jest nieprzypadkowe: Wilders, tak jak amerykański eksprezydent – a może także prezydent in spe – ma sugestywną blond fryzurę i tak samo jak on imigrację uważa za palący problem. Ten drugi aspekt dotyczy wszystkich, również tych, którzy kolorem włosów zupełnie Trumpa nie przypominają (pod tym względem najbliżej jest Boris Johnson, ale to pod wieloma względami nieco inna bajka).

Bardziej wymowny wydaje mi się jednak podtekst innego rodzaju: słowo „Trump" to inwektywa. Dla europejskiego mainstreamu – zarówno polityków, jak i mediów – Trump uosabia wszystko, co najgorsze, do skrajnej prawicy zatem w roli punktu odniesienia pasuje jak ulał. Skrajna prawica także oznacza wszystko, co najgorsze.

„Małych Trumpów" nazbierała się w Europie całkiem pokaźna gromadka. Rosną – z nielicznymi wyjątkami – w siłę i poszerzają wpływy. Wspomniane Partia Wolności w Holandii, Zgromadzenie Narodowe we Francji, Wolnościowa Partia Austrii. Bracia Włosi Giorgii Meloni i Liga Matteo Salviniego we Włoszech. Szwedzcy Demokraci, Partia Finów, Duńska Partia Ludowa. Vox Santiago Abascala w Hiszpanii. Alternatywa dla Niemiec Alice Weidel i – nie szefa jeszcze, ale wschodzącej gwiazdy – Björna Höckego. Vlaams Brlang, czyli Interes Flamandzki Toma Van Griekena. I oczywiście węgierski Fidesz. Viktor Orbán jako szwarccharakter w oczach mainstreamu o krok tylko ustępuje Trumpowi.

Wszyscy wygraną Geerta Wildersa przyjęli z entuzjazmem, widząc w niej dobry omen. „To sygnał, że ludzie pragną prawdziwej zmiany" – stwierdził Tom Van Grieken. „Nowa Europa jest możliwa" – to Matteo Salvini. Viktor Orbán na portalu X, dawnym Twitterze, zauważył, że „wieje wiatr zmiany", a Santiago Abascal myśl tę rozwinął, mówiąc, że „w Europie coraz więcej ludzi, na ulicach i przy urnie, domaga się, by wzięto w obronę ich prawa i granice [ich krajów – przyp. red.]".

„Małych Trumpów" nazbierała się w Europie całkiem pokaźna gromadka. Rosną – z nielicznymi wyjątkami – w siłę i poszerzają wpływy

Bruksela natomiast czeka i w tym oczekiwaniu trudno nie wyczuwać niepokoju. Najlepiej byłoby oczywiście, gdyby Geert Wilders nie zdołał utworzyć rządu ani nie został włączony do rządu kierowanego przez inną partię. Bo może podziałałoby to jak zimny prysznic i ostudziło nadzieje reszty „małych Trumpów".

NASZ CZAS NADCHODZI

Obawy eurokratów są zrozumiałe. Pasmo zwycięstw prawicy w różnych krajach Europy mogłoby całkowicie zmienić układ sił. Przez wiele lat na prawicę nie wypadało głosować, a jeśli nawet ktoś to robił, to nie powinien był się do tego przyznawać. To praktyczny, w kategoriach zwykłych ludzi, wymiar kordonu sanitarnego, którym otoczono partie prawicy na scenie politycznej. I oto na oczach zdumionych europejskich widzów mur zaczyna się kruszyć, choć – według mainstreamu – coś takiego nie ma prawa mieć miejsca.

Parę jaskółek Europa ma już za sobą. Od ponad roku Włochami wspólnie rządzą Bracia Włosi i Liga (z udziałem także Forza Italia!, partii Berlusconiego, od jego śmierci kierowanej przez Antonia Tajaniego). W Szwecji prawicowi Szwedzcy Demokraci mają pośredni udział w rządzie jako jego zaplecze parlamentarne. Na Węgrzech nic i nikt nie zdołał jak dotąd podkopać pozycji Fideszu. Co jednak najważniejsze, wiele partii odnotowuje niezmienny wzrost poparcia. Interes Flamandzki jest w tej chwili najsilniejszą partią Belgii, a Tom Van Grieken wierzy, że zwycięży w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych, które odbędą się wraz z wyborami do Parlamentu Europejskiego. Alternatywa dla Niemiec odnosi sukcesy w kolejnych wyborach, Zgromadzenie Narodowe zaś w sondażach poparcia wyprzedza Renaissance, partię założoną przez prezydenta Emmanuela Macrona.

„W całej Europie nadchodzi czas takich partii jak nasza" – tak, z przekonaniem i nadzieją, Tom Van Grieken komentował wyniki wyborów w Holandii. Lider belgijskiej prawicy został umieszczony przez portal Politico na opublikowanej właśnie Liście Polityków 2024, w kategorii Disrupters, czyli tych, którzy sieją zamęt. Dodajmy, że wśród dziewięciorga disrupterów znaleźli się Viktor Orbán i Björn Höcke, a także Manfred Weber i Annalena Baerbock, szefowa dyplomacji Niemiec – ludzie z zupełnie innego końca politycznego spektrum.

Za to na liście Doers – tych, którzy działają – umieszczono Marine Le Pen. Czy jest to zwykły sygnał czy może wręcz wróżba? Zgromadzenie Narodowe jest dziś na czele sondaży przed wyborami europejskimi. Nastawienie ludzi się zmienia. Na pytanie, czy kiedykolwiek zdarzyło im się głosować na kandydatów Frontu Narodowego, aż 42 proc. odpowiada, że tak. W 2017 r. przyznało się do tego tylko 30 proc. Czy zmieniły się ich decyzje wyborcze czy też odium przez lata otaczające Front gdzieś się rozpłynęło?

Trudno powiedzieć, w gruncie rzeczy jednak nie ma to większego znaczenia. I nie dzieje się tak przypadkiem. Partie prawicy po prostu trafnie zdefiniowały problemy, których mainstream nie chce lub nie potrafi dostrzec: imigrację, na której powstrzymanie eurokraci nie mają ani pomysłu, ani odwagi, i rozpychającą się unijną władzę. Idea Europy federalnej powinna stworzyć prawicy wielkie pole do popisu.

Ciekawe, co na sukces Geerta Wildersa powiedziałby Nigel Farage, inicjator brexitu. Na jego komentarz trzeba jednak trochę poczekać. Farage przebywa w Australii jako uczestnik organizowanego w dżungli reality show „I'am a Celeb!" („Jestem celebrytą"). W ramach drastycznego programu je larwy, robaki i intymne części rozmaitych zwierząt oraz przebywa wśród węży, które – według jego słów – nie są gorsze od węży, które spotyka się w świecie politycznym Wielkiej Brytanii. I Europy pewnie też.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

MODELKI NIE MA, DOCHODY SĄ

Pewna agencja influencerska postanowiła, że zamiast korzystać z prawdziwych influencerów, skorzysta z postaci zaprojektowanej przez komputer. Tak do sieci trafiła Aitana. Dwudziestopięciolatka promowała w Internecie fitness i zdrowy styl życia. A do tego, oczywiście, pozowała w ubraniach znanych marek. Modelka do dziś ma na Instagramie ponad 100 tys. obserwujących i zarabia na promowaniu odżywek czy sprzętu sportowego aż 10 tys. euro miesięcznie. Agencja poszła za ciosem i stworzyła sobie graficznie już kolejną modelkę.

FOT. THE CLUELESS AGENCY

NOWOZELANDCZYCY BĘDĄ PALIĆ

Rząd Partii Pracy w Nowej Zelandii rok temu przyjął prawo, w myśl którego co roku miał być podwyższany wiek, od którego palenie papierosów jest legalne. Dzięki temu urodzeni po 2009 r. nigdy nie mogliby już legalnie palić. Ludzie mieli być zdrowsi, a wydatki na ich leczenie mniejsze. Tylko akurat nowy rząd Partii Narodowej wydatków ma sporo, a przez cięcia podatkowe – mniej wpływów. Dlatego już zapowiedział, że przepisy o ograniczeniu palenia zostaną wycofane do marca 2024 r. Zyski ze sprzedaży papierosów załatają budżetową dziurę.

FAŁSZYWE MEBLE W WERSALU

Skandal we Francji. Bill Pallot – jeden z najbardziej znanych ekspertów w dziedzinie zabytkowych mebli – usłyszał zarzuty dotyczące sprzedawania fałszywych eksponatów. Pięćdziesięciodziewięcioletni kolekcjoner miał sprzedać podróbki pochodzące rzekomo z epoki królów Ludwika XV i Ludwika XVI. Pozłacanych mebli miała używać m.in. Maria Antonina. Część takich przedmiotów miała trafić do zespołu pałacowego w Wersalu.

CAŁA WYSPA ZA NIŻSZY WYROK

We Włoszech końca dobiegł wielki proces mafii z Kalabrii, w którym skazano kilkaset osób. Trwa za to proces mafii neapolitańskiej. Jeden z bossów – Raffaele Imperiale – właśnie zdecydował się pójść na współpracę z wymiarem sprawiedliwości. W jej ramach oddał państwu wyspę, która znajduje się w archipelagu naprzeciw wybrzeża Dubaju. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nieudane tricki Scholza

Kanclerz Niemiec w najnowszym rankingu popularności polityków spadł na 17. miejsce na 20 możliwych. Tymczasem jeszcze w grudniu 2021 r., gdy obejmował urząd, Olaf Scholz zajmował miejsce drugie. Jednocześnie popularność Partii Zielonych zmalała do najniższego poziomu od ponad pięciu lat.

Tak bolesny spadek poparcia dla szefa rządu w Berlinie wynika z tego, że działania kanclerza nie leczą „chorego człowieka Europy", ale sprawiają, że Niemcy czują się coraz gorzej. I nie chodzi tu tylko o opóźnioną cyfryzację, opłakany stan infrastruktury czy brak wykwalifikowanej siły roboczej. Rządy tzw. koalicji sygnalizacji świetlnej (od barw tworzących ją partii) doprowadziły do powstała w budżecie dziury w wysokości 60 mld euro!

Trybunał Konstytucyjny nie dał się bowiem nabrać na trick polegający na tym, że rząd przekierował ogromną kwotę zebraną w postaci pożyczek na walkę z COVID-19 do tzw. Funduszu Klimatu i Transformacji. Takie działanie sędziowie uznali za nielegalne, przez co Berlin zmaga się z największą katastrofą budżetową w historii RFN. Kanclerz nie wie, co robić. Były grecki minister radzi więc Niemcom, aby „sprzedały swoje wyspy" (sprzedaż wysp i Akropolu doradzał zbankrutowanym Grekom w 2010 r. niemiecki „Bild"). Ten chichot historii grozi przedterminowymi wyborami w Niemczech. Zwłaszcza że dziura w budżecie to jeden z wielu problemów kraju o słabnącej gospodarce, w którym przedsiębiorcy ostrzegają, iż brak siły roboczej niechybnie doprowadzi do utraty dobrobytu. Rąk do pracy brakuje, choć Niemcy przepełnione są młodymi nielegalnymi imigrantami. Nie po to jednak szli po dobrobyt, żeby teraz pracować… ©℗

eprasa.pl c557d2be61

Z Radosławem Pyffelem, ekspertem Instytutu Sobieskiego, znawcą Azji i Pacyfiku
rozmawia Piotr Włoczyk

Coraz ciaśniej w cieśninie

PIOTR WŁOCZYK: W największych światowych mediach czytamy o kolejnych datach możliwej chińskiej inwazji na Tajwan. Czy wojna na zachodnim Pacyfiku jest już pewna i teraz tylko trwa odliczanie?

RADOSŁAW PYFFEL: Gra wokół Tajwanu toczy się od dekad, ale ostatnio faktycznie przybrała na sile. Atmosfera w największych światowych mediach jest już w tym kontekście tak gęsta, że inwazja wydaje się stuprocentowo pewna. Można mieć jednak spore wątpliwości, czy Pekin naprawdę byłby zainteresowany scenariuszem siłowym lub – precyzyjniej – czy jest to scenariusz priorytetowy.

Media powołują się jednak na źródła, które mają swoją wagę. Amerykański wywiad donosił niedawno, że inwazja to realna opcja, i wskazał nawet konkretną datę – 2027 r., czyli 100. rocznicę utworzenia Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Pojawia się wiele spekulacji, od zdolności Pekinu do przeprowadzenia takiej inwazji do konkretnych, zazwyczaj symbolicznych dat. Niewykluczone, że to po prostu element rozgrywki informacyjnej wokół wyspy.

W Polsce 90 proc. komentatorów już uznało, że ta inwazja jest pewna, bo traktujemy Chiny jak Związek Sowiecki czy Rosję. I rzeczywiście w sowieckiej i rosyjskiej kulturze strategicznej użycie siły było i jest czymś pozytywnym, co dodaje szacunku w oczach społeczności międzynarodowej, a także własnego społeczeństwa. W Chinach wygląda to inaczej. Użycie siły jest tam postrzegane raczej jako porażka, przyznanie się do tego, że nie było się wystarczająco inteligentnym, sprytnym, by osiągnąć zamierzony cel innymi metodami.

Zbrojna inwazja na Tajwan nie miałaby według mnie sensu z dwóch powodów. Po pierwsze, rosyjska agresja przeciw Ukrainie nie jest dla Pekinu niczym zachęcającym. A przecież inwazja na Tajwan byłaby o tyle trudniejsza, że jest to wyspa leżąca niemal 200 km od kontynentu.

A może Chińczycy wynieśli z wojny na Ukrainie inną lekcję – trzeba od razu zaatakować wszystkimi siłami i jak najszybciej obezwładnić przeciwnika, by nie ryzykować przedłużającego się konfliktu? Rosjanie przecież w pierwszych tygodniach inwazji nie wykorzystali przeciw Ukrainie całego swojego potencjału, mając nadzieję na przejęcie państwa w jak najlepszym stanie.

Tylko że takie frontalne uderzenie oznaczałoby zniszczenie całej wyspy. A przecież Pekinowi chodzi o to, żeby wchłonąć 24-milionowy Tajwan z całym jego ogromnym potencjałem. Przyłączanie do ChRL zniszczonego Tajwanu nie miałoby większego sensu. Chińczykom nie zależy jedynie na symbolicznym wchłonięciu terenu.

Inna rzecz, że Pekinowi trudno byłoby zaakceptować krwawą wojnę również

eprasa.pl c557d2be61

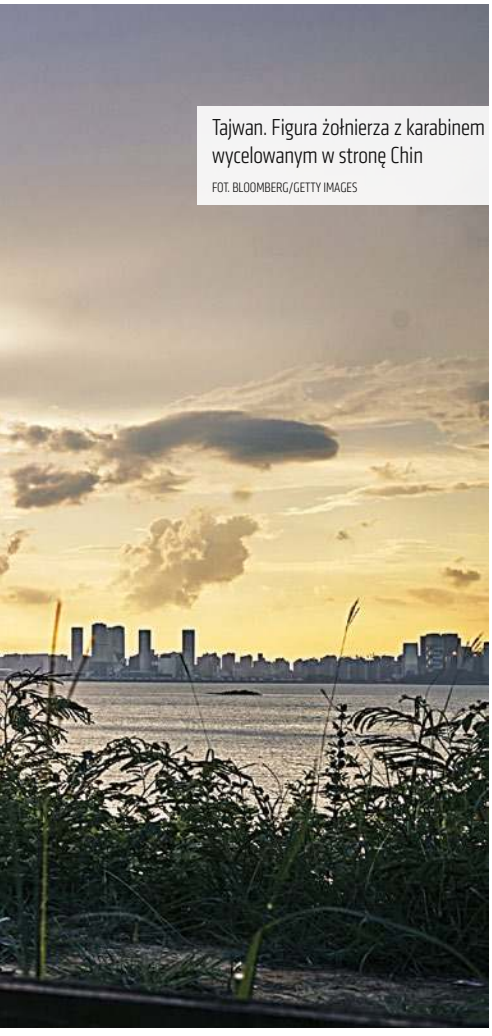

Tajwan. Figura żołnierza z karabinem wycelowanym w stronę Chin
FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

dlatego, że byłaby to z jego punktu widzenia wojna bratobójcza.

Sami Chińczycy sugerują jednak, że wariant siłowy nie jest wykluczony. Może więc chęć przejęcia wyspy z całym jej potencjałem przegra z ambicjami geopolitycznymi?

Na ostatnim szczycie w San Francisco Xi Jinping mówił, że jego celem jest pokojowe zjednoczenie, ale nie wyklucza użycia siły. To stanowisko Pekinu po raz pierwszy oficjalnie ogłoszono trzy lata temu, bo wcześniej mówiono wyłącznie o wariancie pokojowym. I dlatego, choć jest to według mnie scenariusz o wiele mniej prawdopodobny, nie możemy całkowicie wykluczyć wybuchu wojny w wyniku nagłej eskalacji. Podobnie przecież było z Ukrainą… Wojna miała się nikomu nie opłacać, nie mieć sensu, a jednak nastąpiła.

Często się zastanawiamy, co zrobią w tej sprawie przywódcy w Pekinie czy w Waszyngtonie, ale w tych przewidywaniach pomija się zazwyczaj trzeci element tej układanki – co zrobią politycy w Tajpej. Na Tajwanie władzę sprawuje DPP – partia, z którą Pekin nie rozmawia od 2016 r., a jej członków uważa za separatystów dążących do niepodległości. Z kolei zupełnie oficjalnie z Pekinem kontaktują się przedstawiciele opozycyjnego Kuomintangu (KMT). W Polsce kojarzymy KMT jako partię antykomunistyczną, która przegrała wojnę z komunistycznymi Chinami i w naturalny sposób jest wroga ChRL. Wiele się jednak przez ostatnie dekady zmieniło w tej kwestii. Dziś KMT to partia, która opowiada się za dialogiem z Pekinem i popiera politykę jednych Chin, podczas gdy DPP podkreśla, że Chiny i Tajwan to tak naprawdę dwie odrębne tożsamości.

Jednak politycy DPP wystrzegają się jednoznacznych deklaracji. „Niepodległość" to również dla tej partii słowo tabu.

Tak. Zdaniem wiceprezydenta Lai Ching-te, który jest faworytem mających się odbyć w styczniu 2024 r. wyborów prezydenckich, Tajwan jest de facto niepodległy, ale nie powinno się tego ogłaszać, bo mogłoby to spowodować wściekłość Pekinu i komplikacje na arenie międzynarodowej. Z kolei Ma Ying-jeou, polityk KMT, jest pierwszym byłym prezydentem Tajwanu (funkcję tę sprawował w latach 2008–2016), który odwiedził Chiny kontynentalne. Do wizyty doszło w tym roku, Ma odwiedził m.in. Mauzoleum Sun Jat-sena w Nankinie i zaprezentował wówczas pokojową retorykę, wiele mówiąc o dialogu między kontynentem a wyspą.

Kwestia wojny na Ukrainie wisi w powietrzu w trakcie tej kampanii. Hou Yu-ih, kandydat KMT na prezydenta, podkreśla na wiecach, że postawienie na niego to opowiedzenie się za pokojem, podczas gdy głos na kandydata DPP będzie równoznaczny z wysłaniem młodych Tajwańczyków na front. Kuomintang stara się narzucić wyborcom przekonanie, że te wybory to referendum w sprawie wojny i pokoju. Taka retoryka jest bardzo niekorzystna dla DPP i dlatego też partia ta zaczęła łagodzić swój przekaz, jednak trzon jej programu pozostaje niezmienny – Tajwan ma utrzymać status quo w relacjach z ChRL, a politycy tej partii podkreślają tajwańską tożsamość.

Gdyby wygrał Kuomintang, to zagrożenie wybuchem wojny zmalałoby praktycznie do zera. Pekin widzi w tej partii partnera, a i sam KMT jasno deklaruje, że chce negocjować z Chińczykami z kontynentu.

Co dokładnie Kuomintang chce negocjować? Zjednoczenie?

KMT nie wyklucza zjednoczenia, ale nie stawia tego wprost. Przy okazji swojej wizyty w ChRL Ma Ying-jeou podkreślał, że nie ma tu żadnego harmonogramu, gotowych planów. To wszystko zależy od rozwoju sytuacji. Politycy KMT mówią to, co wszyscy na Tajwanie: utrzymanie status quo. W ich przypadku poprzez dialog z Pekinem.

Pod koniec listopada okazało się jednak, że opozycja na Tajwanie nie dogadała się w sprawie wystawienia jednego kandydata, przez co szanse DPP na wygraną znacząco wzrosły. Jeżeli wybór kandydata KMT oznaczałby zmniejszenie ryzyka wojny niemal do zera, to co będzie oznaczała kolejna kadencja polityka DPP?

Ryzyko konfrontacji zbrojnej wzrośnie, ale taki scenariusz też absolutnie nie oznacza pewnej wojny. Wariant ukraiński nie jest atrakcyjny ani dla Pekinu, ani dla Tajpej. Nie da się jednak wykluczyć, że konflikt może wybuchnąć w sposób nieprzewidywalny. W Cieśninie Tajwańskiej roi się od łodzi, kutrów czy statków. Zwykła morska „sprzeczka", po której z jednej strony będzie kuter rybacki, a po drugiej łódź patrolowa, może się skończyć niekontrolowaną eskalacją. Tak samo może się zakończyć nawet drobny incydent w powietrzu.

Na ile sensowne są dziś rozważania, czy Tajwańczycy zgodziliby się na wchłonięcie przez Chiny, skoro po sąsiedzku mają przykład Hongkongu? Ten specjalny region miał być przez 50 lat oazą wolności, a przecież w 2019 r. Pekin w brutalny sposób ograniczył niezależność Hongkongu.

Spacyfikowanie oporu mieszkańców Hongkongu początkowo rzeczywiście mocno wpłynęło na nastroje na Tajwanie. Ustępująca prezydent Tsai Ing-wen i cała DPP dołowały w 2019 r. w sondażach. To, co mieszkańcy wyspy zobaczyli wtedy na ulicach Hongkongu, spowodowało ogromy wzrost poparcia dla DPP. Jednak upływ czasu robi swoje. W Polsce patrzymy na politykę od sondażu do sondażu,

eprasa.pl c557d2be61

a w Chinach te procesy rozpisane są na dziesięciolecia. Już dziś Tajwańczycy powoli zaczynają zapominać o tamtych gorących dniach. Za 10 lat tamte wydarzenia mogą nie wywoływać takich emocji i sytuacja może wyglądać zupełnie inaczej.

Ale przecież 90 proc. Tajwańczyków opowiada się za utrzymaniem status quo. Jak w takiej sytuacji Pekin może planować pokojowe przyłączenie tej wyspy?

Tajwańczycy chcą status quo i różnie je definiując, myślą bardzo pragmatycznie. W przeciwieństwie do zachodnich Europejczyków i Amerykanów, którzy oszaleli na punkcie biznesu z Chinami i zwrotów, jakie dawał dostęp do chińskiego rynku, nie dali się zwariować. Czerpią korzyści z robienia biznesu z kontynentem, wykorzystują swój specjalny status, ale chcą też zachować azyl na swojej wyspie, gdzie mogą się rządzić po swojemu.

Po ograniczeniu autonomii Hongkongu Pekin wzbudził jednak niepokój także u umiarkowanych Tajwańczyków. Ale – jak to bywa w demokracji – wydarzenia sprzed kilku lat powoli zacierają się w pamięci. A gra o pokojowe zjednoczenie się nie kończy. ChRL cały czas do tego dąży, bo to historyczny cel, którego nie zmienią jeden sondaż czy drugi, a nawet kolejne rozdania polityczne na wyspie.

Czy jednym z czynników ryzyka nie są ambicje samego Xi Jinpinga? Widać, że obecny prezydent ChRL jest politykiem o dużo większym ego niż jego poprzednicy. Czy Xi nie będzie chciał przypadkiem za wszelką cenę przejść do historii jako ten, który zjednoczył Chiny?

Patrzyłbym na ten problem mniej personalnie, a bardziej strukturalnie. Faktycznie Xi jest bardziej ambitny od swoich poprzedników, ale żeby dostać się na czerwony tron w Pekinie, obecny przewodniczący najpierw był powiatowym sekretarzem partii, potem wiceburmistrzem, burmistrzem, szefem prowincji, kierownikiem komitetu olimpijskiego, członkiem biura politycznego, gdzie przygotowywał się do przejęcia najwyższej władzy, wiceprezydentem i wreszcie przewodniczącym. A gdy już wszedł na szczyt, pozbył się konkurentów.

Ktoś kto, tak jak Xi, przeszedł przez te wszystkie szczeble drabiny potrafi kalkulować bardzo chłodno i z pewnością unie panować nad emocjami. To nie jest bohater z reality lub talent show wyniesiony na szczyt. Wątpię, żeby Xi Jinping nie chciał przejść do historii jako człowiek, który zjednoczył Chiny, ale też wątpię, żeby chciał tego dokonać, nie licząc się z kosztami.

Jeżeli dostrzeże taką szansę, to zapewne będzie chciał ją wykorzystać, ale jeżeli jego kalkulacje będą pokazywały, że nie ma na to odpowiednio dużych szans, to według mnie nie będzie wykonywał podyktowanych ambicją desperackich ruchów.

Xi przeszedł w drodze na tron kilkadziesiąt prób, które na pewno wyeliminowałyby go z gry, gdyby był zbyt emocjonalny. Dlatego uważam, że powody personalne nie będą w kwestii Tajwanu odgrywały większej roli. Kluczowe są siły strukturalne, które w pewnych okolicznościach mogą popchnąć Pekin do wojny.

Chińczycy i Amerykanie czekają teraz na rozstrzygnięcie wyborcze na Tajwanie

Jakie to mogą być okoliczności?

Choćby pogłębianie się kryzysu gospodarczego. To trochę zabawne, bo Chiny zapewne skończą ten rok z pięcioprocentowym wzrostem PKB, a dwa spośród siedmiu samochodów nominowanych do przyznawanej od 1964 r. nagrody Europejskiego Samochodu Roku to właśnie auta z ChRL. Podkreślam – w Europie!

Chiny przechodzą teraz bardzo ważną transformację. Widzimy, że chiński sektor deweloperski przeżywa potężne kłopoty. A wytwarza aż 30 proc. chińskiego PKB, co jest wartością nieporównywalnie dużą w stosunku do innych państw ze światowej czołówki. Dodatkowo Chiny notują niepokojąco duże bezrobocie wśród młodych obywateli w dużych miastach. Gdyby równolegle Amerykanie zaznaczyli na wyspie i wokół niej swoją obecność, gdyby doszło do powtórki wizyty Nancy Pelosi, to Pekin mógłby uznać, że konflikt zewnętrzny może się zacząć opłacać. Joe Biden zasugerował zresztą, że wraz z piętrzącymi się wyzwaniami w Chinach ryzyko konfliktu rośnie. To znany mechanizm – w przypadku dużych problemów wewnętrznych państwo angażuje uwagę społeczeństwa na zewnątrz. Jak widać, w grze o Tajwan jest bardzo wiele czynników, a jeden z ważniejszych da znać o sobie już w styczniu, gdy poznamy zwycięzcę wyborów prezydenckich na wyspie.

Niedawne spotkanie Xi-Biden w San Francisco uspokoiło Tajwańczyków?

Na pewno było ono obserwowane przez wszystkich z wielkim zainteresowaniem, szczególnie na wyspie. Stosunki Waszyngton – Pekin, kluczowe dla Tajwanu, są sinusoidą. Amerykanie i Chińczycy się kłócą, spierają, nakładają na siebie sankcje, potem siadają do stołu, następnie pojawia się jakiś balon uznany za szpiegowski i mamy do czynienia z zaostrzeniem, a potem znów odprężeniem. I właśnie coś takiego widzieliśmy w San Francisco – oba mocarstwa załagodziły na pewien czas konflikt. W USA rozpoczyna się właśnie kampania wyborcza, a w czasie kampanii Biały Dom ma zazwyczaj ograniczone pole manewru. Ameryka raczej nie będzie teraz prowadzić ostrej polityki wobec Chin. To jednak może z drugiej strony zachęcić Chińczyków do wywierania presji. Obie strony czekają na rozstrzygnięcie wyborcze na Tajwanie.

Tajwan sam siebie przedstawia jako jeżozwierza, który jest naszpikowany rakietami i innym sprzętem wojskowym, aby odstraszyć tymi „igłami" przeciwnika z kontynentu. Czy Tajwan to dalekowschodni Izrael?

W pewnych aspektach na pewno tak. Jestem pod wrażeniem tego, jak działają Tajwańczycy. Od dekad przygotowują się na każdą ewentualność i są w tym świetnie wyćwiczeni. Ich organizację doskonale było widać w czasie pandemii, gdy każdy wiedział, jak się zachować.

Gdy studiowałem na Tajwanie, z uznaniem obserwowałem, jak to społeczeństwo przez cały czas ćwiczy, opracowuje reakcje na różne zagrożenia. Trzęsienia ziemi, tajfuny, ciągłe geopolityczne zagrożenie i możliwość wybuchu wojny – zwykli ludzie są tam cały czas przygotowywani na najgorsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Radosław Pyffel *– znawca polityki międzynarodowej i Azji, ekspert Instytutu Sobieskiego.*

eprasa.pl c557d2be61

TANI PARKING

WYGODNY DOJAZD

DARMOWY BUS

CIAO RADOM, CIAO RZYM

LOTNISKO WARSZAWA-RADOM

KOMFORT NA STARCIE

LEĆ NA NEKERA.PL

NEKERA

eprasa.pl c557d

Kredytowa pułapka

Łukasz Zboralski

Rząd PiS tak pomagał młodym Polakom w zakupie mieszkań, że jeszcze trudniej im je kupić. Czy „Bezpieczny kredyt 2 proc." trzeba zlikwidować?

Mieszkań jest za mało i m.in. dlatego są drogie. To w Polsce wiemy od dawna. Deweloperzy mogą dyktować ceny, bo ludzie gdzieś mieszkać muszą – biorą więc nawet gigantyczne kredyty na dziesięciolecia.

PiS miał ambicje, by z tym coś zrobić. Po pierwsze, prezydent Andrzej Duda, wywodzący się z obozu prawicy, szedł do wyborów w 2015 r. z obietnicą pomocy Polakom naciągniętym przez banki na w niespłacalne „kredyty" frankowe. Po latach w wywiadach przyznał, że nie zrealizował swojej obietnicy. Nikogo to już jednak wówczas nie obchodziło.

Ostatecznie bowiem to rodacy sami przez dekadę upominali się o sprawiedliwość, aż dotarli do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który stwierdził, iż banki nie mogły pod nazwą kredytu sprzedawać dziwnych produktów finansowych. I to dopiero otworzyło drogę do rozwiązania spraw wielu rodzin przed polskimi sądami.

Rząd PiS miał też inny plan. Zamierzał zaoferować Polakom – tym mniej zarabiającym, których nie stać na zakup nieruchomości – tanie domy z drewna. Lasy Państwowe mogły dać nie tylko surowiec, lecz także przekazać tereny pod tanie budownictwo. Tak włączyłyby się w program „Mieszkanie+". Rocznie powstawać miało 100 tys. takich lokali. Wydawało się to proste. Powstała specjalna spółka Polskie Domy Drewniane, ale nie weszły do niej Lasy Państwowe. W spółce udziałowcami zostały Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, a także Bank Ochrony Środowiska. Nakłady sięgały setek milionów złotych rocznie.

Polskim Domom Drewnianym udało się to samo co prezydentowi, czyli nic. Senator KO Krzysztof Brejza w wakacje ujawnił na portalu X odpowiedź na pytania, które zadał. Państwowa spółka się przyznała, że udało się jej wybudować… 31 domów z drewna.

Latem tego roku NIK przedstawił raport z kontroli spółki. Koszty spółki w kontrolowanym czasie sięgnęły blisko 83 mln zł. Wpływy mizerne (w 2021 r. 2,9 tys. zł zamiast zakładanych 18,8 mln zł, a w pierwszym półroczu 2022 r. 61,3 tys. zł). Od 5 marca 2019 r. do 30 czerwca 2022 r. spółka wykazała łączną stratę w wysokości 16,4 mln zł.

TANI KREDYT…

Rząd Zjednoczonej Prawicy się nie poddawał. Ostatni pomysł był jeszcze prostszy niż poprzednie – po prostu dać ludziom pieniądze na zakup mieszkań. Oczywiście

eprasa.pl c557d2be61

Po uruchomieniu rządowego „Bezpiecznego kredytu 2 proc." średnie ceny mieszkań w Trójmieście wzrosły w niecały rok o 21 proc. FOT. ADOBE STOCK

nie tak wprost, ale w postaci dużych dopłat do kredytów mieszkaniowych.

Polakom zaoferowano „Bezpieczny kredyt 2 proc.". Może go dostać osoba mająca nie więcej niż 45 lat, pod warunkiem że nie miała wcześniej mieszkania, domu czy spółdzielczego prawa do lokalu mieszkalnego. Do takiego kredytu – limit kwoty to 500 tys. zł na jedną osobę lub 600 tys. zł w przypadku małżeństwa – państwo przez 10 lat dopłaca różnicę między stałą stopą, w oparciu o średnie oprocentowanie kredytu w banku, a oprocentowaniem kredytu ze stopą 2 proc. Przez pierwszą dekadę takich kredytów raty są malejące, a państwo dopłaca z kieszeni podatników – prawie połowę dużej raty. Potem rata spłacana samodzielnie przez kredytobiorcę jest już stała.

Do tej pory blisko 41 tys. Polaków skorzystało z takiej okazji. Według informacji Związku Banków Polskich łączna wartość takich kredytów sięgnęła 16,55 mld zł. To czterokrotnie więcej, niż zakładały założenia rządowe. W dodatku takich umów przybywa na ok. miliarda złotych tygodniowo.

Można by więc uznać, że to sukces. Gdyby nie to, że po kredyty ruszyli niekoniecznie ci, których na mieszkania nie było stać. „Ten kredyt jest silnym impulsem popytowym i trzeba się zastanowić, czy jest sprawiedliwe społecznie, aby ten program funkcjonował dalej bez limitów dochodowych. Dane pokazują, że zdolność kredytowa osób, które ubiegają się o ten kredyt, jest większa niż tych, które starają się o zwykłe kredyty hipoteczne" – mówiła podczas niedawnej debaty w ramach Platformy Mieszkaniowej (jednym z jej założycieli jest Polski Związek Firm Deweloperskich).

Wiadomo też – m.in. z analizy PKO BP – że najczęściej po te kredyty sięgają single. 84 proc. takich kredytobiorców stanowią osoby młode, dopiero wchodzące w dorosłość (20–34 lata). Liczna jest grupa 25–29-latków (45 proc.). Udział wniosków panien i kawalerów jest prawie trzykrotnie wyższy niż w przypadku innych kredytów mieszkaniowych.

... DROŻSZE MIESZKANIA

Tak wielki popyt na rządowe dopłaty do kredytów powoduje, że program dopłat może zostać wyczerpany już w styczniu przyszłego roku.

„Obecnie wykorzystanie budżetu wynosi 745 mln zł, podczas gdy cały budżet to jest 941 mln zł. Średnia kwota dopłaty – liczona na podstawie już udzielonych wniosków – sięga przeszło 18 tys. zł, tyle wynosi dopłata z budżetu. Budżet programu może zostać wyczerpany, ponieważ jednak w tym roku nie ma limitów, [...] decyzja o wstrzymaniu udzielania kredytów w ramach programu może zostać podjęta na początku przyszłego roku" – oceniła w ubiegłym tygodniu wiceprezes Związku Banków Polskich, Agnieszka Wachnicka.

Cytowany przez RMF FM Jacek Furga z ZBP dodawał: „Zakładamy, że na koniec 2023 r. zostanie udzielonych prawie 160 tys. umów kredytowych, w tym ok. 65 tys. umów »Bezpiecznego kredytu 2 proc«. Łącznie wartość udzielonych kredytów może sięgnąć ponad 60 mld zł, czyli 61 mld zł lub 62 mld zł".

Paradoksalnie to, że program tanich kredytów się zakończy, nie jest wcale złą wiadomością. Bo o ile budowa rządowych, tanich mieszkań mogła wpłynąć na rynek korzystnie, o tyle dopływ kredytów, do których dopłacają podatnicy, spowodował, że mieszkań ubyło. A w związku z tym wolny rynek zareagował tak, jak reaguje – gigantyczną podwyżką cen.

„Rzeczpospolita" podała dane opracowane przez RynekPierwotny.pl. Są zatrważające. Od pierwszych bowiem zapowiedzi rządowego programu dopłat cena za metr kwadratowy mieszkania w stolicy zwiększyła się już o 18 proc. Wcześniej trzeba było zapłacić średnio 13 634 zł, a obecnie aż 16 042 zł. Nie trzeba było roku, by 50-metrowe mieszkanie, oferowane przez deweloperów w Warszawie średnio za niecałe 682 tys. zł, kosztowało już ponad 800 tys. zł.

Jeszcze mocniej ceny mieszkań poszybowały w Trójmieście – wzrost średniej ceny za metr kwadratowy o 21 proc. (z 11 794 zł do 14 288 zł) oraz w Krakowie – wzrost średniej ceny za metr kwadratowy o 23 proc. (z 12 545 zł do 15 478 zł). Oznacza to, że 50-metrowe mieszkanie w Trójmieście nie kosztuje już mniej niż 600 tys. zł, ale więcej niż 700 tys. zł. Z kolei w Krakowie nie da się kupić takiego lokalu za średnio 627 tys. zł, tylko wydać trzeba już blisko 800 tys. zł.

To oznacza, że Polacy, których często nie było już stać na zakup własnego lokalu, mają jeszcze mniej szans na jego zdobycie. I może być tylko gorzej.

„Jeżeli program [„Bezpieczny Kredyt 2 proc." – przyp. red.] zostanie zakończony, bo środki na 2024 r. się wyczerpią, należy spodziewać się korekty cen mieszkań o 5–8 proc." – powiedziała Katarzyna Kurkowska-Szczechowicz, prezes PKO Banku Hipotecznego, podczas Kongresu Bankowości Detalicznej. Zaznaczyła też, że gdy system rządowych dopłat do kredytów zostanie utrzymany, należy się spodziewać dalszego wzrostu cen mieszkań w kolejnym roku. Niewielkim pocieszeniem jest to, że ten wzrost cen prawdopodobnie nie byłby już tak gwałtowny jak w tym roku.

Pytaniem otwartym jest, co z rządowym programem kredytowych dopłat zrobi kolejny rząd, który sformuje opozycja. Czy wprowadzi korektę – czyli kryterium dochodowe dla osób mogących ubiegać się o taki kredyt? Czy całkowicie zlikwiduje rządowe dopłaty? Czy może przedstawi inny plan, który nie zakończy się taką katastrofą jak nagły wzrost cen mieszkań?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Będzie lepiej! Będzie lepiej?

Muszę przyznać, że nawet lubię sobie od czasu do czasu – u progu rządów kolejnej, nowej ekipy politycznej (nawet jeśli jest ona ekipą nową-starą, co powinno zapalać ostrzegawcze lampki w głowach publicystów) – poczytać te wszystkie apele czy wręcz zapewnienia, że teraz to już „na pewno" i „naprawdę" „będzie lepiej".

No i właśnie na taki długaśny tekst natrafiłem ostatnio w jednej z – podobno – poważnych gazet. I dowiedziałem się z niego, że za rządów nowej koalicji jej autor spodziewa się szybkiej konsolidacji finansów publicznych oraz pełnej przejrzystości budżetu i likwidacji „partyjnych" funduszy. A spodziewa się, ponieważ obywatele zasługują na to, żeby wiedzieć, jak się wydaje ich pieniądze. No oczywiście, że zasługują, zawsze zasługiwali. Ale czy kiedykolwiek im to ułatwiano? Nawet jeśli ostatnimi laty utrudniano im to rzeczywiście mocno, to czy kiedykolwiek wcześniej jakoś nadzwyczajnie ułatwiano?

Lecz to oczywiście nie wszystko, bo autor artykułu spodziewa się także „natychmiastowego odpolitycznienia" wszystkich spółek Skarbu Państwa (SSP), czyli apolitycznych menedżerów w ich zarządach i radach nadzorczych, najlepiej wyłanianych w drodze bezstronnych konkursów. A jak wiadomo, poza ostatnimi ośmioma latami takie właśnie podejście do zarządzania SSP było w Polsce standardem – nigdy wcześniej bowiem politycy na ich czele nie umieszczali swoich totumfackich, zawsze tylko najlepszych z najlepszych fachowców, którzy na fotele w zarządach i radach nadzorczych byli wyłaniani przez niezależne od polityków systemy rekrutacji. A opowieści o „Staszku (Dobrzańskim)", który „chciał się sprawdzić w biznesie", to czarna legenda, za której pomocą chce się dziś „demokratycznym politykom" dorobić gębę.

Do tego autor tekstu dorzuca oczywisty postulat, by państwo przestało być zarządzane w sposób silosowy, czyli by rząd przestał być federacją ministerstw, a stał się wreszcie spójną całością.

I tak dalej, i tym podobne, bo postulatów i dobrych rad dla nowego rządu w tym i jemu podobnych tekstach ich autorzy zgłaszają bez liku. Ufni, że teraz to już „na pewno" i „naprawdę" się uda, bo przecież politycy, którzy obalili rządy PiS, obalą też porządek PiS, czyli – odwrotnie niż politycy PiS – rządzić będą zgodnie, bez kłótni, kierując się w swej pracy dla Polski wyłącznie jej dobrem, a na prywatę, czyli np. ciepłe świetnie płatne posadki w SSP dla koleżków i dla samych siebie, miejsca już nigdy nie będzie. Bo przecież teraz musi być lepiej, skoro zawsze wcześniej – czytaj: przed ciemną nocą rządów PiS – było lepiej; dużo lepiej.

Naprawdę zawsze wcześniej było dużo lepiej? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Reality szoł na Wiejskiej

Ostatnio mam tak, że mógłbym właściwie przez cały czas tylko brać swoje stare teksty, wklejać i dopisywać: „A nie mówiłem?". Tutaj np. mógłby się pojawić jeden z moich tekstów poświęconych komisji do spraw rosyjskich wpływów, w których ostrzegałem, że ten twór, pogwałcający zasady państwa prawa i tworzący swego rodzaju sąd kapturowy, może zostać przejęty przez do niedawna opozycję.

Jest gigantyczna różnica między chłodną oceną istniejącego przecież zagrożenia ze strony Rosji a tym dziecinnym współzawodnictwem o to, kto głośniej powie, że „Putin jest gupi"

Na razie mieliśmy pierwszy etap: znaczącą większością zostali odwołani wszyscy członkowie komisji. Trudno przy tym zrozumieć, dlaczego w pierwszym kroku nowa większość nie spróbowała komisji po prostu zlikwidować. Można zakładać, że weto pana prezydenta nie byłoby tu oczywiste, skoro alternatywą jest być może powołanie nowych członków, którzy przed komisję zaproszą Antoniego Macierewicza, Mateusza Morawieckiego i Jarosława Kaczyńskiego. Formalnie rzecz biorąc, Sejm nie musi nic dalej robić. Ustawa o komisji nie zawiera bowiem terminu, w jakim w razie odwołania członka komisji na jego miejsce ma być powołany nowy.

Ile szkody polskiej polityce i życiu publicznemu narobiła natomiast sama bzdurna licytacja na antyrosyjskość, widać było w czasie posiedzenia Sejmu. Amok i teatralna, a momentami autentyczna awantura o to, kto częściej stał obok Putina czy Ławrowa, przerzucanie się zdjęciami, pokrzykiwanie na siebie. Ten żenujący cyrk na YouTube ogląda coraz więcej osób – pewnie na takiej samej zasadzie, jak oglądają kolejny reality szoł, w którym nagi człowiek na Antarktydzie, stojąc na głowie, ma się skutecznie oświadczyć pingwinowi i zbudować z nim igloo.

Jest gigantyczna różnica między chłodną oceną istniejącego przecież zagrożenia ze strony Rosji oraz stosunku tego państwa do Polski a tym dziecinnym współzawodnictwem o to, kto głośniej powie, że „Putin jest gupi". A jeśli kogoś ta farsa od początku – od momentu powołania komisji – cieszy, to właśnie głównego lokatora Kremla. Który, wbrew setkom „bardzo wiarygodnych informacji" o swojej nieuchronnej śmierci, najwyraźniej czuje się wyśmienicie. ©℗

eprasa.pl c557d2be61

Wskaż dzieciom drogę do Boga z wartościową i inspirującą książką!

55zł

80 str., 22 x 25 cm,
twarda oprawa

29zł

96 str., 23 x 27 cm,
twarda oprawa
Cena ~~49 zł~~

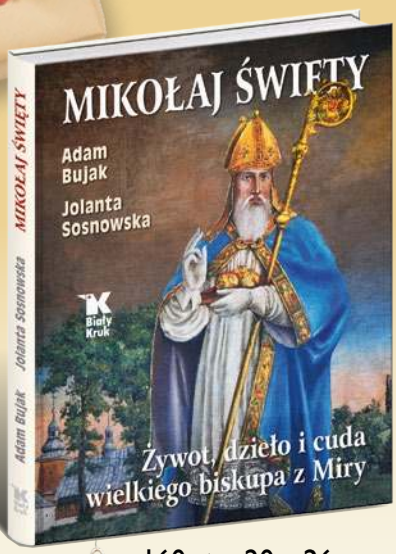

40zł

160 str., 20 x 26 cm,
twarda oprawa
Cena ~~79 zł~~

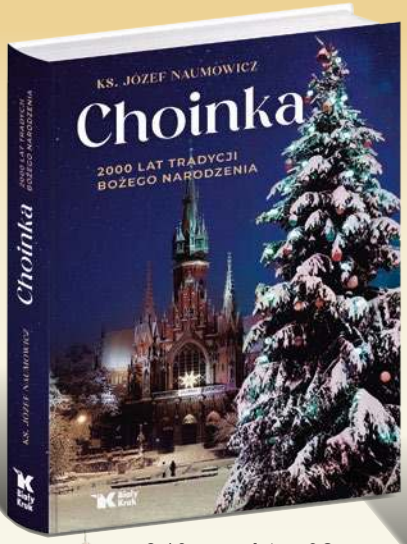

45zł

240 str., 16 x 23 cm,
twarda oprawa
Cena ~~59 zł~~

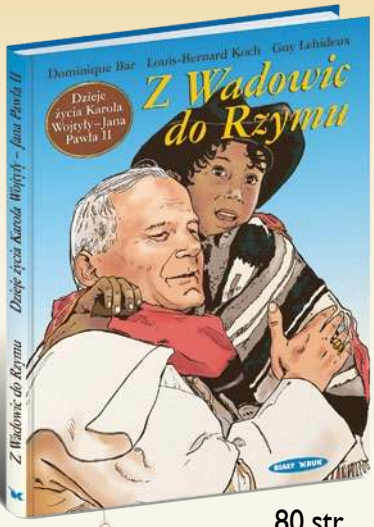

39zł

80 str.,
22,5 x 28,5 cm,
twarda oprawa

ZAMÓWIENIA: Biały Kruk Sp. z o.o.,
ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków,
tel.: 12/260 32 90, 12/254 56 19,
e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl, www.bialykruk.pl
Przy zamówieniu na kwotę powyżej 200 zł
koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

www.bialykruk.pl

Zadzwoń, zapytaj o rabaty!

eprasa.pl c557d2be61

Z Adamem Małyszem, skoczkiem narciarskim, prezesem Polskiego Związku Narciarskiego
rozmawia Łukasz Majchrzyk

Na trzech skoczniach w Polsce

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Kiedyś był taki wierszyk: „My się zimy nie boimy". Teraz tej zimy coraz mniej i bywa, że skaczecie przy jesienno-wiosennej pogodzie.

ADAM MAŁYSZ: My czekamy na zimę z utęsknieniem. Wiadomo, że sporty zimowe potrzebują śniegu, bo to od razu lepiej wygląda w telewizji i przyjemniej się startuje. Jednak nawet bardziej potrzebny jest mróz niż śnieg. Jeśli nie napada go odpowiednio dużo, to armatki utworzą pokrywę i można będzie rozgrywać zawody.

Sezon rozpoczyna się dość wcześnie. Może trzeba trochę zmian w kalendarzu?

Chyba nikt we władzach Światowej Federacji Narciarskiej (FIS) na to nie patrzy. Idzie to siłą przyzwyczajenia, na zasadzie: „co będzie, to będzie". W zeszłym roku mieliśmy prolog Pucharu Świata w Wiśle, gdzie rozegraliśmy zawody, można powiedzieć – hybrydowe. Zawodnicy rozpędzali się na torze lodowym, a lądowali na igielicie. Zobaczymy, jak to będzie teraz wyglądało. Na razie to ten sezon jest ułożony tak jak wcześniej, z tą różnicą, że zaczęliśmy w Kuusamo. Niektórzy jeszcze wcześniej zaczęli sezon. Spójrzmy na alpejczyków – za Maryną Gąsienicą-Daniel już pierwsze zawody Pucharu Świata. Sezon się przez to bardzo mocno rozciąga w czasie.

A kiedy skoki zawitają do Polski?

Mamy swój polski czas w styczniu, kiedy konkursy będą gościły trzy

eprasa.pl c557d2be61

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

miasta: Szczyrk, Wisła i Zakopane. Dla nas ta pora jest lepsza ze względu na pogodę. W styczniu w Polsce prędzej można spodziewać się mrozów niż w listopadzie. Kiedy przychodzi ta prawdziwa zima, to atmosfera pod skocznią od razu jest inna.

Zawodnicy też lubią, jak trochę mróz szczypie w policzki?

Większość lubi takie warunki, ale ja akurat wolę, kiedy jest ciepło.

Wróćmy do konkursów w Polsce. Trzy miasta, trzy skocznie. Długo musieliście o to zabiegać?

Takie plany były już wcześniej, jeszcze za rządów poprzedniego dyrektora Pucharu Świata. Walter Hofer chciał, żeby konkursy stawały się pewnymi cyklami, turniejami, a nie występowały w kalendarzu pojedynczo. Potem ta idea gdzieś się rozmyła, choć w Planicy i Willingen odbywało się po kilka konkursów, a w Norwegii mieliśmy nowy cykl Raw Air, podobny do Turnieju Czterech Skoczni. Wydaje się, jakby skoki miały iść właśnie w tę stronę. My też próbujemy się w to wpasować, na razie mamy jednorazową decyzję o konkursach w Wiśle, Szczyrku i Zakopanem, bo oprócz mistrzostw świata w lotach nie ma wielkich imprez i kalendarz jest luźniejszy. Musimy dobrze wypaść, żeby FIS był skłonny nam dać takie terminy również w następnych latach.

Można by to ładnie sprzedać marketingowo.

Można taki cykl ładnie opakować, jest to też bardziej prestiżowe dla samych zawodników i kibiców. Walczy się nie tylko o punkty Pucharu Świata, lecz także o dodatkowe trofeum.

Sezon zaczął się pod koniec listopada, a trener Thomas Thurnbichler dość wcześnie ogłosił skład reprezentacji. Nie za szybko?

Zawodnicy mieli już za sobą zgrupowania, oddawali skoki na torach lodowych, trenowali w Zakopanem, Szczyrku. Thomas ma rozeznanie i zaczyna sezon z tymi, którzy w kadrze są najlepiej przygotowani. To się oczywiście może zmienić w trakcie sezonu.

W składzie są dobrze znane nazwiska, na czele z Kamilem Stochem, Dawidem Kubackim i Piotrem Żyłą. Nie martwi pana to, że brakuje młodych wilków?

Wiemy, że nasi najbardziej utytułowani zawodnicy nie będą wiecznie skakać i kiedyś powiedzą, że chcą odejść na sportowe emerytury. Trener Thurnbichler ma pracować tak, żeby ci najlepsi odnosili jak największe sukcesy, ale ma też podnieść poziom sportowy u młodszych skoczków. On to ma z tyłu głowy i pracuje tak, żeby te dwa cele osiągnąć.

Z kadrą trenował utalentowany Kacper Juroszek. Gdyby nie zmniejszenie liczby zawodników, których Polska może wystawić, to zostałby w gronie najlepszych?

Myślę, że tak by się stało. Pamiętajmy, że zima dopiero się zaczyna i zmiany w składzie mogą mieć miejsce. Działamy tak, żeby przejścia między reprezentacjami odbywały się płynnie. Na wniosek Thomasa kadra B wykonuje podobne treningi jak jego zawodnicy. Thomas jest zwierzchnikiem szkoleniowca kadry B Davida Jiroutka, ma też kontrolę nad drużynami juniorskimi, bo chce wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za rozwój skoków w Polsce. Długo trwały rozmowy, czy faktycznie zatrudniać czeskiego szkoleniowca w PZN, ale przychyliliśmy się do wniosku Thomasa, który stwierdził, że się dobrze dogadują, a David mu się podporządkuje. Poza tym trener kadry B ma bardzo dobry warsztat. Odnosił sukcesy we Francji z juniorami, dobrze pracował z kadrą Włoch.

> **Musimy dobrze wypaść, żeby FIS był skłonny dać nam takie terminy również w następnych latach**

Mamy sukcesy w kategoriach juniorskich, a potem ci zawodnicy giną. Włosi, Słoweńcy czy Austriacy ciągle wprowadzają do gry młode gwiazdy.

Tu jest na pewno duży problem. Często młodzi skaczą fajnie, ale potem pojawiają się poważniejsze starty, eliminacje do konkursów i to wszystko znika, jakby nożem uciął. Może zawodzi ich psychika? Niedawno wprowadziliśmy inny system pracy wśród juniorów, bo przenieśliśmy szkolenie do Szkół Mistrzostwa Sportowego. Mamy nadzieję, że to zwiększy rywalizację wśród młodszych skoczków. Teraz każdy zawodnik ma szansę, żeby się kwalifikować na zawody. I już widzimy efekty, bo w kręgu zainteresowań trenerów reprezentacji pojawiają się nazwiska, które miały mniejsze szanse, a dziś mogą zawalczyć o swoje marzenia. To zaprocentuje w przyszłości, bo rywalizacja wśród juniorów jest dobra. Już nie jest tak, że jesteś w kadrze, to ci się „należy" miejsce na zawodach. Jeśli się

eprasa.pl c557d2be61

zdarzy, że jakiś nowy zawodnik będzie w lepszej formie, a nie kadrowicz, to on pojedzie. Wszystko spina i nadzoruje Daniel Kwiatkowski, który współpracuje z trenerami szkolnymi. Oni przekazują informacje, jeśli nie będzie można zrobić bezpośrednich kwalifikacji.

Za pana czasów każdy chciał być Adamem Małyszem, potem Kamilem Stochem. Teraz też chętnych nie brakuje?

W mistrzostwach Polski, które w tym roku odbyły się w Szczyrku, wystąpiło przeszło 80 zawodników w zawodach indywidualnych, mieliśmy też 17 drużyn w konkursie. Jeszcze czegoś takiego nie było w historii naszych skoków. Nie jest źle, patrząc na liczbę osób uprawiających skoki narciarskie. Na pewno czołówka się wyróżniała poziomem, ale jeśli jest dużo trenujących, to z tej liczby na pewno ktoś się wybije. Trzeba tylko wierzyć i pracować.

Dla dzieci jest puchar sponsorowany przez Orlen. Wydaje się, że niczego nie brakuje.

Takie zawody mają służyć temu, żeby pojawiał się – jak to się ładnie mówi – nowy narybek, żeby dzieci chciały uprawiać zimowe dyscypliny sportu. Takie programy mamy nie tylko w skokach. W biegach narciarskich jest Puchar Grupy Azoty. W narciarstwie alpejskim i snowboardzie pracujemy w ramach programu PolSKI Mistrz, wspieranego przez Polski Fundusz Rozwoju i Polskie Koleje Linowe.

Na sukcesy w narciarstwie alpejskim czekamy. Trenują najbogatsi, niekoniecznie najbardziej utalentowani, z małych miejscowości podgórskich. Chyba tacy najczęściej odnoszą sukcesy?

Różnie z tym bywa w narciarstwie alpejskim. Ci, którzy mają pieniądze, zawsze dadzą radę. Chcemy pomóc biedniejszym, stąd szkolimy dzieci w szkołach mistrzostwa sportowego. Dzięki temu każdy, kto ma talent i odpowiednie warunki, może pojechać na zgrupowanie, a nie tylko ci, których na to stać. W Polsce chyba jesteśmy za mocno zafiksowani na tym, żeby jak najszybciej jeździć z dziećmi na lodowce. Powstaje sporo ośrodków w kraju, w których będzie można trenować. Robimy to we współpracy z PKL. Dzięki temu powstaną stoki i nie trzeba będzie tak często wyjeżdżać. Ci, którzy trenują prywatnie, pewnie dalej będą jeździć i szukać warunków. Tylko że coraz trudniej o to. Lodowce topnieją, jest ich coraz mniej do treningu. Lepiej u siebie szukać.

Rozwiązania, które wdrażałem 20 lat temu, są dziś powielane. Coś się wtedy zapoczątkowało

Gór u nas mniej niż w Austrii lub Szwajcarii.

Trudno oczekiwać, żebyśmy się kiedyś stali taką potęgą w narciarstwie alpejskim, bo nie mamy tak wysokich gór. Raczej można oczekiwać, że będziemy mieli pojedynczych świetnych zawodników. Może Chorwaci mieli szczęście, że trafiło im się rodzeństwo Janica i Ivica Kosteliciów. Cieszymy się z Maryny Gąsienicy-Daniel, która zrobiła duży postęp. Na razie nie mamy nawet kadry mężczyzn, bo nie stać nas na to. Są indywidualni zawodnicy, których rodzice mogą sobie pozwolić na finansowanie pasji dzieci. Ruszyliśmy z pracą od podstaw.

Wróćmy jeszcze do skoków, gdzie możemy się spodziewać sukcesów. FIS ciągle coś zmienia w przepisach.

Jest sporo zamieszania. Nie podoba nam się to, ale my za wiele nie możemy na to poradzić. Staramy się wpływać na decyzje światowych władz, choć raczej musimy dopasowywać się do narzuconych zmian. Jest wiele takich rzeczy, które idą w drugą stronę. Jest za dużo zamieszania. My na to nie mamy wpływu i przełożenia, choć się staramy. Dopasowujemy się do zmian.

Jednym z takich pomysłów jest skanowanie zawodników, żeby dobrze dopasować ich stroje. Już raz byli skanowani, a zanosi się na powtórkę. To może podnosić koszty zakupu nowych kombinezonów.

Myślę, że w trakcie sezonu skoczkowie jeszcze nie raz będą skanowani, bo cały czas ta procedura jest dopracowywana.

FIS chce też ograniczyć przestrzeń reklamową.

My żyjemy dzięki sponsorom, bo pieniądze z Ministerstwa Sportu nie wystarczą, potrzebne jest wsparcie wielu firm. Okrajanie powierzchni reklamowej jest bardzo ciężkie dla związków, bo za tym pójdą cięcia w przekazywanych środkach. To się odbije na federacjach. Nagrody w zawodach nie zostaną zmniejszone, ale na tym się świat nie kończy.

Na koniec pomówmy o panu. Ciągle słyszę, jak kolejni sportowcy mówią, że najważniejszy jest następny mecz, występ. Brzmi jak pana powiedzenie o dwóch równych skokach.

Miło się robi, gdy coś takiego słyszę albo czytam. Pewne rozwiązania, które wdrażałem 20 lat temu i których byłem prekursorem, dziś są powielane. To jest bardzo fajne, bo pokazuje, że coś, co wtedy się zapoczątkowało, i dziś komuś się może przydać.

Wielu sportowców dziś otwarcie mówi, że pracuje z psychologiem. Pan był jednym z pierwszych.

To był problem. Kiedyś społeczeństwo myślało, że to powód do wstydu, słabo rozróżniano nawet między psychologiem a psychiatrą. Dzisiaj to się bardzo zmieniło na plus. Już nie jest postrzegane jako wstydliwe, ale wszyscy rozumieją, że jest potrzebne.

Te wypracowane mechanizmy przydawały się później w życiu?

Wiele rzeczy wykorzystywałem w motosporcie. Psycholog uczy, jak radzić sobie ze stresem i rozwiązywać problemy, ale takie wsparcie mogą też dać dobry trener czy inna osoba, której się możesz wygadać. Psycholog wie, jak zadziałać, zna mechanizmy, jest profesjonalistą, ale i trenerzy mają dostęp do rzetelnej wiedzy. Dzięki Internetowi mogą się dokształcać.

Jest szansa, że jeszcze kiedyś będzie się pan ścigał?

Myślę, że ciężko będzie, choćby ze względu na moje zobowiązania na stanowisku prezesa PZN. Za dużo czasu musiałbym na to poświęcić. Sporty motorowe są przepiękne, ale niewdzięczne, bo kosztują dużo pieniędzy i dużo czasu.

Zbliża się styczeń, a więc czas, kiedy rusza Rajd Dakar. Jest pan na bieżąco?

Lubię śledzić to wydarzenie, tym bardziej gdy jadą tam nasi zawodnicy. Oglądam też Formułę 1. Sporty motorowe są moją pasją.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c557d2be61

Żartobliwy komentarz Macieja Kożuszka do bieżącej polityki oraz wydarzeń z kraju i ze świata na antenie Telewizji Republika. Wieczorny program okraszony jest memami oraz nieszablonowym poczuciem humoru prowadzącego.

REPUBLIKA

CODZIENNIE

PUTINA

od poniedziałku
do czwartku
19:45

RepublikaTV
@RepublikaTV
Telewizja Republika
@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

KIA XCEED
1.6 T-GDI GT LINE

FOT. JAP

Moda na podwyższone auta nie przemija. Przeciwnie: kolejne statystyki pokazują, że Polacy – podobnie jak inni Europejczycy – nadal chętnie kupują SUV-y i crossovery. Na rynku wybór jest tak wielki, że może przyprawić o zawrót głowy, zwłaszcza że wiele aut tak naprawdę różnią głównie detale. Na szczęście są jednak modele, które potrafią pozytywnie zaskoczyć. Jednym z nich jest właśnie Kia XCeed w odświeżonej wersji. Usportowiona, muskularna sylwetka z diodowymi światłami LED, udoskonalona konstrukcją wlotów powietrza, zaczepnym dyfuzorem i 18-calowymi obręczami aluminiowymi, cieszy oko (i to zarówno męskie, jak i kobiece). Wyższy prześwit znacząco ułatwia zaś życie w mieście i poza nim. Umożliwia bowiem podjechanie pod wysokie krawężniki, bezpieczne pokonanie dziur, a także ułatwia dojazd zaśnieżonymi polnymi drogami do leśnej chatki lub relaksującego hotelu pośrodku niczego.

Dynamiczna XCeed, zwłaszcza w testowanej wersji, zwinnie pokonuje zakręty na drogach krajowych i dobrze radzi sobie na autostradach. Pod maską znajduje się bowiem silnik o pojemności 1,6 l i mocy 204 KM. Automatyczna siedmiobiegowa skrzynia pracuje płynnie, umożliwiając błyskawicznie przyspieszanie bez irytujących szarpnięć. Według Koreańczyków średnie zużycie paliwa wynosi 7,1 l/100 km. I jest to wynik możliwy do osiągnięcia. Na drogach krajowych średnie spalenie podczas testu wyniosło 5,9 l/100 km, na drogach ekspresowych 6,8 l/100 km, a na autostradzie 7,5 l/100 km.

Usportowiona „kijanka" jest naszpikowana systemami zwiększającymi bezpieczeństwo. Komputer ostrzega więc przed kolizją czołową, a także gdy ktoś znajduje się w martwych polach lusterek. Elektroniczne systemy monitorują również ruch poprzeczny podczas cofania. Na pokładzie są też hamowanie awaryjne, asystent jazdy po autostradzie oraz funkcja NSCC, która na podstawie danych z nawigacji potrafi automatycznie zwolnić przed zakrętem i wrócić do zadanej prędkości po wyjściu z łuku.

W kabinie na pochwałę zasługują wygodne, dobrze wyprofilowane fotele, dopracowana kierownica, a także duży – 10,25-calowy – ekran dotykowy systemu infotainment, który bez problemów współpracuje ze smartfonami zarówno poprzez Apple CarPlay, jak i Android Auto. Cyfrowe są także zegary za kierownicą. Na szczęście nie wszystko jest cyfrowe: nie brakuje tradycyjnych pokręteł. W kabinie sporo jest też praktycznych schowków. Bagażnik o wielkości 426 l nie jest wielki, ale za to ustawny, po złożeniu foteli pojemność kufra rośnie zaś do 1378 l.

Wady? Przestrzeń nad głową na tylnej kanapie jest ograniczona. Można się też przyczepić do umiejscowienia klawisza „sport", za pomocą którego można nieco utwardzić układ kierowniczy. Koreańczycy umieścili go bowiem obok lewarka, a można było przecież dać go nieco bliżej kierowcy.

Cena? Nowa Kia XCeed z silnikiem 1,5 T-GDI mocy 160 KM i manualną skrzynią kosztuje co najmniej 107,5 tys. zł. Ceny wersji z silnikiem 1,6 T-GDI i automatem zaczynają się od 147,5 tys. zł, a za auto w testowanej wersji GT Line trzeba zapłacić co najmniej 157,5 tys. zł. ©℗

MOTOROLA EDGE 40 NEO

Eleganckie wzornictwo, niezła wydajność, dobry ekran pOLED ze świetnym maksymalnym odświeżaniem na poziomie 144 Hz oraz odporność na kurz i wodę (IP68) – to największe zalety nowego i zaskakująco dobrego średniaka firmy Motorola.

Trzeba przyznać, że w przypadku tego modelu projektanci odrobili lekcję. Na pierwszy rzut oka kosztujący 1899 zł smukły i elegancki smartfon wygląda jak reprezentant dużej droższej klasy premium. Ładny jest też nasycony kolor obudowy (w sprzedaży są zielony i niebieski oraz konserwatywny czarny), które stworzono we współpracy z firmą Pantone. W zestawie znajduje się również etui wykonane ze szwedzkich materiałów roślinnych (to mrugnięcie okiem w stronę ekologów). Ogromną zaletą jest też certyfikat IP68, co oznacza, że smartfon powinien przeżyć nie tylko długie pogawędki podczas ulewy, lecz także przypadkową kąpiel w wannie.

Wąskie ramki otaczają dobry 6,55-calowy ekran pOLED o rozdzielczości 2400 x 1080 pikseli i maksymalnej jasności na poziomie 1300 nitów. Uwagę zwraca maksymalna częstotliwość odświeżania, która wynosi aż 144 Hz. Nieźle jak na średniaka!

A co z wydajnością? Sercem urządzenia jest MediaTek Dimensity 7030 współpracujący z 12 GB pamięci RAM. Taki zestaw w połączeniu z niemal czystym Androidem jest zupełnie wystarczający do codziennego użytku. Aplikacje otwierają się w miarę szybko (chociaż wolniej niż we flagowcach). Nic się nie zacina i nie przywiesza. Można również odpalić gry.

Po stronie plusów zapisać muszę również możliwość szybkiego ładowania ładowarką 68 W (jest w zestawie) oraz dużą baterię o pojemności 5000 mAh, która sprawia, że Motorola Edge 40 Neo powinna wytrzymać kilka godzin intensywnego użytkowania. Żadnych problemów nie sprawiał też podczas testu czytnik linii papilarnych. Testowany model obsługuje 5G, eSIM, NFC, WiFi 6e etc. – słowem wszystko, co potrzeba.

Wady? Telefon został wyposażony w aparat główny (50 Mpix, jasność f/1.8) oraz ultraszerokokątny (13 Mpix, f/2.2). W przypadku głównego aparatu kolory są dobrze odwzorowane, a zdjęcia bogate w szczegóły. Gorzej wyglądają fotografie wykonane aparatem ultraszerokokątnym. Minusem jest też to, że wideo w 4K można nagrywać tylko z prędkością 30 kl./s. Prędkość 60 kl./s jest dostępna tylko w Full HD. Poza tym głośniczki stereo brzmią trochę zbyt płasko, ale biorąc pod uwagę cenę, i tak jest nieźle. Trzeci minus: brakuje slotu na karty microSD. Na szczęście pamięć wewnętrzna wynosi 256 GB, więc dla użytkownika zostaje 229 GB wolnej przestrzeni. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl c557d2be61

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Koniec Polski w Radoszycach

JACEK KOMUDA

Radoszyce znane były z przemysłu hutniczego. Dał mu początek król Kazimierz Wielki. W 1564 r. działało tutaj sześć hut żelaznych. Niestety, w czasach potopu miasto zostało częściowo spalone przez Szwedów i wojska siedmiogrodzkie księcia Rakoczego.

To właśnie tutaj zakończyła się egzystencja ostatnich władz I Rzeczypospolitej, zgasł opór i rozpadły się pozostałości armii w 1794 r. Po przegranej Tadeusza Kościuszki pod Maciejowicami, szturmie i rzezi Pragi 4 listopada zdemoralizowane wojsko polskie wycofało się z Warszawy na południe. Pozostawało przy nim kilku generałów, z ostatnim naczelnikiem Najwyższej Siły Zbrojnej Narodowej, Tomaszem Wawrzeckim. Armia cofała się przez Piaseczno i Tarczyn aż do Nowego Miasta nad Pilicą. Poprzez Odrzywół i Opoczno dotarła do Końskich i Radoszyc. Po drodze odrzucono pomysł gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, aby przebijać się do Francji. Niedobitki osaczone były przez oddziały trzech zaborców. Od zachodu, za Pilicą, stały wojska pruskie gen. Fryderyka von Kleista, w okolicach Radomia operowały siły austriackie Josepha Harnoncourta. Za Polakami postępowały rosyjskie siły Iwana Fersena. Pułki i dywizje topniały na skutek dezercji, wrodzy generałowie wysyłali posłańców, proponując dowódcom wstąpienie w szeregi armii zaborczych. Wawrzecki myślał już tylko o tym, jak uzyskać najkorzystniejsze warunki kapitulacji.

RYS. QBA

W nocy z 13 na 14 listopada doszło do masowych dezercji. W Opocznie uciekł płk Stanisław Mojaczewski. W dalszą drogę ruszyło już tylko ok. 4 tys. jazdy i drugie tyle piechoty. Cały czas padał deszcz, było zimno, żołnierze nigdzie nie mogli dostać chleba. Późnym wieczorem 15 listopada pozostałości wojska dotarły do Radoszyc. Wawrzecki myślał jeszcze o oporze, wysłał mjr. Bielamowskiego do Łopuszna i Małogoszczy, aby przepędzić Prusaków. Jednak rankiem 16 listopada nadjechał z Warszawy gen. Gorzeński z korespondencją od króla, z którym Wawrzecki wymieniał listy, usiłując wymusić poprzez monarchę na Moskwie lepsze warunki kapitulacji. Okazało się to niemożliwe. Kiedy Kozacy i jegrzy zaatakowali z zaskoczenia brygadę Jaźwińskiego, która się poddała, załamany Wawrzecki posłał parlamentariusza do moskiewskiego gen. Denisowa z propozycją rozejmu. Próbował ostatni raz skłonić króla do oporu. W końcu napisał do Suworowa, do Warszawy, list, w którym wyraził zgodę na kapitulację.

16 i 17 listopada w Radoszycach nastąpił ostatni akt dramatu. Kancelaria naczelnika wydawała paszporty oficerom, którzy odchodzili z wojska; niektórych, jak np. płk. Sokolnickiego, awansowano. W tym czasie Dąbrowski, Madaliński i Rymkiewicz z dywizją wielkopolską próbowali przedostać się do Galicji, aby kontynuować opór, ale przestraszony Wawrzecki wezwał ich do powrotu, co nastąpiło dzień później. 18 listopada ostatni żołnierze chcący jeszcze kontynuować walkę wyruszyli drogą do wsi Jakimowice. Nie był to łatwy marsz – wiał wiatr i była zadymka śnieżna, oddziały rozpadały się, rozpraszały. Gdyby w oddziałach był jakiś XVIII-wieczny Hubal, czyli mjr Henryk Dobrzański, mógłby zebrać oddział, ujść w Góry Świętokrzyskie, stawić desperacki opór. Nie znalazł się. Dlatego tutaj przestała istnieć ostatnia siła zbrojna Rzeczypospolitej.

O świcie wkroczył do Radoszyc gen. Denisow. Otoczył miasteczko, jednak dowódcy polscy zebrani w kwaterze Wawrzeckiego nie mieli sił do obrony. Około 8 rano Moskal oznajmił naczelnikowi oraz generałom, że Suworow zaprasza ich do Warszawy. – Czyżbyśmy byli jeńcami? – zapytał Wawrzecki. – Bynajmniej – odpowiedział Denisow – Graf Suworow tylko chce Waćpaństwo poznać.

I to był koniec. Dwa tysiące żołnierzy złożyły broń, część dowódców, jak gen. Rymkiewicz i prezydent Zakrzewski, uszła do Galicji. Z kapitulacją w Radoszycach związana jest też tajemnica. Otóż Wawrzecki wysłał w moskiewskim konwoju do Warszawy ponad 700 tys. zł w asygnatach, pieczęcie Rady Najwyższej Narodowej, archiwum obozowe, hetmańską buławę i inne kosztowności. Nigdy nie dotarły do stolicy – zapewne padły łupem Rosjan. Jednak – jak podaje Tadeusz Korzon – nie wiadomo także, co stało się ze skarbem, który naczelnik zabrał z Warszawy – sztabami złota i srebra o wartości 157 tys. zł. Być może do dziś leżą ukryte gdzieś w miasteczku.

Naczelnik i jego generałowie zostali odstawieni do Warszawy. Jechali w honorowej eskorcie, pozostawiono im też broń białą. Jednak na miejscu Suworow nakazał im podpisać zobowiązanie, że nigdy już nie wystąpią przeciwko Rosji i jej sprzymierzeńcom. Dąbrowski tak uczynił, pozostali protestowali. Wawrzecki skłonił ich do podpisania, sam zaś odmówił, biorąc całą winę na siebie. Został za to wywieziony do Petersburga, gdzie – podobnie jak wcześniej Kościuszkę – oczekiwały go śledztwo i niewola.

©℗

eprasa.pl c557d2be61

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Dzień Ciasta

W zeszłym tygodniu obchodziliśmy Dzień Ciasta i pomyślałyśmy, że to bardzo miłe święto. Bo nie chodzi tylko o „coś słodkiego do kawy", o podniesienie poziomu cukru i o odrobinę przyjemności. Ciasto to relacje. Upiec ciasto to szykować się na spotkanie, to myśleć o kimś – czy będzie smakowało, czy wyrośnie, czy się uda. Zaprosić na ciasto to już trochę tak, jak urządzić małe przyjęcie. Ciasto, kawa, herbata – rozmowa, relacja, przyjaźń. No bo niby rozmawiać można i bez tego, ale z ciastem jednak przyjemniej.

Zwłaszcza teraz, gdy ludzie tak łatwo wpadają w gniew, kłócą się o różne sprawy, trzeba szukać tego, co łączy i pozwala na spokojnie spojrzeć na świat. Dobrze też, gdy powstają takie miejsca, w których przede wszystkim ważne jest spotkanie z drugim człowiekiem, poznanie czyichś poglądów, poszerzenie wiedzy. Byłyśmy niedawno w kawiarence Agere Contra w Warszawie na spotkaniu z fizykiem kwantowym. Spotkania z ciekawymi ludźmi odbywają się tam regularnie. Przy sączących się jazzowych dźwiękach i w aromatach pysznych wypieków poznaje się świat i wszechświat. Spodobało nam się to miejsce i oczywiście postanowiłyśmy wydobyć przepis na jeden z ich pysznych deserów. Oto i on.

Beza pavlova

Składniki: • 4 białka (120–130 g) • 200 g drobnego cukru do wypieków • 1 łyżeczka soku z cytryny • 1 łyżeczka skrobi ziemniaczanej

Do dekoracji:
Krem: • 200 g śmietany kremówki 30- lub 36-procentowej • 100 g mascarpone • łyżeczka cukru z wanilią • świeże owoce

Przygotowanie: Zacznij ubijać białka na średnich obrotach. Rozgrzej piekarnik do 140 st. C. Blachę wyłóż papierem do pieczenia. Stopniowo, partiami, dodawaj do białek cukier. Miksuj masę tak długo, aż cukier się rozpuści (ok. 10 min). Dodaj skrobię i sok z cytryny, wymieszaj do połączenia się składników. Wyłóż masę na przygotowaną blachę, uformuj najpierw koło o średnicy ok. 18 cm, następnie łyżką zrób charakterystyczne dla pavlovej paski.

Wstaw do nagrzanego piekarnika i po 5 min obniż temperaturę do 100 st. C. Susz ok. 2 godz. z termoobiegiem. W trakcie suszenia (po ok. godzinie) zmień funkcję pieczenia piekarnika na termoobieg + grzałka dolna. Dzięki temu spód będzie dobrze wysuszony.

Śmietanę, mascarpone i cukier ubij mikserem do jednolitej masy. Krem od razu wyłóż na wystudzoną bezę. Udekoruj ulubionymi owocami, możesz je również zblendować i polać ją takim gotowym sosem. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Musisz to mieć?

Dostawanie prezentów jest miłe, dawanie chyba jeszcze milsze. To nie znaczy, że proste. Nie dogoniliśmy bogatych krajów w poziomie zamożności, ale i u nas jest coraz więcej takich, „którzy mają wszystko". I jeżeli budżet nie pozwala nam na przystanek w Cartier/Tiffany (lub czymś w tym rodzaju) w celu nabycia kosztownego drobiazgu (jak mawiała niezapomniana Magda Karwowska w „Czterdziestolatku"), to znalezienie dla nich prezentu jest męką. Mają dom w mieście, na wsi, dzieci, wnuki, psy, koty, dzieła sztuki, pianino... Trzebaż więcej?

Drugą kategorią trudnych odbiorców są ci, którzy niczego nie potrzebują. Obojętni wobec konsumizmu, wszystko, co było im potrzebne, nabyli w latach 70. i na tym poprzestali. Uważają, że to, co wyprodukowano po tej dacie, to szajs i tandeta.

W trzeciej grupie znajdują się osoby, którym nie dogodzisz. Tym wprawdzie jeszcze parę rzeczy by się przydało, ale to, co można im podarować, nigdy nie spełni ich wygórowanych wymagań. Nie wiadomo, czym się naprawdę interesują, co czytają, czy w ogóle, jakie mają upodobania.

Wieloletnie doświadczenia z naszej domowej Wigilii – a odbywa się ona w licznym gronie – z uczestnikami od lat 2 do 85, są pouczającą lekcją dotyczącą prezentów. Generalnie im młodsi, tym większa radość z podarunków. Dzieci się cieszą z byle czego, ale

FOT. ADOBE STOCK

nawet jeszcze 30-latkowie są wdzięcznym celem dla prezentodawców. Z zaciekawieniem i niecierpliwością pokonują zwoje sznurka, pudełek i papieru w choinki, żeby wreszcie dostać się do środka. Perfumy, apaszka... Co też tam jest? Grupa „mają wszystko" nie przejawia specjalnego zainteresowania odpakowaniem, czasem nawet odkładają prezent na bok, nie ruszając go – co za afront.

W późnych latach 90., kiedy wybuchał u nas rynek, a kolorowe magazyny upajały się wielością i rozmaitością dóbr, na okładkach pojawiał się napis: „Musisz to mieć" (swetry, aparaty fotograficzne, komórki, narty itp.). Nikt oczywiście nie brał tego na serio. Ale i tak zachęcankę wyśmiano.

Dzisiaj nastroje się odwróciły: nie wypada kupować, a jeśli, to w second-handzie, trzeba recyklingować, odnawiać, być zielonym itp. Żaden redaktor nie ośmieliłby się zachęcać do czegokolwiek. A jednak przed Bożym Narodzeniem z każdego kącika ekranu, z każdej strony gazety wyskakują ludziki w czerwonej czapce, które każą coś kupić. Kupić to, czego nie musimy mieć, oczywiście. I co jest nam całkowicie niepotrzebne. ©℗

eprasa.pl c557d2be61

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Urny w poczekalni

Właśnie przeczytałem, że uroczyście obchodzono 90. rocznicę urodzin kompozytora Krzysztofa Pendereckiego. Wylano wiele pochwał i uznań, szczególnie od oficjeli, ale wypada może – głównie oficjelom – przypomnieć nie tyle o urodzinach, ile o… śmierci słynnego kompozytora. Pechowo zmarł on w marcu 2020 r., zaraz po wszczęciu covidowej paniki. Pechowo, bo przez pandemiczną panikę ujętą w przepisach musiał czekać na swój pogrzeb dwa lata. Tak, tyle minęło od jego śmierci do pogrzebu w krakowskim Panteonie. Urna z jego prochami czekała dwa lata w bazylice krakowskiej, aż mocarny wirus zelżeje, by można się było oficjalnie pożegnać.

Ten przypadek otworzył drzwi do wielu wspomnień. Pełno tego było, a znamy głównie spektakularne przypadki celebrytów, gdyż lud szary miał pewnie o wiele bardziej szokujące przygody, tyle że mniej spektakularne z powodu swej anonimowości. Wiemy więc głównie o celebrytach, a właściwie artystach. Emil Karewicz, fenomenalny Brunner ze „Stawki większej niż życie", musiał czekać trzy miesiące na swój pogrzeb, poeta Zagajewski – miesięcy siedem, aktor Witold Sadowy – sześć. Wiele z tych pogrzebów (Machalica, Sadowy) miało charakter prywatny, to znaczy przyszło parę osób, bo tylko tyle dopuszczały przepisy.

Ja sobie zerknąłem, jak to było. Ezopowe rozporządzenie Ministerstwa Zdrowia tylko „nie zalecało" mycia i okazywania zwłok rodzinom, z czego placówki szpitalne zafundowały sobie – każda na własny rachunek – absolutny zakaz okazywania zwłok rodzinom. Do tego dochodziły zamknięte trumny, ciała w workach i oczywista dezynfekcja trumny. Potem, też po interwencji Rzecznika Praw Obywatelskich (który – jak widać – bardziej troszczył się w COVID-19 o zmarłych niż o żywych), okazało się, że te zakazy nie były legalne, bo ministerstwo tylko sugerowało i zalecało. Tak samo jak „rekomendowało" w COVID-19 procedury medyczne, które z jednej strony traktowane były przez służbę zdrowia jak rozkaz, z drugiej były proceduralnymi maszynkami śmierci.

Lud to wyparł jako zły sen, jak każdą traumę, z którą nie da się żyć na dłuższą metę. Ale od czasu do czasu dobrze, dla psychicznej zdrowotności, przypomnieć sobie, jak to było i na co się godziliśmy.

No i warto też wspomnieć o autorach tych okrucieństw: Gdzież oni? Jeden zniknął (choć ostatnio od swej następczyni dostał rzutem na cmentarną taśmę nagrodę za całokształt), a miał kandydować, drugi pracuje w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Szkoda, że nie w zakładzie pogrzebowym, bo – jak widać – procedury trumienne miał w małym palcu. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Skończyć z patologią

Zbigniew Ziobro w ostatnich dniach urzędowania zaskarżył ustawę o Izbach Lekarskich do Trybunału Konstytucyjnego. Wielokrotnie opisywałem postępowania dyscyplinarne wobec medyków, którzy ośmielili się apelować o dyskusję nad zasadnością wydawanych przez rząd epidemicznych rozporządzeń. Tylko za podpisanie rzetelnie naukowo uzasadnionych apeli do władz RP, kwestionujących politykę wobec COVID-19, wytoczono wobec sygnatariuszy setki postepowań, z czego do dziś procedowanych jest sto kilkadziesiąt.

Działania dyscyplinarne rzeczników odpowiedzialności zawodowej lekarskiego samorządu, a potem postepowania przed sądami przy Izbach Lekarskich (gdzie w miejsce sędziów zasiadają medycy), w wielu znanych mi przypadkach odbywały się z naruszeniem prawa do rzetelnego procesu. Obwinieni lekarze często nie mieli dostępu do akt, pogwałcona była zasada terytorialności, do postępowań nie dopuszczano pełnomocników, oskarżenia były formułowane nieprecyzyjnie, zatem nie było możliwe ustosunkowanie się do zarzutów, odrzucane lub kompletnie ignorowane były wnioski dowodowe.

W tle często był konflikt interesów. Wielu zasiadających w składach orzekających w różny sposób korzystało z grantów od producentów szczepionek. Ale sprawą najistotniejszą jest materia zarzutów. Winą pozwanych nie były błędy w leczeniu. Przeciwnie! Leczyli dostępnymi środkami antywirusowymi, często ratując chorym życie. Przedmiotem oskarżenia były wypowiedzi rzekomo niezgodne z „faktami" czy „aktualną wiedzą medyczną".

Do tych inkryminowanych wypowiedzi pozwanych zaliczono również ostrzeżenia dotyczące szczepień, które – o ironio! – były cytowaniem informacji zawartych w ulotkach dołączonych przez producenta do szczepionek na COVID-19. Monopolistyczny system, w którym z jednej strony istnieje obowiązek przynależności lekarzy do jednego samorządu, czyli Izb, a z drugiej Izby działają jak „policja myśli", uzurpując sobie prawo kreowania obowiązujących poglądów dotyczących sposobów leczenia i karząc odebraniem uprawnień, jest patologią. To niezgodne nie tylko z regułami rządzącymi medycyną i nauką, lecz także z regułami demokratycznego państwa prawa. Ponadto to nie Izby wydają dyplom i uprawnienia medykom, lecz uczelnie.

Stąd wniosek Ziobry do TK. Istotne jest przywołanie w nim orzeczenia sądu konstytucyjnego z 2010 r. (za czasów Andrzeja Rzeplińskiego), które „dostrzega możliwość tworzenia różnych samorządów zawodowych w ramach jednego zawodu, jeśli w ocenie ustawodawcy miałoby to przyczynić się do lepszej ochrony interesu publicznego". ©℗

eprasa.pl c557d2be61

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wytwarzamy „fałszywą wiedzę”

Nowy marszałek Sejmu, Szymon Hołownia, bardzo się lubi. Stop. Lubi swój głos, swoje przemówienia i sprawia mu przyjemność przebywanie w swoim towarzystwie. Stop. Jeszcze nie wiem, czy marszałek lubi innych, ale będziemy obserwować. Stop. Obywatelu – polub siebie, bądź jak Szymon. Stop.

Marcin Józefaciuk, nowy poseł, który jest cool i ma dużo tatuaży, i jest neopoganinem, wyżalił się z mównicy sejmowej, że padł ofiarą hejtu. Stop. Panie Marcinie, wchodząc do polityki, powinien pan wiedzieć, że ten cały hejt to nawet nie preludium. Stop. Niech się pan trzyma, a jak pan zrobi sobie jakiś nowy tatuaż (nienawistnicy nazywają pana Marcina „brudnopisem”), to proszę się pochwalić, naświetlimy sprawę. Stop.

Dużo jest takich różnych poplątań w obecnej koalicji demokratycznej, która wkrótce, zdaje się, zacznie rządzić Polską. Stop. Ja już nie mówię o np. niedzielach handlowych, bo w tej sprawie to koalicja jest całkiem rozbieżna, ale mówię o tym, że oni nie wiedzą jeszcze, jak traktować np. innych posłów. Stop.

Na przykład był sobie kiedyś Łukasz Olszewski, działacz lewicy, asystent pani Dziemianowicz-Bąk, ale w wieku 38 lat uświadomił sobie, że jest niebinarny, i teraz jest Lu i używa raczej końcówek żeńskich, choć ma brodę. Stop. Ale nie o to chodzi – na tym świecie zdarzają się różne przypadki. Stop. Niemniej ta Lu uważa, że Krzysztof Bosak jest faszystą. Stop. Problem polega na tym, że Krzysztofa Bosaka na wicemarszałka Sejmu wybrała koalicja demokratyczna, w skład której wchodziła też lewica. Stop. Strasznie to wszystko gordyjskie. Stop.

Czekają nas, proszę państwa, komisję śledcze, które mają grillować PiS. Stop. Najciekawiej zapowiada się komisja w sprawie Pegasusa, czyli szpiegowskiego oprogramowania, które kupiono od Izraela, żeby wchodzić w cudze telefony, w tym w telefony polityków. Stop. Jak znam nasze państwo, to wkrótce wszystkie tajne dane z telefonów wyciekną na jakiś zagraniczny serwer i będziemy zaszokowani. Stop. Problem w tym, że Pegasus pozwala wgrywać w cudze telefony zdjęcia, pliki, SMS-y i właściwie wszystko. Stop. W sumie będziemy wiedzieć bardzo dużo, czyli nic. Stop.

W „Gazecie Wyborczej” wydrukowano artykuł o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. Stop. Dziennikarka użyła sformowania, które radzę zapamiętać, bo może się przydać. Stop. Sformułowanie brzmi: „wytwarzamy fałszywą wiedzę”. Stop. Teksty z granicy były zmanipulowane, a często zwyczajnie zmyślone. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Eldorado XXL

Wielkiej wagi decyzje czekają niebawem prawodawców amerykańskiego stanu Colorado. Będą tam głosowane projekty ustaw zakazujących „fatfobii”. Termin ten oznacza dyskryminację osób otyłych, podobno powszechnie występującą w amerykańskich szkołach i miejscach pracy. Problemu nie da się ukryć, ponieważ chorobliwie otyłych (określanych jako „obese”) jest już 39,6 proc. Amerykanów. Jeśli dodać do tego drugie tyle osób z nadwagą („overweight”), to okazać się może, że poprawną sylwetką odznacza się dziś niewiele ponad 20 proc. populacji. Jest to najwyższy wynik na świecie – czyniący Stany Zjednoczone bezkonkurencyjnym, światowym liderem w tej nieprzynoszącej prestiżu dziedzinie.

Następne w kolejce są pozostałe zamożne kraje anglosaskie. Zgodnie z badaniami przedstawionymi przez dziennik „The Telegraph” drugie miejsce na podium (ponad 26 proc. otyłych) zajmuje Wielka Brytania, zaraz potem lokują się Kanada i Australia.

Przepisy zakazujące „fatfobii” wprowadził już w tym roku stan Nowy Jork, debatują nad nimi kolejne legislatury. Walka z dyskryminacją grubasów prowadzić ma do wpisania nadwagi do listy „cech chronionych” („protected characteristics”) także na poziomie prawa federalnego. Dziś należą do nich rasa i „gender” obywateli.

Amerykańska armia od lat skarży się na coraz mniejszą liczbę zdrowych, nieobciążonych otyłością rekrutów. Zgodnie z obowiązującymi już w Nowym Jorku przepisami firmy nie mogą dyscyplinować pracowników ze względu na ich wagę i wynikający z niej brak sprawności fizycznej. Głośna była sprawa o dyskryminację, którą wytoczyła pracodawcy „puszysta” lekarz pogotowia ratunkowego, zwolniona z powodu niemożności ustania na własnych nogach odpowiednio długo, by wykonać ujęte procedurami medycznymi czynności.

Tymczasem na rynek farmaceutyczny wprowadzane są nowe leki, mające bez ćwiczeń i wyrzeczeń leczyć otyłość pacjentów. Big Pharma zarabia na tym miliardy dolarów, a „cudowne” kuracje zachwalają lekarze i celebryci. Nic więc dziwnego, że kampanie społeczne mające zdjąć z obżarstwa resztki społecznego potępienia znajdują coraz „wrażliwszych” i hojniejszych sponsorów. Tylko w Wielkiej Brytanii choroby spowodowane otyłością kosztują publiczną opiekę zdrowotną ponad 6 mld funtów rocznie. Ludzie otyli tracą zdrowie, pacjenci i podatnicy pieniądze, zyskuje wielki biznes. Z roku na rok lawinowo rośnie liczba pochówków, sprzedawanych przez branżę pogrzebową „klientom XXL”. Ze względu na rozmiar trumien i większe wymagania logistyczne są one o co najmniej 500 funtów droższe od standardowych. ©℗

eprasa.pl c557d2be61

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Napomnienie

Czekając na nowego ministra rodziny, można mu zadedykować świadectwo pewnego wpływowego autorytetu. Analogie historyczne są ułomne, ale warto czasem przypomnieć sobie, że niektóre zjawiska są ponadczasowe.

Konsulami zastępczymi zostali w Rzymie z początkiem lipca 9 r. n.e. Marcus Papius Mutilus i Caius Poppaeus Secundus. Wydali oni ustawę „lex Iulia et Papia Poppea de maritandis ordinibus", wymierzoną przeciw bezżenności, małżeństwom bezdzietnym i rozwodom. Podkreślając znaczenie tej ustawy, cesarz August wygłosił w senacie rzymskim płomienne przemówienie. Do senatorów, którzy byli głowami rodzin, powiedział:

„Dawniej, jak wiecie, byliśmy jedynie garstką, lecz kiedy zaczęliśmy się żenić i płodzić, przewyższyliśmy wszystkie narody, nie tylko w męstwie, ale i w liczbie ludności. Mając to na uwadze, musimy pocieszyć naszą śmiertelność przez niekończące się następstwo pokoleń, które są jak przodownicy w wyścigu z pochodniami. W ten sposób, jeden przez drugiego, unieśmiertelnimy ludzką naturę, w której brakuje nam tego boskiego czaru. To dlatego najwięksi z bogów, którzy nas stworzyli, uczynili połowę z nas mężczyznami, a połowę kobietami i dlatego wszczepili nam miłość i pragnienie połączenia, czyniąc ten związek płodnym, tak aby stale rodzące się potomstwo mogło czynić naszą śmiertelność nieśmiertelną. Zaiste, nawet bogowie są mężczyznami i kobietami i, jak mówi tradycja, jedni płodzą drugich, a inni są płodzeni przez nich. A więc nawet wśród tych bytów, które nie potrzebują takiego środka, małżeństwo i płodzenie dzieci są pochwalane jak rzecz szlachetna".

„Dawniej, jak wiecie, byliśmy jedynie garstką, lecz kiedy zaczęliśmy się żenić i płodzić, przewyższyliśmy wszystkie narody, nie tylko w męstwie, ale i w liczbie ludności"

Do drugiej grupy senatorów, osób bezżennych i bezdzietnych, August przemówił w innym tonie, używając najostrzejszych argumentów:

„Jak winienem was nazwać? Mężczyznami? Przecież nie wykonujecie zadań mężczyzny. Obywatelami? Przecież przez wasze zachowanie miasto upada. Rzymianami? Przecież zamierzacie wymazać imię miasta. Kimkolwiek nie jesteście i jakimkolwiek imieniem chcecie być nazywani, przypadł mi w udziale dziwny obowiązek. Choć stale czynię wszystko, by wspierać zwiększenie liczby ludności, muszę was zbeształ i jest mi przykro, że jest was tak wielu [...]. Bo wy, nie bacząc na opatrzność bogów i troskę waszych przodków, pragniecie najwyraźniej uczynienia narodu rzymskiego śmiertelnym i chcecie jego unicestwienia. Co by się stało, gdyby reszta rodzaju ludzkiego postępowała podobnie? Ponieważ staliście się przewodnikami ludzkości, ponieślibyście odpowiedzialność za jej wyginięcie. A jeśliby nawet inni nie poszli waszym śladem, czy nie bylibyście słusznie znienawidzeni za zaniechanie tego, czego nikt nie zaniecha, za zaniedbanie tego, czego nikt nie zaniedba, za wprowadzenie zwyczajów i praktyk, które przez naśladownictwo przyczyniłyby się do wyginięcia rodzaju ludzkiego [...].

Jeślibyśmy mieli opisać najgorsze zbrodnie, to inne są niczym w porównaniu z waszą. Niezależnie, czy uznajecie to za zbrodnię czy nie, jest ona gorsza niż wszystkie inne razem wzięte, gdyż popełniacie morderstwo. Nie płodząc tych, którzy winni być waszymi następcami, popełniacie świętokradztwo, kładąc kres waszym rodom i czci waszych przodków, jesteście winni bezbożności, niszcząc wasze rodziny, które zostały powołane przez bogów, a także niszcząc największy ich dar – życie ludzkie – a przez to obalając ich obrzędy i ich świątynie. Co więcej, przeciwstawiacie się państwu, nie wypełniając jego praw i zdradzając je przez czynienie go pustym i bezdzietnym. Jeszcze więcej – chcecie je opustoszyć z przyszłych mieszkańców. A przecież, jak się mówi, to ludzie tworzą miasta, a nie puste domy ani portyki, ani rynki [...].

Wobec szemrania w tłumie August kontynuował tak: Wiem, że możecie uznać moją mowę za gorzką i ostrą. Zważcie jednak, iż lekarze często leczą przez przypalanie lub operacje, kiedy inne kuracje zawodzą. Ani nie pragnę, ani nie czerpię przyjemności z takiej mowy. Dlatego też obwiniam was także o to, żeście mnie sprowokowali do niej [...]. I niech nikt sobie nie myśli, że nie wiem, jak przykre i bolesne bywa życie małżeńskie i posiadanie dzieci. Ale zważcie – nie ma w życiu niczego, z czym by się nie wiązały nieprzyjemności [...]. Zatem, jeśli istotnie mnie szanujecie, a szczególnie jeśli daliście mi tytuł ojca ojczyzny nie z pochlebstwa, ale w uznaniu zasługi, chciejcie się stać mężczyznami i ojcami".

Mowa nie poskutkowała, więc możemy dziś pytać: Gdzie są ci wspaniali Rzymianie? ©℗

eprasa.pl c557d2be61

ADWENT

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Boże Narodzenie odpalono w USA natychmiast po Święcie Dziękczynienia (które wypada w czwartek pod koniec listopada). Czyli od 10 dni mamy wszędzie światełka i w bardzo wielu domach ubrane choinki, ustawione tak, by je było widać przez okno.

Amerykanie traktują Adwent jak końcówkę ciąży, gdy już się cały dom szykuje na przyjście nowego dziecka. Wiadomo, że nie robisz tego w ostatniej chwili przed porodem, tylko im wcześniej, tym lepiej.

Święto Dziękczynienia było w czwartek i jeszcze wtedy przed domami stały dekoracje powiedzmy… jesienne lub nawet dożynkowe – płody rolne typu dynie, klocki słomy czy siana, skrzynki jabłek, słoiki z konfiturą na zimę – i te ozdoby stały jeszcze w czwartek, a dnia następnego, w piątek, poznikały bez śladu i zostały zastąpione Bożym Narodzeniem.

Dokąd oni to posprzątali? Przecież gdy ktoś ma zwaloną przed chałupą furmankę ogromnych dyń, to nie jest w stanie tego sprzątnąć od tak w jeden dzień; więc gdzie to się podziało? Do kubła na śmieci nie poszło, bo by nie weszło. Poszedłem się dowiedzieć.

***

Mam tu na prerii dwóch głównych kumpli: Jeff i Ed. Jeff gada sporo, Ed jedynie dogaduje się półsłówkami albo mruczy znaczące dźwięki. Jest mistrzem wyrażeń w rodzaju: yhm, hm, h!, eee, mmm. Gdyby zaczął mówić pełnymi zdaniami, trzeba by go szybko wieźć do szpitala, bo to by znaczyło, że mu się coś stało z głową. Coś radykalnego.

Wiedziałem, że Ed miał przed domem ustawione kolosalne piramidy dyń. Stawia je co roku i jest sławny. Ludzie jadą robić sobie zdjęcia, podobnie jak z tą sławną choinką w Nowym Jorku. Widziałem te zdjęcia w wielu domach; ludzie traktują je jak tradycję rodzinną. Poszedłem więc do knajpy i pytam Jeffa, co się stało z tymi wszystkimi dyniami (Eda pytać nie warto, bo ci odburknie „eeeym" i tyle wiesz, co nic – dlatego pytałem Jeffa).

– No jak, Gringo, to ty po tylu latach u nas nadal nie wiesz, co Ed robi co roku z dyniami?

– No nie wiem, jakoś mnie ominęło. Może dlatego, że zwykle przyjeżdżam tu na zimę dopiero po Święcie Dziękczynienia.

– Aaa, widzisz. No to w tym roku już się nie załapiesz na „Wielkie Skarmianie", ale za rok zapraszamy, znaczy Ed zaprasza.

– Hm – potwierdził Ed, kiwając głową.

– Ed, weź go zaproś porządnie jakoś. On z Europy jest, a oni tam mają arystokrację i maniery.

– Hm – zaprosił mnie Ed wylewnie, co dało się zobaczyć po minie, którą przybrał, bo w dźwiękach było to samo, co poprzednio.

– Dziękuję. Będę. A na czym polega „Wielkie Skarmianie"?

– Staramy się skarmić wszystkie dynie krowom.

– Krowy nie jedzą dyni – zacząłem protestować – przecież nawet nie dadzą rady nadgryźć.

– Dlatego Ed zaprasza gości i najpierw robimy zawody w kulaniu dyni i kulamy je jak najdalej na pastwisko. Potem są zawody w podnoszeniu dyni i rzucaniu tak, aby rozwalić. To się udaje niewielu. Dlatego potem są zawody w rąbaniu dyni toporkami, a na samym końcu resztę po prostu rozstrzeliwujemy.

– Strzelacie do dyń?

– Dynia to doskonały cel. Gdy dobrze strzelisz, ładnie bryzga.

– A z czego strzelacie?

– Ze wszystkiego, co porządnie rozwala, czyli raczej z „pompek", bo chodzi o drobne kawałki jadalne dla krów. Aha, i poza dyniami Eda ludzie przywożą także swoje. W ten sposób odpalamy Adwent. Trochę przed czasem, ale za to hucznie.

Jeff i Ed od lat robią mnie w konia, za każdym razem, gdy dam im cień szansy. Dlatego sprawdziłem te rewelacje, potwierdziłem w kilku źródłach i w przyszłym roku będę na „Wielkim Skarmianiu", bo impreza istnieje naprawdę.

***

Czy w Polsce są jeszcze kolędnicy? Tutaj są. Śpiewają przed sklepami, chodzą po domach, zbierają datki, by urządzić święta tym, którzy sami nie dają rady. Tych grup jest kilka – jest chórek Armii Zbawienia, są skauci i kilka zespołów doraźnych, organizowanych, gdy sąsiedzi uznają, że istnieje jakaś konkretna potrzeba. W tym roku tacy kolędnicy z sąsiedztwa zbierają forsę na święta dla fryzjerki.

Mamy tu jedną fryzjerkę, która została sama z kupą dzieci – mąż zmarł. Gdy żył, utrzymywali się z jego pensji, a ona prowadziła dom. Teraz sama musi na wszystko zarobić, więc strzyże. Fryzjerki zarabiają najlepiej na fryzurach damskich, ondulacjach, na farbowaniu włosów, a ta nasza może strzyc tylko maszynką, czyli wyłącznie facetów, a to najgorzej płatna robota w tej branży. No ale ona nie ma prawej dłoni, więc maszynkę trzyma w lewej, a twoją głowę przytrzymuje sobie prawym kikutem. Nie każdy to lubi, więc liczba klientów w jej zakładzie nie pozwala zarobić na świąteczne frykasy.

Jak straciła dłoń, nie wiem, nie pytam, ale na rancho to dość częste, że ludziom brakuje a to palca, a to ucha, a to oka. Brakuje to brakuje, kowboje się ze sobą nie pieszczą. Po zasiłek się nie chodzi, bo gdy masz tylko jedno oko, to nadal widzisz tym drugim.

***

Wstąpiłem do naszej knajpy. Doraźny chór „Kolędnicy dla Fryzjerki" śpiewał właśnie przed drzwiami. Jeff i Ed czekali na mnie. Poszliśmy razem do Jednorękiej. Tam do wyboru są dwa rodzaje „fryzur": na rekruta lub na glacę. Cena ta sama.

– Gdzie się Pani uczyła zawodu? – pytam.

– Nigdzie. Teraz się uczę, ale słabo mi idzie, bo wszyscy macie krzywe głowy.

Wróciliśmy do knajpy i… gdy się rozejrzałem, większość stałych bywalców była świeżo ogolona na rekruta. Nasza knajpa wygląda teraz jak stołówka w koszarach. Wyglądamy okropnie, ale czujemy się z tym dobrze. Jest Adwent, odrobina umartwienia nikomu nie zaszkodzi. ©℗

eprasa.pl c557d2be61

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE KSIĄŻKI

AGNIESZKA BUGAŁA: „ULMOWIE. SPRAWIEDLIWI I BŁOGOSŁAWIENI" + ALINA PETROWA - WASILEWICZ „URATOWAĆ TYSIĄC ŚWIATÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~649~~ ZŁ

234,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 415ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c557d2be61

NARODOWY BANK POLSKI informuje:

NARODOWY BANK POLSKI

JAKO JEDEN Z PIERWSZYCH

rozpoczął walkę z inflacją

WSZYSTKIE

DZIAŁANIA NBP SĄ ZGODNE Z PRAWEM

i spełniają najwyższe standardy międzynarodowe

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

nbp.pl

eprasa.pl c557d2be61